

ZORRO 2
Jeździec w masce
LUIGI MICUNO

Zdrada.....	1
Zmiana.....	4
Ten trzeci.....	6
Niespodziewane spotkanie.....	8
Skok w przepaść.....	9
Domek don Antonia.....	13
Radosna nowina.....	14
Uwolnienie Zefiria.....	16
Skarb.....	18
Książę w niebezpieczeństwie.....	21
Walka byków.....	24
Znajomy królowej.....	26
List Zorry.....	28
Odwiedziny.....	30
Plany zamachu.....	32
Błazen nadworny.....	34
Przebaczenie królowej.....	35
Udaremniony zamach.....	37
Posiedzenie rady ministrów.....	38
Gniew Zefiria.....	39
Dobrani przyjaciele.....	41
Bał dworski.....	42
Pieśń grozy.....	43
Olle, olle, Zorro wrócił!.....	47
Cztery pręgi.....	49
Wyzwanie przyjęte.....	52
Cztery pojedynki.....	54
Błękitny caballero.....	57
Zorro na trasie.....	58
Powitanie na drodze.....	60
Zazdrosny małżonek.....	61
Konstantynopol.....	64
Zjawa w pałacu.....	66
Katusze zazdrośnika.....	70
Wizyta ministra.....	74
Tajemnica zasłoniętej loży.....	75
Z ręki do ręki.....	78

Zdrada

Z mniejszej sali, w lewym skrzydle pałacu, prowadził do apartamentu Dolores obszerny korytarz wykładany miękkim dywanem. Apartament ten składał się z czterech komnat. Wejście z korytarza wiodło do saloniku-poczekalni, potem był salon właściwy, buduar i sypialnia.

Pewnego popołudnia w apartamentach Dolores miała miejsce dziwna scena, o której mieszkanka tych komnat nie miała najmniejszego pojęcia.

Wysoki, barczysty oficer, czyli don Alvarez, zapukał do drzwi w głębi korytarza. Nie otrzymując odpowiedzi na pukanie, stał przez chwilę, wahając się czy ma odejść, czy też wejść do środka. Postanowił to drugie. Uchylił drzwi i wszedł do saloniku. Nikogo tutaj nie było. Poczekał chwilę, chrząknął, dając w ten sposób znać o swej obecności.

Nikt się nie odezwał.

Nie ma nikogo w komnatach Dolores! Księżniczka w ostatnich czasach mało przebywa w domu. Dokąd się udaje, co robi, pozostaje dla mnie zagadką... Może jakaś miłośćka lub intryga? Skierował się do buduaru.

W jej sekretarzyku znajdę zapewne jakiś list lub skrawek papieru, który mi to wyjaśni! Trzeba działać szybko, by mnie nikt nie zastał. Jeśli się pragnie mieć żonę z książęcego rodu, należy dobrze uważać, by mi jej ktoś nie sprzątnął sprzed nosa.

Wszedł na palcach do buduaru i znieruchomiał. Przed sekretarzykiem siedziała odwrócona plecami do niego jakaś kobieta, której uwaga pochłonięta była listem trzymanym w ręku.

Don Alvarez zbliżył się, odgłos jego kroków głuszył puszysty dywan, i dotknął ręką ramienia czytającej.

- Ach! - krzyknęła przestraszona i odwróciła głowę.

Była to Pepita, niedyskretna pokojówka Dolores.

Westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi. Położyła palec na ustach i wskazała na sypialnię. Don Alvarez zrozumiał, że tam znajduje się Dolores.

Pepita włożyła kartkę papieru do szuflady, po czym wstała i pociągnęła don Alvarę za sobą. Przeszli w ten sposób dwie komnaty i znaleźli się na korytarzu.

Wychodząc nie zauważyli człowieka, który cofnął się na ich widok i ukrył się w niszy obok Wenus z brązu, trzymającej we wzniesionej ręce kandelabr. Człowiekiem tym był Zefirio.

Pepita i don Alvarez przystanęli w pobliżu.

- Co czytałaś? - zapytał półgłosem oficer.

- Notatki księżniczki.

- No i cóż się dowiedziałaś?

- Klucznik tysiąc peso, strażnik przy bramie pięćset, czterej wartownicy po dwieście pięćdziesiąt.

- Co to ma znaczyć? Nic nie rozumiem!

- To znaczy, że księżniczka przygotowuje czyjaś ucieczkę z więzienia.

Zdumienie pojawiło się na twarzy don Alvarę.

- Przygotowuje czyjaś ucieczkę z więzienia? Dziwne! Nie mogę pojąć, kogo chce oswobodzić!

Nagle uderzył się dłonią w czoło. Przypomniał sobie święto ludowe w Huesco, Zorrę i Dolores tańczących bolero, upojenie Dolores i jej uległość wobec rozbójnika.

Zacisnął zęby z wściekłości i szepnął:

- Wiem, kogo chce uwolnić!

- Kogo? - zapytała ciekawie.

- Nie powinno cię to obchodzić, moja dziewczyno! Trzymaj, oto zapłata za usługę, jaką mi oddałaś!

Wyciągnął z kieszeni kilka monet, lecz Pepita schowała ręce za siebie.

- Cóż to? - zdziwił się don Alvarez. - Nie chcesz pieniędzy?

- Nie!

- Dlaczego? Zbyt mało dla ciebie?

- Nie chcę wcale twych pieniędzy, senior.

- Dlaczego nie chcesz, wytłumacz! Wyświadczyłaś mi przysługę, więc należy ci się wynagrodzenie! Tak się umówiliśmy przecież! - Zgodziłam się nie dla pieniędzy, lecz z innego powodu!

- Ciekaw jestem!

- Zgodziłam się... gdyż kocham cię, senior!

Don Alvarez spojrział zdumiony na śmiałą dziewczynę, która pierwsza wyznaje mu miłość.

Pepita mogła się podobać. Miała świeżą twarzyczkę o figlarnych, rzekłbyś nawet, przebiegłych oczach.

Uśmiechnął się i ujął dziewczynę za podbródek.

- Podobasz mi się, moja Pepito!

Dziewczyna pokraśniała z radości. Don Alvarez mówił dalej:

- Przyjdź do mnie jutro wieczorem. Nie wchodź jednak głównym wejściem, lecz bocznym...

Pepita zarzuciła mu ręce na szyję, szepcząc:

- Kochany mój! Jesteś dla mnie całym światem. Nie wzgardziłeś biedną dziewczyną, która cię ubóstwia.

Pocałowała go namiętnie i don Alvarez oddał pocałunek.

Zefirio skorzystał z tego, że byli zajęci sobą, wysunął się ostrożnie z niszy i znikł za załamaniem

korytarza.

- Jestem w ostatnich czasach zupełnie sama - mówiła Pepita. - Od czasu, gdy przybyła Mercedes, przyjaciółka księżniczki, w pokojach tych zapanowała pustka. Obie są dziwnie zadumane, lecz żadna z nich nie wyjawia drugiej powodu swej troski. Księżniczka ubiera się skromnie i wymyka się z pałacu zaraz po obiedzie. W kilka chwil później Mercedes również opuszcza apartament. Kryje się w tym jakaś tajemnica, której nie mogę zrozumieć.

- Nie potrzebujesz łamać swej główki nad tym, moja Pepito - odparł don Alvarez. - Pozostaw to mnie. Już ja rozwikłam tę zagadkę, a raczej na odwrót: tak ją zawikłam, że one obie jej nie rozwikłają.

Ucałował Pepitę i wyszedł śmiejąc się głośno z własnego dowcipu. Przed pałacem dosiadł konia, nie zwracając uwagi na powóz stojący w pewnej odległości. Na koźle siedział wysoki i bardzo chudy młodzieniec.

Don Alvarez puścił konia klusem. Powóz podążył za nim w pewnej odległości. Przecięli w ten sposób prawie całą Saragossę. Wreszcie don Alvarez zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Znajdował się przed bramą fortecy. Trzymając jedną ręką cugle, drugą zastukał do bramy. Po chwili wszedł do środka.

Powóz stał ukryty za pobliskim budynkiem. Zefirio wychylił głowę przez okno powozu i zapytał Porfiria, który siedział na koźle:

- Wszedł do środka?

- Tak.

- Wszystko w porządku. Zawracaj do pałacu.

Niebawem karetą znów przystanęła w przyzwoitej odległości od rezydencji książęcej.

Porfirio nie zapomniał swych zawziętych wrogów, strażników pałacowych, i wolał tym razem trzymać się przezornie dalej nieco od pałacu.

Zefirio wylazł z powozu.

- Zaczekajcie na mnie tutaj! - rzucił ku swym przyciaciołom. - Słuchaj, Zefirio! - zawołał w ślad za nim Malibran, wychylając się z okna. - Jak długo będziesz się kręcił tam i z powrotem? Nie zapominaj, że nie jedliśmy jeszcze obiadu.

- Wejdźcie do gospody i pożywcie się - odparł Zefirio. - Jadąc prosto przed siebie natraficie na gospodę "Pod białą czapą". Jest tam dobre wino... Tylko nie wszczynajcie żadnych bójek ani awantur. Mam tego dosyć.

- Możesz być spokojny, Zefirio - przyrzekł solennie Porfirio. - Będziemy się zachowywać jak nowo narodzone jagnięta.

- Przyrzekamy ci absolutną poprawność w stosunku do rodzaju ludzkiego - dodał Malibran.

Zefirio udał się do pałacu. Porfirio i Malibran ruszyli dalej powozem.

Nad wejściem do gospody wisiała biała czapa z blachy, przypominająca kształtem nakrycie głowy kucharzy. Przyjaciele weszli do środka. Usiedli skromnie przy stole w kącie. Po pewnym czasie stół był zastawiony mięsem, chlebem, czarną narodową polewką i winem. Porfirio i Malibran zabrali się do jedzenia. Gruby Malibran jadł niewiele, natomiast chudy Porfirio pożerał nieprawdopodobnie dużo. Wreszcie mieli dosyć. Odsunęli puste talerze, zapalili cigarille i zaczęli rozglądać się po sali. Na nieszczęście sąsiedni stół zajęty był przez dworzan książęcych. Ludzie ci pili dużo i zachowywali się nader hałaśliwie, śmiejąc się rozgłośnie i uderzając szklanicami o blat stołu.

Malibran spojrzął na Porfiria, Porfirio na Malibrana.

- Przyrzekliśmy nie wszczynać bójek ani awantur - mruknął Malibran.

- A kto mówi o wszczynaniu bójek lub awantur? - odparł Porfirio. - Nigdy nie byłem tak pokojowo usposobiony jak dzisiaj. - Pomyślał chwilę, po czym trzasnął pięścią w stół i zawołał jak mógł najgłośniej: - Malibran, przyjacielu, powiedz mi, czy nie nachodzi cię nigdy chęć popełnienia samobójstwa?

- Nigdy! - odparł Malibran.

- A co byś uczynił, gdybyś miał paskudny, długi nos z brodawką na samym końcu?

- Popełniłbym samobójstwo!

- I dobrze byś zrobił! Człowiek z brodawką na nosie nie może chodzić po bożym świecie. Psuje krajobraz i odbiera ludziom apetyt.

Przy sąsiednim stole zrobiło się cicho. Jeden z dworzan miał długi, czerwony nos i na nim brodawkę.

- Masz rację - rzekł Malibran. - Pozwolę sobie jednak zapytać również ciebie, co byś uczynił, gdybyś miał zęza?

- Dałbym sobie wybić jedno oko. W ten sposób nikt by nie wiedział, że zezowałem.

Drugi dworzanin lekko zezował.

- Świetny pomysł! - zawołał Malibran w zachwycie. - Jesteś genialny, mój przyjacielu. A co byś uczynił, gdyby cię natura obdarzyła długą, cienką szyją?

- Zawiązałbym ją sobie na węzeł.

Był to docinek do szyi trzeciego dworzanina.

Porfirio i Malibran, rozprawiając głośno z sobą, nie zwracali najmniejszej uwagi na sąsiedni stół. Miało się wrażenie, że nie dostrzegali trzech par wściekłych oczu dworzan.

- Dość tego! - ryknął jeden z nich, odsuwając krzesło z taką gwałtownością, iż upadło z trzaskiem na ziemię.

- Hej, Passada i Molla, nie słyszycie, że ci dwaj kpią z nas.

Zbliżył się do stołu, przy którym siedzieli dwaj przyjaciele, i nachylając się nad nimi, zapytał groźnie:

- To wy do mych oczu tak się przymawiacie, señores?

Porfirio spojrział nań, udając zdziwienie.

- Do oczu?.. Na Bachusa! Malibran, spójrz tylko. O wilku mowa, a wilk tu. Toż on zezuje okropnie, ten czcigodny senor.

Do stołu zbliżył się don Passada.

- Coście mówili o brodawce na nosie, senores?

Porfirio zaczął wołać:

- Malibran, to chyba jakiś cud... Mówiliśmy o zezowatym... - I zezowaty przyszedł - rzekł Malibran.

- Mówiliśmy o człowieku z brodawką na nosie...

- I brodawka przyszła.

- Mówiliśmy o cienkiej szyi...

- I szyja przyszła.

Dalsza rozmowa została brutalnie przerwana.

Rozległ się łoskot wywracanych stołów i krzesel, brzęk rozbitego szkła i wściekłe okrzyki napastników.

Porfirio i Malibran nie wszczęli awantury zgodnie z przyrzeczeniem danym Zefirio, nie wszczynali też żadnej bójki, lecz zostali po prostu wciągnięci przez tamtych.

Zmiana

Dolores szczelnie otulona w czarną, koronkową mantylę zbliżyła się do bramy więzienia i zapukała. Czekala chwilę, wreszcie usłyszała ciężkie kroki. Zgrzytnął klucz i ciężka, żelazna brama uchyliła się. Księżniczka wślizgnęła się do środka i szepnęła do odźwiernego.

- Dziś o dziesiątej!

- Czego życzysz sobie, seniorito?

- Dziś o dziesiątej wypuścisz więźnia.

- He, dlaczego by nie! Mogę wypuścić nawet zaraz, przynieś mi tylko rozkaz podpisany przez prokuratora, sędziego śledczego i księcia pana!

Teraz dopiero Dolores przyjrzała się uważnie strażnikowi i cofnęła się przestraszona. Nie знаła tego człowieka. Był to inny klucznik.

- Gdzie jest tamten? - zapytała.

- Który tamten?

- Klucznik!

- Mój poprzednik?.. Nie ma go. Ja teraz jestem klucznikiem. Ochłonęła z pierwszego wrażenia. Zmienili człowieka przy bramie - pomyślała - widać, że ten o niczym nie wie. Trzeba będzie również i tego przekupić.

Przybliżyła się do niego i szepnęła:

- Mam dla ciebie propozycję, strażniku!
- Nie wolno mi wysłuchiwać żadnych propozycji przy bramie! - Zarobisz pięćset peso!
- Piękna sumka! A co należy zrobić za te pieniądze?
- Otworzyć bramę o dziesiątej i wypuścić więźnia.
- Aha, wypuścić mam więźnia? Carramba! Niezły interes!

Pięćset peso za jedno przekręcenie kluczem. A w jaki sposób więzień opuści celę?

- Niech o to cię głowa nie boli! Wszystko zostało załatwione!

- To dziwne! - mruknął klucznik. - Musiałś porozumieć się z dozorcą, seniorito. Nie rozumiem jednak, kiedy zdążyłaś z nim rozmawiać. Przecież objął swą funkcję po raz pierwszy dopiero przed godziną.

Zimny dreszcz wstrząsnął Dolores.

- Wartownicy również są inni?
- I wartownicy zostali zmienieni przed godziną!

Dolores westchnęła. Całą robotę należało zaczynać od początku. Postąpiła w głąb więziennego dziedzińca.

- Stój, seniorito! - zawołał klucznik. - Dokąd idziesz?
- Chcę porozumieć się z dozorcą!
- Wróć! Nie wolno rozmawiać z dozorcami!

Dolores wydobyła sakiewkę ze złotem.

- Dziękuję, seniorito! Nie wolno mi przyjmować pieniędzy. Dopiero teraz Dolores spostrzegła się, że klucznik z niej zakpił. Zbliżyła się ku bramie, mówiąc:

- Proszę mnie wypuścić!

- I tego mi nie wolno! Otrzymałem wyraźne polecenie wpuszczania każdego, lecz nie wypuszczania go bez zezwolenia naczelnika więzienia.

- Nie masz prawa mnie zatrzymywać! - zawołała Dolores z rozpaczą w głosie. - Wypuść mnie natychmiast!

- I pójdę do celi na zgniłą słomę, seniorito. Zazwyczaj chętnie ustępuję pięknym senioritom, lecz w tym wypadku, niestety, nie mogę. Otrzymałem wyraźny rozkaz zatrzymania seniority, która zechce mnie przekupić.

Zdradzono mnie, pomyślała. Ktoś mnie musiał zdradzić!

Klucznik wezwał jednego z wartowników i rzekł doń:

- Oto seniorita, o której była mowa!
- Chodź, seniorito, za mną! - zwrócił się do niej żołnierz. - Zaprowadzę cię do naczelnika więzienia!

Dolores poszła nie opierając się. Znała naczelnika więzienia osobiście i wiedziała, że dyskretny ten człowiek nie rozgłosi tego, co zaszło. Zresztą będzie musiał się liczyć z siostrzenicą wszechwładnego księcia.

Wartownik zaprowadził ją do kancelarii więzienia.

Zaledwie otworzyła drzwi, zbladła i znieruchomiała z przerażenia. W fotelu naczelnika siedział szeroko rozparty i uśmiechnięty don Alvarez...

Tymczasem klucznik przy bramie nadal pełnił swą funkcję.

Zaledwie Dolores wraz z wartownikiem znikli z jego pola widzenia, do bramy znów ktoś cicho zapukał. Klucznik otworzył bramę. Do środka wsunęła się młoda kobieta otulona w czarną mantylę.

- Dziś o dziesiątej! - szepnęła i nagle cofnęła się przestraszona. Spostrzegła, że był to inny klucznik.

- Co o dziesiątej? - zapytał strażnik, siląc się na uprzejmy uśmiech.
- Gdzie jest tamten odźwierny? - zapytała Mercedes. - Dlaczego nie widzę go tutaj?
- Wyjechał, seniorito, do krewnych na wypoczynek. Biedak był przepracowany... Otwierać ciężką furtę trzy czy cztery razy dziennie, to było zbyt wiele dla niego!

Nie zorientowała się, że strażnik drwił.

- Nic mi nie mówił, że wyjedzie! - rzekła zmieszana.
- Zapomniał widocznie, seniorito!

Mercedes zastanawiała się przez chwilę. Spojrzała badawczo w oczy strażnikowi, lecz nic w nich nie wyczytała. Zdobyła się wreszcie na odwagę:

- Słuchaj, senor, dam ci możliwość zarobienia dwustu peso. - Ładna sumka!

- Więc chcesz zarobić te pieniądze?

- Kto by nie chciał?

- Zarobisz je bez trudu. Otworzysz furkę o dziewiątej wieczór i nie będziesz się przyglądał zbytnio temu, kto opuści o tej porze mury więzienne!

- To nie będzie takie łatwe! Są dwaj wartownicy!

- Ci są z nami!

- Zmieniono ich przed godziną.

- Wszyscy czterej są z nami!

- Źle mnie zrozumiałaś, seniorito. Zmieniono wszystkich czterech. To są nowi ludzie. I dozorca celi również został zmieniony! Mercedes milczała. Ogarnął ją niepokój. Zrozumiała, że coś wisi w powietrzu.

Przysunęła się do furty.

- Proszę mnie wypuścić - rzekła.

- Niestety, nie mogę seniorito. Otrzymałem rozkaz niewypuszczenia nikogo.

Powtórzyła się ta sama historia, co poprzednio. Klucznik wezwał wartownika i biedna Mercedes musiała pójść za nim do naczelnika więzienia.

- Carramba! - mrucał klucznik. - Siedemset peso mógłbym zarobić w ciągu pięciu minut. Gdyby nie ten przeklęty don Alvarez, który śledzi mnie przez okno, wypuściłbym za te pieniądze pół więzienia na wolność dziś wieczorem.

Ten trzeci

Zefirio na próżno oczekiwał powrotu Dolores. Wreszcie zniecierpliwiony opuścił pałac, kierując swe kroki ku gospodzie "Pod białą czapą".

W oddali stał powóz. Ulicę zalegał tłum, który się czemuś przyglądał.

- Do licha! - zaklął Zefirio. - Dam głowę, że moi przyjaciele są powodem tego zbiegowiska!

Puścił się biegiem i wpadł pomiędzy zebranych gapiów. Przecisnął się w ciągu jednej chwili i stanął w otwartych drzwiach.

Karczmarz schował się pod bufetem. Podłoga była zasłana odłamkami szkła i skorupami talerzy. Wszystkie stoły powywracane, a po sali uganiało się pięć demonów.

Zefirio ogarnął sytuację. Jacyś trzej szlachcice ze szpadami atakowali z furją jego przyjaciół, a Porfirio i Malibrán byli bezbronni. Jedyłą ich osłoną były krzesła, które trzymali w ręku. Zasłaniaли się nimi dość zręcznie. Szpady cięły powietrze, ostrza zawsze napotykały na siedzenie krzeselka.

- Zapłacicie oberżycie za krzesła, senores! - mówił Porfirio. - Zrobiliście z każdego krzesła przetak.

- Zaraz z ciebie również zrobię sito! - ryknął szlachcic w odpowiedzi, podwajając zaciekłość ataku.

Zefirio wpadł pomiędzy walczących.

- Stój! - krzyknął. - W imieniu księcia rozkazuję wam zatrzymać się!

W podobnych wypadkach słowo "książę" działało jak kubeł zimnej wody wylanej na głowę. Zefirio wiedział o tym i nie odmawiał sobie tej przyjemności. Ułatwiało mu to znakomicie zadanie i nic nie kosztowało.

- Co się tu dzieje? - zapytał wodząc groźnie oczami.

- Kto jesteś, że występujesz w imieniu księcia? - zapytał zezowaty jegomość. - Jakim prawem wtrącasz się do spraw, które cię nie obchodzą?

- Dowiesz się, gdy noc spędzisz w twierdzy! - odparł Zefirio prostując się dumnie. - Jestem nowym adiutantem księcia!

- Tak, to adiutant księcia Ramida! - potwierdził Porfirio. - Sam widziałem, jak grał dziś z księciem w bilbokieta!

- Który z was zaczął? - zapytał surowo Zefirio. - Muszę wiedzieć, który z was zostanie ukarany!

- Siedzieliśmy spokojnie i rozmawialiśmy, senor - relacjonował Porfirio. - Rozmawialiśmy o tym i

owym, nie zwracając najmniejszej uwagi na tych senorów... Nagle jeden z nich...

- Przepraszam... - przerwał dworzanin z czerwonym nosem.

- Milczeć! - huknął Zefirio. - Niech jeden mówi!

- Otóż jeden z nich - ciągnął dalej Porfirio - skoczył ku nam klnąc straszliwie, wyrzucił wszystkie butelki, po czym wszyscy trzej rzucili się na nas, nie podając powodu! Nie wiem, senor, co to są za ludzie, lecz sądzę, że to uciekinierzy z domu wariatów!

- Słyszysz, senor?! - wrzasnął dworzanin z czerwonym nosem, chwytając za szpadę. - Słyszysz? Znów nas obraża!

- Żądam, byście się uspokoiли, senores! - zawołał Zefirio z godnością. - Teraz proszę, ten senor niech mówi!

Czerwononosy odkaslnął i namiętnie gestykuluując zaczął mówić:

- Wszystko to nieprawda, co ten oskubany powiedział...

- Co, oskubany? - wrzasnął z kolei Porfirio. - Słyszysz senor? Ubliza mi ten szlachetka z piwonią pośrodku twarzy!

- Cicho! - zawołał Zefirio. - Nie przerywać mu, niech mówi!

- Ja mu tego nie daruję! - ryknął szlachcic, wyciągając szpadę z pochwy. - Niech zginę w podziemiach twierdzy, lecz tej piwonii nie puszczę płazem... Do mnie, towarzysze!...

Zefirio wyciągnął pistolet z kieszeni.

- Nie ruszać się z miejsca! - zawołał. - Ja tu jestem sędzią i ten, który zacznie, dostanie kulę w łeb! Schowaj szpadę i opowiadaj dalej... Za owe obelgi zostanie odpowiednio ukarany, możesz być spokojny, senor.

Dworzanin schował szpadę i opowiadał.

- Siedzimy spokojnie, aż tu słyszę, jak ten chudy drwi z mego nosa.

- W jaki sposób? - zapytał Zefirio.

- Człowiek z czerwonym nosem, powiada, nie powinien żyć na świecie. Powinien popełnić samobójstwo.

- Tak powiedział? - zdziwił się Zefirio.

- Dosłownie.

Zefirio zmarszczył surowo brwi i zwrócił się do Porfiria.

- Przesadzasz, senor. Ten człowiek ma rację. Nie popełnia się samobójstwa z powodu zbyt jaskrawego koloru jakiejś części twarzy. Co najwyżej nie powinno się wychodzić z domu.

- Przyznaję ci słusność, senor - odpowiedział ze skrucą Porfirio.

- Zostaniesz ukarany za to, że przesadzasz. Jedna sprawa załatwiona!

Zwrócił się do zezowatego:

- Teraz ty opowiadaj, senor.

- Było to tak... Siedzieliśmy spokojnie...

- Słyszałem, że siedzieliście spokojnie. Do rzeczy, w jaki sposób ci ubliżył?

- Powiedział, że powinienem dać sobie wybić jedno oko, by nikt nie poznał, że zeżuję.

- Jesteś niepoprawny, senor! - zawołał surowo Zefirio, zwracając się do Porfiria. - Czy nie wystarczy, gdy jedno oko przewiąże się kawałkiem materiału?

- Zupełnie wystarczy, senor - przyznał z pokorą Porfirio.

- Wina twoja się zwiększa... Następny niech opowiada.

- O mnie powiedział, że mam zbyt długą szyję i powinienem ją sobie związać na węzeł.

- Co? Na węzeł?! - zawołał Zefirio oburzony. - To zgroza... W jaki sposób połykałbyś wino i inne napoje? Ten człowiek, jak widzę, to niebezpieczny przestępca, swymi radami nie dopomaga bliźnim, lecz raczej im szkodzi!

- Wybacz mi, senor! - odezwał się Porfirio. - Nie wiem, jak powinienem inaczej poradzić człowiekowi, który ma głowę osadzoną zbyt daleko od ramion.

- Żyrafa ma głowę jeszcze wyżej, a jednak nie widziałem, by sobie szyję wiązała na węzeł. Wystarczy, jeśli człowiek ramiona uniesie jak najwyżej i już wszystko w najlepszym porządku. Ale dosyć tego... Marsz za mną do twierdzy.

Wyszedł, a za nim podążyli Porfirio i Malibrán.

Trzej dworzanie pozostali na swych miejscach, spoglądając na siebie wzrokiem pełnym przykrego zdumienia. Nic a nic nie zrozumieli z tego wszystkiego.

Gdy powóz już był daleko, odezwał się wreszcie mężczyzna o czerwonym nosie.

- He, coś mi się wydaje, że ten sędzia również z nas zakpił.

Niespodziewane spotkanie

Kiedy Mercedes, w towarzystwie wartownika, weszła do kancelarii naczelnika więzienia, wzrok jej padł na dwie siedzące postacie. Poznała mężczyznę. Zatrzęsła się przerażona. Nigdy by nie przypuszczała, że zobaczy go w tym miejscu. A gdy kobieta w czarnej mantyli odwróciła się do niej profilem, Mercedes poznała siostrzenicę księcia Ramida.

- Co ty tu robisz, Dolores? - zawołała Mercedes przerażona.

- A co ty tu robisz? - przestraszyła się również Dolores.

Don Alvarez siedział w fotelu naczelnika więzienia i uśmiechał się ironicznie.

- Dlaczego nie zapytacie, moje piękne seniority, co ja tu robię? - rzekł z sarkazmem.

Obie milczały przygnębione, nie wiedząc co odpowiedzieć.

Don Alvarez wstał, uklonił się wytwornie i ciągnął dalej:

- Co do mej osoby, łatwo mi będzie się wytłumaczyć. Dobięła mnie wieść, że ktoś przekupił straż więzienną. W jakim celu?.. Proste! By ułatwić ucieczkę jednemu z więźniów. Miała to być jakaś kobieta. Jako dowódca wojskowy Aragonii nie mogłem przecież zezwolić, by więzień uciekł, choćby nawet przez wzgląd na szacunek dla płci pięknej. Zastąpiłem więc chwilowo naczelnika więzienia, wydając jednocześnie rozkaz, by mi przyprowadzono ową senioritę, gdy się zjawi w bramie. Czekałem niecierpliwie i cóż widzę? Zamiast jednej aż dwie przedstawicielki pierwszych rodów starej Hiszpanii!...

Odetchnął, po czym zapytał zniemacka:

- A więc, która z was chciała uwolnić Zorrę?

Dolores i Mercedes spojrzały sobie w oczy.

- Milczycie? - rzekł don Alvarez, wstając. - Ha, trudno, widocznie dozorca się omylił! Nie będę was zatrzymywał, moje seniority!... Pozwólcie zatem, że was odprowadzę! Wystarczy mi, że wiem wszystko.

Wyszli z kancelarii i przeszli przez dziedziniec. Po drodze don Alvarez mówił z uśmiechem, który nie schodził z jego suchej twarzy:

- Rozumiecie chyba, moje urocze seniority, że gdybym chciał, mógłbym zgubić was obie. Przekupstwo strażników więziennych, ho, ho, to jest przestępstwo nie lada i zwykły śmiertelnik nie wykpiłby się tak łatwo z tej sprawy... Ale seniorita Dolores nie jest zwykłą śmiertelniczką, podobnie jak seniorita Mercedes, córka generała Borragi... Oczywiście nie bardzo mi się uśmiecha skandal towarzyski, jaki mógłbym wywołać wśród najwyższych sfer Hiszpanii. Toteż będę milczał, ale... - tutaj urwał i spojrzał znacząco na Dolores - ... ale nie za darmo...

Dolores wzruszyła ramionami. Odzyskała już swą zimną krew.

- Jakiej zapłaty żądasz za milczenie, senior? - zapytała zwracając się doń.

Pułkownik nie odpowiedział. Udał, że nie słyszał pytania.

Zbliżył się do odźwiernego i wydał rozkaz cichym głosem.

Klucznik otworzył furtę i przepuścił obie dziewczyny, którym towarzyszył don Alvarez.

- A teraz pozwólcie, moje panienki, że je pożegnam! Mam wiele spraw do załatwienia! Księżniczko! - zwrócił się do Dolores. - Ośmielę się złożyć ci wizytę jutro przed południem. Sądzę, że zostaną przyjęte!

Skłonił się z ugrzecznieniem i oddalił się. W swym roztargnieniu zapomniał, że zostawił swego wierzchowca w stajni więziennej. Powrócił więc i zapukał do bramy.

Klucznik otworzył i don Alvarez wszedł z powrotem do więzienia.

Niebawem do bramy znów zapukano.

- Czwarta wizyta w ciągu godziny - mruknął klucznik. - Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie zmienić zawiasy.

Uchylił drzwi i rzucił opryskliwie:

- Do kogo i po co?

Skok w przepaść

Przed bramą więzienia stał Zefirio.

- Najgłębszy szacunek składam u twych stóp, ideale wzorowych kluczników więziennych!... - zaczął.

Klucznik mruknął coś wściekle i zatrzasnął furtę.

Rozległo się pukanie, tym razem silniejsze.

Klucznik znów uchylił drzwi i rzucił:

- Do kogo i po co?

- Wybacz mi, czcigodny cerberze...

- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć - warknął klucznik. - Nie nazywam się Cerber. Myślisz zapewne o poprzednim kluczniku... Ja go zastępuję.

- Mniejsza o to, czcigodny panie! Jak się nazywasz, tak się nazywasz! Nie imię zdobi człowieka, lecz człowiek swe imię...

Nie skończył, albowiem klucznik z hukiem zatrzasnął furtę po raz drugi.

- Ograniczony człowiek - wzruszył ramionami Zefirio. - Nie zna się wcale na grzeczności!

Chciał zapukać po raz trzeci, gdy wtem rozległ się łoskot odsuwanych rygli. Brama otworzyła się szeroko, przepuszczając jeźdźca.

- Senor Alvarez! - zawołał radośnie Zefirio. - Ogromnie się cieszę, że cię widzę! Szukałem cię po całym mieście i nigdzie nie mogłem znaleźć. Kto by przypuszczał, że znajdujesz się w więzieniu?.. Świetnie się składa, że się spotkaliśmy akurat w tym miejscu!

- Witaj mi, Zefirio! Chciałeś mówić ze mną?

Zefirio zbliżył się do konia i wspinając się na palce, szepnął tajemniczo:

- Nie oddalaj się stąd, senor! Pozostań w więzieniu.

- Dlaczego?

- Dowiedziałem się, że Zorro ma uciec. Straż została przekupiona!

- Tak? - udał zdziwienie don Alvarez. - A kto się tego dopuścił?

- Pewna senorita! Nazwiska nie mogę wyjawić! Nie wymagaj tego od mnie. Honor caballera mi nie pozwala.

- Nie nalegam, mój drogi Zefirio!

- A więc wracaj do więzienia!

- Nie obawiaj się, senor, Zorro nie ucieknie. Jest dobrze pilnowany!

Słyszając to Zefirio nie krył swego oburzenia:

- Jak to? - zawołał. - Ja cię uprzedzam, że straż została przekupiona, a ty wzruszasz ramionami?

Tak nie uchodzi, senor! Lekceważysz niebezpieczeństwo, gdyż nie twoja skóra jest na szwank narażona! Kto go wydał w ręce władzy?.. Ja! Dzięki komu zdarto z niego maskę i poznano jego prawdziwe oblicze?.. Dzięki mnie!.. Na kim zemści się Zorro, gdy uda mu się uciec?.. Na mnie! Uśmiechasz się, senor, a ja nocami nie sypiam z obawy, że wymknie się ze swej celi. Tak dalej być nie może!..

- Więc o co ci chodzi, senor Zefirio? - zapytał Alvarez szczerze ubawiony.

- Wydaj rozporządzenie, by mnie wpuszczano do więzienia, ile razy zechcę tam wejść, i by mi nie broniono dostępu do więźnia! - Chcesz sprawdzić, czy nie zdjął kajdan z siebie?

- Właśnie!

- Dobrze! Chodź ze mną. Polecę cię naczelnikowi więzienia.

Zsiadł z konia, uwiązał go przy murze i zapukał do furty. Furta uchyliła się i don Alvarez wszedł do środka. Zefirio postępowal tuż za nim.

- Ozdobna mumio odźwierzny piekielnych - rzucił klucznikowi przechodząc obok. - Przyjm pozdrowienie od pokornego sługi twego, który cię czci na równi z Belfegorem!

- Nie znam takiego! - mruknął dozorca.

- To go poznasz... Miejmy nadzieję!

- Słuchaj, senor, czyś zawsze taki gadatliwy?

- Zawsze gdy wchodzę do więzienia, gdy zaś z niego wychodzę, nic nie mówię! Ani jednego słowa

nie usłyszysz ode mnie. Zapamiętaj więc sobie, Kaligulo, że wychodząc nic a nic nie mówię. Jeśli więc chcesz uniknąć reprimendy...

- Czego? - zapytał klucznik. - Reprimendy!...

- Co to jest?

- Wszystko jedno!... Jeśli więc chcesz uniknąć reprimendy, zastosuj się do tego, co ci mówię. Nic nie mów do mnie, gdy wychodzę, natomiast pozwalam ci rozmawiać, gdy wchodzę. A więc pozwól teraz, że pożegnaj cię uroczyście i pójdę w ślad za mym dobroczyńcą, pułkownikiem don Alvarezem, który w obecnej chwili oddala się ode mnie.

Zefirio rzucił się w ślad za Alvarezem, który go znacznie wyprzedził.

Don Alvarez wszedł do gabinetu naczelnika i rzekł wskazując Zefiria:

- Oto młodzieniec, który wydał nam Zorrę. Don Guardano, polecisz klucznikom, by go wpuszczano do więzienia, ilekroć zażąda. Będziemy z niego mieli świetnego dozorcę!

Zefirio skłonił się nisko i obaj wyszli.

Na dziedzińcu pożegnali się. Don Alvarez skierował się ku bramie, Zefirio zawrócił do więzienia, kierując swe kroki w stronę wejścia do lochów.

Jose leżał na barłogu i rozmyślał. Nie mógł zrozumieć, co miała oznaczać to nagła zmiana. Zamiast wykwintnego obiadu, dozorca, którego widział po raz pierwszy, przyniósł mu wstrętną lurę i kawałek czarnego chleba. Kolacji nie otrzymał o zwykłej porze.

Leżał więc i mrucał:

- I wierz kobietom! Przyszyły mi wolność, a nie przysyłają nawet jedzenia! Szkoda, że odrzuciłem usługi Motela.

Nagle ponure rozważania zostały przerwane odgłosem kroków.

- Nareszcie kolacja! - rzekł półgłosem i westchnął z ulgą.

Lecz zamiast kolacji ujrzał w swej celi jakiegoś nieznajomego młodzieńca, któremu towarzyszył klucznik.

- Dzień dobry, Zorro! - rzekł Zefirio. - Jak się czujemy w tej dziurze? Nieszczególnie, co?

- Hm! - mruknął Jose.

- Przynoszę ci wiadomość, mój zuchu, piękną wiadomość!

Egzekucja została zatwierdzona. Zostaniesz powieszony!

- Bez sądu?! - krzyknął Jose, zrywając się z posłania.

- Bez sądu! Wina twoja została przecież udowodniona - mówił Zefirio, cofając się przezornie ku drzwiom. - Sąd w danym wypadku jest zbyt cenny! Zorro musi zawisnąć!

- Nie zgadzam się! - krzyczał Jose. - Nie chcę odpowiadać za kogo innego!

- Jeśli masz mi coś do zakomunikowania, mogę powtórzyć twe słowa księciu.

- Tak, chcę wyjawić pewną tajemnicę!

- Chcesz mówić przy kluczniku, czy też wolisz, by wyszedł?

Jose zastanowił się w ciągu sekundy. Zefirio czekał w napięciu. Od odpowiedzi tej zależało wszystko.

- Wolę, by wyszedł - odpowiedział Jose. - Nie chcę nikomu wyjawić tej tajemnicy, tylko tobie, gdyż powtórzysz to, co powiem, księciu.

- Ha, trudno! Jeśli nie chcesz mówić przy dozorczy, będzie musiał wyjść!

Dozorca wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

- Rozmyśliłem się - odezwał się Jose. - Nic nie powiem!

- Jeśli liczysz na pomoc seniorit, to się srodze zawiedziesz.

- Jak to? - zapytał Jose przestraszony.

- Wszystko się wydało! Straż więzienia została zmieniona i nie możesz na nią liczyć!

- Widzę, że nie ma innego wyjścia! - rzekł Jose z przygnębieniem. - Wszystko powiem, otóż...

- Nie jesteś Zorrą! To chciałeś powiedzieć, nieprawdaż?

- Taak!...

- Wiem o tym tak samo dobrze jak ty!

Zdumienie pojawiło się na twarzy więźnia. Zefirio zaś mówił dalej:

- Dlatego pragnę cię uwolnić! Ale stawiam jeden warunek: musisz opuścić Saragossę, i to

natychmiast.

- To jest niemożliwe... Nie mogę zostawić Frasquity!
- Frasquita opuściła miasto. Jest w drodze do Lizbony!
- Carramba! Zabrała moje pieniądze!
- Mylisz się... To ja jej dałem na podróż! Więc zgadzasz się uciec do Portugalii?
- Zgadzam się!
- Więc przystępujemy do dzieła.

Zefirio wyciągnął z kieszeni sznury oraz mały klucz.

- Uważaj, Jose - rzekł przystępując do niego. - Zdejmę ci kajdany, natomiast ty musisz mnie związać i zakneblować. Weźmiesz mój płaszcz i sombrero, po czym zapukasz na dozorcę. Gdyby o coś się pytał, mrukniesz: Idę do księcia! Na zewnątrz jest już ciemno... Przechodząc obok strażnika przy bramie, rzuć mu: "otwórz bramę!" Gdyby coś do ciebie mówił, nie odzywaj się ani słowem!

- Dobrze!... Będę pamiętał!

Kajdany opadły na ziemię. Jose związał i zakneblował Zefiria, otulił się w jego płaszcz, nacisnął sombrero na oczy i zapukał do drzwi. Rozległy się kroki dozorca, który czuwał w pobliżu i drzwi otworzyły się. Jose wyszedł i poszedł wzdłuż korytarza.

- No i cóż? - zapytał dozorca. - Wyjawiał ci tajemnicę, senor? - Idę do księcia! - mruknął Jose, przyspieszając kroku.

- Ciekaw jestem, czy to wpłynie na decyzję księżęcą! Oni wszyscy są tacy, ci skazańcy. Pragną za wszelką cenę odwiec egzekucję, a więc wynajdują różne tajemnice i inne wykręty.

Jose miał chęć zdzielić przez łeb gadatliwego dozorcę, lecz się powstrzymał wielkim wysiłkiem woli. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło!

- Otwórz bramę! - rzucił zbliżając się ku odźwiernemu.

Klucz zgrzytnął w zamku.

- Kto to jest Belfegor, senor? - zapytał klucznik, któremu ciekawość nie dawała spokoju.

Jose milczał.

- Coś nie bardzo jesteś rozmowny teraz, senor! Mógłbyś mi jednak wytłumaczyć...

Lecz Jose wysunął się przez otwartą furtę i znikł w ciemnościach.

Klucznik puknął się w czoło.

- Biedny człowiek, z głową ma nie w porządku! To prawda, co mi powiedział, że gdy wchodzi do więzienia gada zbyt wiele, natomiast nic nie mówi wychodząc! Gdy powróci nazajutrz, musi mi koniecznie powiedzieć, kto to jest ten Belfegor!

Zaledwie Jose przeszedł przez most, jakaś postać wyłoniła się z ciemności i zbliżyła się ku niemu.

- A więc udało się, Jose! Pozwól, że cię odprowadzę do domu.

- To ty, Motelo? - zapytał Jose.

- Tak, to ja!

- Skąd wiedziałeś, że wyjdę?

- Odrzuciłeś mą pomoc, licząc na różne księżne, hrabiny i królowy. Ja jednak wiedziałem, że wszystko zawiedzie w ostatniej chwili!

Jose szedł w milczeniu. Nie starał się zgłębiać tajemnicy swej ucieczki, myślał teraz o Frasquicie oraz o pieniądzach schowanych w mieszkaniu.

Wkroczyli w ciasne uliczki biednej dzielnicy i niebawem dotarli do celu. Po drodze Jose nie zwrócił uwagi na powóz stojący w poprzecznej ulicy. Powóz ten stał samotnie w ciemności. Od czasu do czasu końskie prychanie oraz niecierpliwe grzebanie kopytem zdradzało czyjąś obecność.

- Żegnaj, Motelo! - rzekł. - Idę na górę. Położę się spać!

- Oszalałeś? Przecież będą cię szukać! Musisz natychmiast uciekać z miasta! Weź tylko potrzebne rzeczy i w drogę.

- Ani mi się śni! Muszę najpierw złożyć wizytę mej księżniczce! Nie mogę wyjechać bez pożegnania.

Motelo był wściekły. Klął i wymyślał, lecz to nic nie pomogło. Jose zostawił go na ulicy i sam udał się do swego mieszkania.

Zaledwie przekroczył próg, rzucił się na podłogę w kącie i zaczął odrywać deski. Po chwili

westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Pieniądze don Sebastiana leżały nietknięte. Wpakował je do kieszeni i zdjął sombrero z głowy, zamierzając położyć się w ubraniu do łóżka. Wtem na ulicy rozległ się cichy świst. (W ten sposób męty Saragossy uprzedzają się nawzajem o grożącym niebezpieczeństwie). W kilku susach zbiegł po schodach i wypadł na ulicę. W tej samej chwili trzy pary rąk ujęły go za ręce i nogi. Zanim zdążył pomyśleć o obronie, został powalony na ziemię i solidnie skrępowany. W ciemności nie mógł odróżnić swych napastników, którzy działali szybko, sprawnie i w milczeniu. Poczuł, że go podnoszą z ziemi i niosą w niewiadomym kierunku. Nie zaniesiono go jednak zbyt daleko. Usłyszał, że otwierają jakieś drzwiczki i pakują go do środka. Opadł na miękkie siedzenie. Dopiero teraz zrozumiał, że znajduje się w powozie.

Jeden z napastników dostał garść złota. Jose usłyszał słowa: W porządku, senores, i dziękuję! Głos ten nie był mu nieznajomy.

To Motelo! pomyślał. Poczekaj, zdrajco, już ja się z tobą policzę, gdy wydostanę się z tej opresji!

Jakiś człowiek wlaź do karety i usiadł obok niego. Drugi siedział na koźle. Rozległ się trzask bata i konie ruszyły.

Jak długo jechali, nie miał pojęcia, gdyż znużony przeżyciami ostatnich kilku godzin, zasnął, pomimo więzów, które go krępowały. Gdy się obudził, kareta sunęła drogą po zboczach góry.

Jose poruszył swobodnie ręką. Był wolny. Więzy zdjęto z niego podczas snu. Spojrzał w bok i spostrzegł grubego młodzieńca, który - wciśnięty w kąt powozu - spał spokojnie.

Jose otworzył ostrożnie drzwiczki i zmierzył odległość oczami. Już miał skoczyć, gdy potężna ręka schwyła go z tyłu za kołnierzyk i rzuciła na siedzenie w powozie.

- Nie opuszcza się przyjaciół bez pożegnania lub bez słowa podziękowania - rzekł gruby młodzieniec, a był to Malibran. - Dobrze, że się w porę obudziłem. Roztrzaskałbyś głowę o skały, mój Jose.

- Dlaczego mnie więzicie? - zapytał ponuro Jose, rozglądając się jednocześnie za jakąkolwiek bronią.

- Kto cię więzi? - zdumiał się Malibran. - Co ci się przywidziało?

- A więc co ma znaczyć ten napad w nocy, te sznury, którymi skrępowaliście mnie całego, ten powóz, który wiezie mnie nie wiadomo dokąd?

- Trochę cierpliwości, mój Jose, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że nie spodziewaliśmy się po tobie takiej czarnej niewdzięczności. Jeden z mych przyjaciół poświęcił się dla ciebie i gnije teraz w lochu, ty zaś ściskasz rękojeść noża w kieszeni, gotów przebić mnie w momencie, gdy się odwrócę...

Jose wypuścił nóż z ręki. Malibran mówił dalej:

- Przrzekłeś memu przyjacielowi, że opuścisz Saragossę natychmiast po dokonanej ucieczce z więzienia. Zamiast tego udałeś się do domu na spoczynek, by nazajutrz złożyć wizytę księżniczce. Czy mój przyjaciel po to się poświęcił, byś mógł swobodnie składać wizyty senioritom? Nie, mój spryciarzu. Tam w Lizbonie czeka na ciebie Frasquita. Należy dochować jej wierności. Zapomnij o arystokratkach, które dbają o ciebie dopóty, dopóki sądzą, że jesteś prawdziwym Zorram. Nie powinieneś jednak zapominać, że jesteś zwykłym opryskiem i rzeźnikiem, któremu przewróciło się w głowie, z chwilą gdy go wzięto za kogoś innego!

- Wracajmy do Saragossy! - mruknął Jose.

- Nie zapominaj, że w Lizbonie będziesz prowadził spokojne życie wraz z Frasquitą!

Lecz Jose nie chciał nic słyszeć o spokojnym życiu. Tam, w Saragossie, polowano zapewne na niego, naznaczono cenę za jego głowę. Jose kochał się jednak w niebezpieczeństwie. Zapomniał o swym wyroku śmierci, zapomniał o zgniłej słomie, o lochu bez światła i powietrza, zapomniał o wszystkim i tylko powtarzał uparcie:

- Wracajmy do Saragossy!

Malibran wyczerpał wszystkie argumenty i stracił wreszcie cierpliwość:

- Możesz pożegnać się z Saragossą, nicponiu! Prędzej kark skręcisz, niż do niej powrócisz...

Nie dokończył, gdyż został gwałtownie odepchnięty i upadł na poduszki.

Jose otworzył drzwiczki i wyskoczył z toczącego się powozu.

Powóz, kierowany przez Porfiria, sunął powoli drogą prowadzącą przez góry. Z jednej strony karety wznosiła się stroma, skalna ściana, z drugiej zaś znajdowała się głęboka przepaść. Odległość

między kołami pojazdu a krawędzią przepaści wynosiła trzy, cztery kroki. Jose spodziewał się, że zdoła utrzymać się na tej piędzi ziemi i skoczył.

Niestety, skok był źle obliczony, gdyż nie wziął pod uwagę otwartych drzwiczek powozu. Został nimi uderzony i runął prosto w przepaść.

- Stój, Porfirio, stój! - ryknął Malibran. - Jose wyskoczył z karety!

Porfirio ściągnął lejce i zeskoczył z kozła. Malibran klęczał nad krawędzią i patrzył w dół.

- Stoczył się po zboczu góry.

- Musimy zejść! - odparł Porfirio. - Przekonamy się, czy żyje!

Pozostawili powóz na drodze, a sami, czepiając się wystających kamieni i nierówności zbocza, zsunęli się na dół.

Jose leżał twarzą do ziemi.

Porfirio odwrócił go na plecy. Bandyta nie żył.

- Jakie życie, taka śmierć! - rzekł sentencjonalnie Malibran. - Przedwczesny zgon był mu sądzony.

- Musimy go jednak pochować po chrześcijańsku - zdecydował Porfirio.

Domek don Antonia

Zmierzch zapadł. Don Antonio stał oparty o drzewo i paląc cigarillo, oddychał świeżym, wieczornym powietrzem.

Uważniej mu się przyglądając, można było dostrzec, że błądzący wzrok jego spoczywał od czasu do czasu na oddalonym domu Anzelma Cortiego, w którym paliły się światła w oknach.

- Jeszcze dwie, trzy godziny, a zabieramy się do dzieła - szepnął don Antonio. - Zaczniemy, gdy pogasną światła.

Powolnym krokiem udał się z powrotem do domu don Sebastiana.

Wszedł do pokoju przeznaczanego dla jego ludzi. Siedzieli przy stole i grali w karty.

- Don Antonio, przyłącz się do nas! - zawołał jeden z nich. - Brak nam czwartego partnera.

- Grajcie beze mnie. Głowę mam zaprzatniętą czym innym! - Będziemy mogli przystąpić do roboty?

- Należy poczekać! Jeszcze nie czas!

Don Antonio poprawił knot w świecy i usiadł w milczeniu.

Przesiedział w ten sposób około godziny, przyglądając się grającym. Zabrakło mu jednak cierpliwości. Wstał i wyszedł powtórnie na dwór. Przebył szybko odległość dzielącą go od posiadłości Cortiego i rzucił wzrokiem w kierunku jego domu. Wszystkie światła pogasły. Tylko w jednym oknie świeciło się jeszcze.

- Wszyscy prawie śpią! - mruknął don Antonio. - Zdaje się, że będziemy mogli zacząć. Należy się jeszcze upewnić, czy don Sebastiano nie złoży nam niespodziewanej wizyty, by się przekonać, co robimy!

Zawrócił ku domowi i udał się prosto do pokoi zajmowanych przez don Sebastiana.

Zastał go przy sprawdzaniu rachunków gospodarskich.

- No i cóż powiesz, senior? - zapytał don Sebastiano, unosząc głowę. - Nie rozmyśliłeś się jeszcze? Wciąż chcesz budować domek na kamieniach?

- Pragnę tego bardziej niż kiedykolwiek! Krajobraz jest wspaniały!

- Nie wiem doprawdy, co widzisz tam pięknego. Łąki i pola ciągną się aż do zabudowań Anzelma Cortiego. Z przeciwnej zaś strony widok na lasy należące do mnie. Nie ma tu nic oryginalnego!

- Spędziłeś tutaj wiele lat, don Sebastiano - odparł don Antonio i ziewnął. - Nic więc dziwnego, że nie znajdujesz w tej okolicy żadnego uroku. Dla nowo przybyłego okolica ta jest piękna!

- Możliwe! - zgodził się don Sebastiano. - Z tego punktu widzenia może masz rację!

- Tymczasem pozwolisz, że cię pożegnają. Ja i moi ludzie znużeni jesteśmy podróżą. Należy nam się wypoczynek, wobec tego idziemy wszyscy spać!

Pożegnali się i don Antonio wyszedł. Myliłby się, jeśliby sądził, że don Sebastiano siedział w dalszym ciągu przy stole, pogrążony w kolumnach cyfr.

Zaledwie don Antonio zamknął drzwi za sobą, don Sebastiano odsunął papiery od siebie i szepnął:

- Chytry lis! Ziewa ostentacyjnie i myśli, iż mu wierzę, że idzie spać. Ta jego bajeczka o domku

dla córki coś w sobie kryje. Ale co?

Wstał i zbliżył się ku drzwiom, mówiąc:

- Ciekaw jestem, czy rzeczywiście poszli spać!

Wyszedł z domu i po cichu go okrążył.

W tej samej chwili skoczył na bok, kryjąc się za załamem muru. W migotliwym blasku gwiazd dojrzał cztery cienie ostrożnie oddalające się od domu. Skradając się jak kot, don Sebastiano poszedł za nimi.

Ludzie przekroczyli granicę posiadłości Anzelma Cortiego i sunęli naprzód bezszelestnie. Po pewnym czasie padł cichy rozkaz:

- Stój!! Muszę poczynić wymiary!

Don Antonio coś mierzył pochylając się ku ziemi. Odmierzył przestrzeń krokami, zawrócił, coś wyliczał półgłosem, wreszcie rzekł:

- Musimy iść dalej!

Poszli naprzód. Gdy znaleźli się nie opodal zabudowań Cortiego, don Antonio zatrzymał ich i ta sama scena powtórzyła się. Na koniec kiwnął na swych ludzi i rzekł półgłosem:

- Skarb powinien być tutaj.

Don Sebastiano, który korzystając z ciemności, nie odstępował ich na krok, drgnął słysząc te słowa. I zaczął pojmować w czym rzecz.

Aha, ty lisie! Ładny domek chciałeś budować! Co za bezczelność! Korzystać z mych gruntów, ażeby wygrzebywać dla siebie zakopane skarby! Ale przeliczył się. Zapomniał, kochany don Antonio, że ma do czynienia ze swym starym przyjacielem Sebastianem! Chciał mnie ominąć przy podziale, mimo że korzysta z mej gościny!... Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni!

Podczas gdy tak rozmyślał leżąc brzuchem na ziemi, ludzie w odległości dwudziestu pięciu kroków kopali zawzięcie.

Praca ta trwała około trzech godzin. Rozkopali grunt, lecz nic nie znaleźli. Don Sebastiano słyszał wyraźnie ciche przekleństwa i złorzeczenia.

- Dostyc na dzisiaj! - rozkazał don Antonio. - Nic nie znaleźliśmy teraz, to prawda, lecz znajdziemy następnej nocy. Plan zawiera wskazówki, które można dwojako zrozumieć. Skoro przekonałem się, że tutaj nie ma, przysięgnę, że skarb znajduje się w drugim miejscu zaznaczonym na planie. Następnej nocy wydobędziemy go i niezwłocznie ruszymy z powrotem do Saragossy!

- Jeśli ci wcześniej łba nie uknę! - szepnął don Sebastiano, wycofując się ostrożnie.

Radosna nowina

Mercedes i Dolores siedziały na sofie, jedna obok drugiej, i rzewnie płakały. Od czasu do czasu przestawały płakać, wycierały oczy koronkowymi chusteczkami i spoglądały na siebie wzrokiem pełnym żalu i bóleści.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że również go kochasz? - łkała Mercedes.

Działo się to wczesnym rankiem w pokoju Dolores, nazajutrz po wstrząsającej scenie z don Alvarezem.

Tak były zaprzątnięte swą rozpaczą, że nie słyszały pukania do drzwi oraz nie widziały pokojówki Pepity, która wślizgnęła się do pokoju. Nie zwróciły również uwagi na dziwny ruch, jaki panował za oknami.

Oficerowie i żołnierze biegali tam i z powrotem. Rozlegały się zmieszane głosy, padały urywane rozkazy i przekleństwa.

Pepita wchodząc dostrzegła zaczerwienione oczy obu senorit i uśmiechnęła się leciutko. Przebiegła dziewczyna знаła przyczynę tej rozpacz. Zaczęła się kręcić po pokoju, niby to ścierając kurz i porządkując różne drobiazgi.

Wreszcie obecność jej zwróciła uwagę Dolores.

- Możesz wyjść, Pepito - rzekła do niej z niezadowoleniem w głosie. - Przeszkadzasz nam w rozmowie!

Pepita wiedziała dobrze, co to była za rozmowa.

- Księżniczko! - rzekła. - Chciałam przekazać ci straszną wiadomość...

Obie drgnęły i spojrzały przestraszone na pokojówkę.

Jedna i ta sama okropna myśl przyszła im do głowy: Zorro został stracony!

Dolores wyciągnęła rękę i wyszeptala słabym głosem:

- Nie, nie, daj spokój... Nie jestem ciekawa, Pepito!

- Szkoda, księżniczko - rzekła pokojówka, uchylając drzwi. - Szkoda, że nie chcesz wiedzieć...

Książę jest w strasznym humorze, wszyscy potracili głowy... Ta ucieczka Zorry...

Była już za progiem, gdy wymawiała ostatnie słowa. Zamknęła drzwi za sobą.

Dolores i Mercedes zerwały się na równe nogi. Jakby pchnięte niewidzialną sprężyną, rzuciły się obie do drzwi i otworzyły je gwałtownie.

- Pepito, Pepito! - zawołała rozdzierającym głosem Dolores. - Wróć!...

Pepita była już w sąsiedniej sali. Weszła z powrotem i zbliżyła się ku senioritom.

- Co rozkażesz, księżniczko? - zapytała na pozór obojętnie.

- Mówiłaś coś o ucieczce Zorry! - zawołały Dolores i Mercedes jednocześnie, przerywanym ze wzruszenia głosem.

- Zorro uciekł ubiegłej nocy!

- W jaki sposób?

- Odwiedził go w celi senior Zefirio. Nie wiadomo jakim cudem Zorro pozbył się łańcuchów, rzucił się na seniora Zefiria, związał go, zakneblował, włożył jego płaszcz oraz kapelusz, po czym wyszedł spokojnie z więzienia, nie zatrzymywany przez nikogo...

Dolores i Mercedes dyszały ciężko, słysząc opowieść pokojówki. Dolores chwiała się na nogach. Mercedes nie mogła powstrzymać się od radosnego uśmiechu.

- Książę Ramido szaleje - ciągnęła dalej Pepita. - Wysłała oddział za oddziałem, cała okolica została przetrząśnięta, wszystko na próżno, Zorro znikł bez śladu...

- Idę do księcia! - szepnęła Dolores do Mercedes.

- Idę z tobą!

Pobiegły do apartamentów książęcych.

Już z dala słyhać było gniewny głos księcia Ramida. Dworacy chodzili na palcach. Wszyscy mieli przerażone miny. Z gabinetu wybiegali co chwila adiutanci, niosąc rozkazy.

Dolores weszła do gabinetu, Mercedes pozostała za drzwiami. W szerokim fotelu siedział don Alvarez. Oblicze jego było nachmurzone. A książę biegał po pokoju jak dziki zwierz. Wściekłość jego była nieopisana. Grzmiał na cały pałac:

- Ten kretyń, ten bałwan zgnije w więzieniu... Dość mam tego Zefiria!... To niesłychane... Dać się powalić skutemu bandycie...

- Odpokutuje za to! - potwierdził ponuro don Alvarez.

W głębi duszy cieszył się, iż Zefirio zostanie ukarany. Nie mógł wybaczyć głupiemu razów, jakie mimo woli otrzymał podczas sławetnego popisu z jabłkiem. Nie zapomniał również dawnych drwin Zefiria na temat jego i Zorry, nie mógł mu wybaczyć ostatnio, że sława pojmania nieuchwytnego bandyty przypadła nie jemu, walecznemu don Alvarezowi.

- Nie wyjdzie z więzienia - dodał po chwili. - Okolice odetchnie pozbywając się tego bałwana!

Dolores żałowała, że zrobiła tego chłopca pokutującego w celi, jako ofiarę własnej niezaradności.

- Wybacz, książę - rzekła stanowczym głosem - lecz nie mogę oprzeć się chęci powiedzenia prawdy. Krzywdzicie biednego chłopca...

- Jak śmiesz! - ryknął książę.

- Jak śmiem? - odparła Dolores wcale nie przestraszona wściekłą miną księcia. - Poczucie sprawiedliwości dodaje mi odwagi. O co go obwiniacie? Czy umyślnie ułatwił ucieczkę Zorry? Stało się nieszcześnie i Zefirio pierwszy padł ofiarą...

- Po co laź do celi?

- Dlaczego wpuszczono go? Odpowiadać powinien ten, kto go wpuścił!

Don Alvarez zagryzł wargi z hamowanej wściekłości. Chętnie rozszarpałby Dolores w kawałki. Oczywiście, że winę ponosił on sam, polecając komendantowi więzienia, by wpuszczano Zefiria o każdej porze dnia i nocy.

- To prawda. Dolores ma rację! - zawołał książę. - Winę ponosi ten, kto zezwolił na wpuszczenie głupca do celi. Była to karygodna nieostrożność!

Don Alvarez siedział jak na rozżarzonych węglach. W tej chwili chętnie udusiłby księcia i księżniczkę, gdyby to było w jego mocy.

- Don Alvarez! - zwrócił się książę do pułkownika. - Dowiedz się, kto wpuścił Zefiria do celi!

- Nie potrzebuję się dowiadywać! - odparł don Alvarez ponuro.

- Jak to?

- Niestety, dobrze wiem, kto to uczynił.

- Kto? Mów!

- Ja!

- Ty, pułkowniku? - zdumiał się książę.

- Tak!

- Dlaczego uczyniłeś to, senor Alvarez? - zapytał z powstrzymany gniewem książę.

Był rad, iż znalazł jakiś pretekst przeciwko don Alvarezowi, temu intrygantowi, który z rozkazu królowej Izabelli II odebrał mu zwierzchnictwo wojskowe.

Lecz oficer zwęszył niebezpieczeństwo, wskutek czego, chcąc się obronić, zmuszony był bronić Zefiria.

- Dlaczego zezwoliłem, by Zefirio wszedł do celi? Bardzo proste! Przecież to Zefirio wydał w nasze ręce Zorrę! Gdyby nie Zefirio, nie znalazłbyśmy nawet prawdziwego oblicza tego bandyty. Więc nie miałem prawa mu odmówić, by go pilnował w jego celi. Zefirio trzął się ze strachu, że Zorro ucieknie z lochu i pomści na nim swe uwięzienie...

- Hm! - mruknął książę w zadumie.

- A więc czyż mogłem odmówić chłopcu, któremu zawdzięczaliśmy unieszkodliwienie Zorry?

- Don Alvarez ma rację, wujku! - zawołała Dolores. - Zefirio miał prawo czuwać nad więźniem. To że stało się nieszczęście, nie jest jego winą.

- Więc co mam uczynić według ciebie? - zapytał książę.

- Wypuścić go natychmiast na wolność! W Aragonii oraz w Kastylii zapanowały nudy bez Zefiria. Wszyscy ziewają aż do zwichnięcia szczęk...

Uwolnienie Zefiria

Mercedes okazała przepustkę klucznikowi i udała się do kancelarii więzienia.

Komendant więzienia przyjął ją z wielce ponurą miną.

W chwili gdy Mercedes weszła, przed nim stał strażnik więzienia i z bolesnym wyrazem twarzy coś mu przedkładał.

- Seniorita? - zapytał komendant.

- Przychodzę w sprawie Zefiria Cortiego.

- Niech go pioruny utłuką! - wrzasnął naczelnik więzienia, zrywając się z miejsca. - Nie chcę nic słyszeć o nim!

- Dlaczego? - zapytała zdumiona.

- Carramba, maładetta i milion piorunów siarczystych, seniorito! Najgorsi wariaci, zbrodniarze, mordercy i złodzieje wysiadali tutaj za kratami, ale czegoś podobnego nie widziałem, póki żyję. Żaden z kluczników nie chce dyżurować w korytarzu, gdzie znajduje się jego cela. Pół godziny nie można wytrzymać. Więźniowie w celach więziennych szaleją.

- Co się stało, mój Boże? - zawołała Mercedes wystraszona.

- Co się stało? Żałuję tylko, że nie mogę tego przekłętą Zefiria wpakować do najgłębszego lochu... Gdyby choć krzyczał lub wył całymi dniami i nocami, to jeszcze pół biedy. Do wycia i krzyków jesteśmy przyzwyczajeni! Ale on, czy wiesz, seniorito, co on robi?

- Skąd mogę wiedzieć? Przecież mi nie powiedziałeś jeszcze, komendancie!

- On tworzy! - ryknął dygnitarz więzienny. - Tworzy wiersze!...

- Tylko to? - roześmiała się Mercedes. - Nie widzę w tym nic złego, że Zefirio z nudów stał się poetą.

- Nic złego?.. Ha, ona mówi, że to nic złego!

Paroksyzm wściekłości minął i naczelnik zapytał spokojnym tonem:

- W jakiej sprawie przychodzisz, seniorito?

- Przynoszę uwolnienie Zefiria Cortiego podpisane przez księcia wielkorządę.

- Cooo? - zerwał się na równe nogi naczelnik więzienia, a na twarzy jego odbiły się radość i niedowierzanie.

Mercedes podała mu papier.

- Bądź błogosławiona, seniorito! - zawołał po przeczytaniu papieru. - Spadasz mi jak z nieba. Już trzeci klucznik chciał podać się do dymisji. Czy chcesz asystować przy jego uwolnieniu?

- Owszem!

- Chodźmy zatem! - zwrócił się do niej oraz do uradowanego klucznika. - Mieliśmy właśnie zamiar, wbrew regulaminowi więziennemu, włożyć mu knebel w usta. Obecnie jest to zbyt bezpieczne!

Wybiegł z pośpiechem. Za nim podążył strażnik, dzwoniąc kluczami, pochód zamykała Mercedes.

Niebawem znaleźli się na korytarzu. Panował tutaj hałas i wrzask nie do opisania. We wszystkich celach rozlegały się dzikie okrzyki i przekleństwa. Nad tym piekielnym hałasem górował jednak donośny głos męski, skandujący wiersze.

- Prawdziwa trąba Sądu Ostatniego! - krzyknął dyrektor do ucha Mercedes. - Skąd się u tego cherlaka bierze taka siła w płucach? To jest zagadka, której nie mogę zrozumieć!...

- I to trwa prawie dwadzieścia cztery godziny bez przerwy! - dodał pobladły nadzorca, dzwoniąc kluczami.

Stanęli wreszcie przed drzwiami celi.

I podczas gdy klucznik zmagał się z zamkiem, Mercedes słyszała wyraźnie słowa wiersza:

Swój miecz płomiennolśniący zawiesił nad cną Hermenestrą,

Rzekł: nędzna istoto, niewierność przyplacisz konaniem,

Kochanek twój zginął i śmierci jam dzisiaj maestro,

Śmierć wczoraj, śmierć dziś i śmierć jutro,

Nie skończę tak prędko z karaniem.

Skaranie boskie z nim! - ryknął naczelnik więzienia. - Otwieraj, do licha, czym prędzej! Czego stoisz?

Drzwi otwarły się ze zgrzytem i światło latarni padło na barłóg, gdzie leżał Zefirio ze skutymi rękami i nogami i deklamował grzmiącym głosem:

Cna białogłowa, padając przed nim na kolana,

O Sinobrody, jęknęła, niesłusznie mnie krzywdzisz swym gniewem,

Kochałam cię, Kocham, do grobu ci będę oddana,

Mej krwi niewinnej, swe dłonie poplamisz, wylewem!

- Krwi twojej, krwi pragnę! - ryknął naczelnik więzienia. - Prędzej, rozkuć go!

Klucznik pośpiesznie rozkuł więźnia.

Zefirio wstał, przeciągnął się, ziewnął i teraz dopiero raczył dostrzec Mercedes.

- A, Mercedes! - zawołał uradowany. - Cieszę się, że cię widzę!

- Jesteś wolny, Zefirio!

- Naprawdę? ... Ach, to dobrze się składa. Wyobraź sobie, że w gardle mi już zaschło od tych przeklętych wierszy, a w głowie od tworzenia huczy niby w ulu!

Wyszli na korytarz.

Cisza panowała teraz kompletna. Więźniowie, nie słysząc deklamacji, uspokoili się i przycichli.

- Dlaczego wyprawiasz takie brewerie, Zefirio? - zapytała Mercedes, gdy znaleźli się na ulicy.

-Jakie brewerie?

- Te bezustanne krzyki w celi.

- Masz na myśli mą twórczość poetycką?

- Tak!
 - Tworzyłem, by zabić nudy; deklamowałem, by wystraszyć szczury!
 - Wystraszyć szczury?
 - Wyobraź sobie, kuzynko, że szczury boją się głosu ludzkiego! Skuty nie mogłem się bronić w inny sposób! Dobry pomysł, co?
 - Kto by pomyślał!
 - To mój wynalazek! O, co do pomysłów, jestem niedościgniony, kuzynko!...
 Szli pewien czas w milczeniu. Zefirio myślał chwilę, wreszcie się odezwał:
 - Dokąd idziemy?
 - Powóz czeka nie opodal! Wracamy do domu!
 - Jestem głodny po tym wszystkim!
 - Prowiant jest w powozie!
 - Czy nie widziałaś przypadkiem mych przyjaciół, Porfiria i Malibrana?
 - Nie, nie widziałam!
 - Hm!... A czy Zorro został ujęty?
 - Nie!
 - To świetnie!
 Mercedes spojrziała zdumiona na Zefiria.
 - Sądziłam - rzekła - że zależy ci na schwytaniu Zorry! - Nigdy w życiu! - zaprzeczył Zefirio. - Nie mogło mi zależeć na schwytaniu Zorry, gdyż sam go uwolniłem.
 - Cooo? - zdumiała się Mercedes.
 - Mówię ci to w zaufaniu, rozumie się. To ja własnoręcznie go uwolniłem!
 Lecz na obliczu Mercedes odbiło się niedowierzanie.
 - Dlaczego to uczyniłeś? - zapytała.
 - Bo to nie był Zorro! - oświadczył spokojnie Zefirio.
 - Nie rozumiem...
 - To był zwykły opryszek, który podszywał się pod osobę Zorry, by bezkarnie, jak sądził, łupić podróżnych.
 Mercedes stanęła spoglądając na mówiącego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.
 - Dlaczego nie zastanowiłaś się nad pewną okolicznością? - ciągnął dalej Zefirio. - Znalazłem domniemanego Zorrę leżącego bez przytomności w lesie, prawda?
 - Tak!
 - Kto go tak urządził? Kto zwyciężył go w pojedynku? Przecież nie ja!
 - Więc kto?
 - Prawdziwy Zorro! - zakończył z triumfem Zefirio. - Tylko ja się tego domyśliłem. Wiesz kiedy? Gdy leżąc w celi tworzyłem poemat o Sinobrodym i jego ośmiu zamordowanych żonach.

Skarb

Noc zapadła, ciemna i pochmurna. Wicher dał, chmury przesłoniły gwiazdy i mżył drobny deszcz. Głucha cisza panowała dookoła, przerywana tylko poszumem wiatru.

Z hacjendy don Sebastiana wyłoniła się postać ludzka. Za nią podążyły inne. Zachowując największą ostrożność, grupa ta posuwała się naprzód. Pozostawiła za sobą dobra, z których wyruszyła, i teraz posuwała się po gruntach don Anzelma Cortiego. '

W pewnym oddaleniu za tą grupą podążała inna, zachowując nie mniejszą ostrożność. Widoczne było, iż zależało im na tym, by ludzie idący w pierwszej grupie nie zauważyli ich.

Po pewnej chwili ludzie idący przodem zatrzymali się. Błysnęło nagle światło latarki, z której zdjęto osłaniający ją płaszcz, i jakiś człowiek pochylił się nad papierem. Był to don Antonio, który sprawdzał plan.

- Jest rozdwojone drzewo i ugor na lewo - szepnął. - Za ugozem ciągnie się na pewnej przestrzeni pas kamieni.

Latarka została osłonięta i ludzie ruszyli dalej. Szli dość długo. Wreszcie niewielki, kamienny

budynek zarysował się przed nimi.

- Kapliczka! - szepnął don Antonio. - Teraz rozumiem: krzyżyk na planie oznacza kaplicę! Ten drugi krzyżyk nie miał żadnego znaczenia!...

- Kapliczka to mało! - odparł również szeptem drugi mężczyzna. - Nie możemy przecież wysadzić jej w powietrze, by szukać ukrytego skarbu!

- Bądź spokojny, nie będziemy szukać na ślepo. Na planie poza krzyżykiem umieszczona jest mała kropka. Czy wiesz, co ona oznacza?

- Skarb?

- No tak! Skarb ukryty za kaplicą! Za mną!

Zbliżył się do małego budynku, okrążył go i zatrzymał się szepcząc:

- Na lewo mamy cmentarzyk rodu Cortich, tutaj zaś, pod samą ścianą, spoczywa wielka płyta kamienna...

- Pod tą płytą jest skarb?

- Zgadłeś synu!

- A więc zwawo do roboty!

Zabrali się energicznie do kopania. Don Antonio przyświecał im latarnią, rozpościerając jednocześnie swój szeroki płaszcz, by światło latarni nie rozpraszało się zbyt daleko.

Pochłonięci swą czynnością, nie dostrzegli drugiej liczniejszej grupy ludzi.

Grupa ta zbliżyła się dość blisko. Przewodził im otyły hacjendero don Sebastiano.

A łajdak, a nicpoń! - szeptał ledwie dosłyszalnie. - Skarbu ci się zachciało! Korzystasz z mej gościny, by mnie ograbić z należnej mi części?.. Czekaj, don Antonio, przyjacielu najwierniejszy! Pokażę ci, co potrafi don Sebastiano!

Ludzie don Antonia unieśli wreszcie kamienną płytę.

- Senor! - Odezwał się jeden z ludzi, zwracając się do don Antonia. - Pod płytą znajduje się głęboki otwór!

Don Antonio zbliżył się i oświetlił latarnią otwór - okrągły i głęboki jak studnia.

- Kto ma sznury? - zapytał półgłosem.

- Ja! - rozległ się głos.

Rzucono sznur i jeden z ludzi zsunął się do otworu. Pozostali czekali w napięciu, nachyleni nad otworem.

Nie mniej podniecony był don Sebastiano, który z odległości dwudziestu zaledwie kroków widział wszystko jak na dłoni. Uplęnęła długa chwila.

Nagle rozległ się głos w głębi otworu:

- Chłopcy, namacałem ciężki kuferek... Nie dam rady sam jeden!

- Przywiąż doń koniec sznura! - zawołał don Antonio. - Wyciągniemy wspólnie!

- Dobrze! - zabrzmiała odpowiedź.

Ludzie zaczęli ciągnąć. Nie szło to zbyt łatwo, póki kuferek był w ziemi. Gdy jednak znalazł się tuż pod otworem, wyciągnięto go na powierzchnię błyskawicznie.

Don Sebastiano szepnął do swych ludzi:

- Szykujcie się! Odbierzemy im kuferek!

Wszyscy ci ludzie, zarówno don Antonia, jak i don Sebastiana, nie zauważyli, że zbliżał się ktoś nowy. Gibkie ciało sunęło bezszelestnie przez sąsiedni zagajnik, gdy wtem zatrzymało się raptownie w swym biegu. Uwagę samotnego wędrowca przykuło światelko, które błysnęło obok kaplicy. Zatrzymał się w biegu, widocznie zdumiony tym niezwykłym zjawiskiem. Wahanie trwało ułamek sekundy, po czym człowiek zmienił pierwotny kierunek swego biegu i sunął w stronę kaplicy. Gdy tak biegł bezszelestnie, nachylony ku ziemi, podobny był bardziej do nocnego, drapieżnego zwierzęcia niż do człowieka.

Wreszcie zatrzymał się.

Przed oczami miał dziwne widowisko. Przy świetle latarki jacyś ludzie wyciągnęli z ziemi niewielki, lecz ciężki kuferek.

W tej samej chwili inni ludzie wyłonili się z ciemności i zaatakowali ludzi przy kufeku.

Zawrzała walka na noże, walka bez pardonu i w najgłębszym milczeniu.

Przyczajony człowiek obserwował tę scenę. Rzekłbyś, że nie człowiek to, lecz tygrys lub pantera.

Podobieństwo stało się tym bardziej ludzające, gdy po ziemi, jak ogon drapieznika przyczajonego do skoku, wił się koniec bata.

Latarnia zgasła, ludzie zaś bili się nadal w ciemnościach. Wtem rozległ się rozpaczliwy okrzyk:

- Nie ma kuferka!... Kuferek zginął!

W odpowiedzi rozległy się dzikie przekleństwa. Przerwano walkę, lecz w tej samej sekundzie spadła na nich druga, daleko przykrzejsza niespodzianka w postaci świszczącego bicia z bawolej skóry.

- Aje... aje!... - rozległy się wycia bólu.

- Zorro... Zorro! - rozległ się głos don Sebastiana. Pomimo ciemności poznał z samego dotknięcia, że smagający bicz należał do Zorry.

Panika ogarnęła ludzi. Próbowali uciekać, każdy w inną stronę, lecz Zorro miał chyba oczy rysia, skoro widział doskonale, pomimo głębokich ciemności.

Każdego z uciekinierów dosięgał koniec bicia, owijał się jak wąż dookoła szyi lub korpusu i gwałtownym szarpnięciem. ściągał z powrotem do kupy.

Scena ta, rozgrywająca się wśród ciemnej nocy, była wręcz niesamowita, a zarazem komiczna w swym wyrazie.

Jak owczarek, spędzający razem rozpierzchłe stado, tak Zorro spędził do kupy dziesięciu ludzi i siekł, i smagał bez najmniejszego miłosierdzia.

- Litości, Zorro! - rozległ się ryk.

- Litości... Litości! - zawtórowały inne zbolące głosy.

- Dobrze! - odpowiedział im dźwięczny, młodzieńczy głos. - Daruję wam resztę batów, lecz uwaga, uwaga, nie ruszać mi się z miejsca, póki was nie puszcze!

Bicz legł na ziemi, a Zorro ciągnął dalej:

- To tak się robi?... Zakradacie się na chłopaczkowie? Nie ma dla was świętego cudze grunty, mili miejsca? Rabujecie i urządzacie bójki tuż obok świątyni bożej?.. Do kogo należy ten skarb?,

- Do mnie! - rozległ się głos don Antonia.

- Zbliź się, to ci pokażę, jaki on twój, ten skarb! Na czyich dobrach znajdujecie się? Czy ta ziemia nie należy przypadkiem do senora Cortiego?

Milczenie było odpowiedzią.

Ludzie stali pocierając obolałe miejsca.

- A więc i skarb znaleziony na jego ziemi należy do niego! - Ja go odkryłem! - jęknął don Antonio.
- Czy nic mi się nie należy?

- Owszem, należy ci się porządna porcja batów! Dlaczego nie zgłosiłeś się do właściciela tych gruntów? Czy sądzisz, że nie podzieliliby się z tobą jako z odkrywcą skarbu? Lecz to było zbyt uczciwe dla ciebie, wolałeś jak złodziej zakradać się pod dom boży i kraść. Dlatego też zostałeś ukarany. Nie wiem, kto jesteś, nie znam twego nazwiska, dziękuj Bogu, że nie chcę znać! A teraz jazda, uciekać mi stąd wszyscy. Daję wam pięć sekund...

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ludzie znikli.

Co tchu w piersiach uciekali w kierunku hacjendy don Sebastiana. Gdy wreszcie dopadli do niej, rozdzielili się na dwie grupy: jedna grupa znikła w głównym wejściu, druga zaś na tyłach budynku.

Reszta nocy upłynęła spokojnie.

Nad ranem don Sebastiano, z głową w okładach, przywołał jednego ze swych ludzi.

- Idź do don Antonia i powiedz mu, że proszę go do siebie.

Człowiek wyszedł i wkrótce powrócił.

- Senior - rzekł. - Nikogo tam nie ma. Don Antonio znikł wraz ze swymi murarzami.

Książę w niebezpieczeństwie

Kareta zatrzymała się przed domem Anzelma Cortiego. Drzwiczki otworzyły się i wysiadł chudy jak tyka Porfirio. Gruby Malibrán zszedł z kozła.

Zefirio wyszedł z domu i zawołał wyciągając ręce ku przybyłym:

- Witajcie mi, drodzy przyjaciele! Nie spodziewałem się was tak prędko z powrotem!

Porfirio mrugnął okiem na znak, że chce mu coś powiedzieć w sekrecie.

Służba zajęła się kareta, trójka przyjaciół udała się do pokoju Zefiria. Malibran zamknął drzwi starannie. Porfirio zaś opowiedział przyjacielowi szczegóły śmierci Josego Cardilli.

- Hm! - mruknął Zefirio. - Szkoda chłopca. Choć był bandytą, jednak należał do odważnych i zręcznych...

- Ha, trudno - odparł Malibran, rzucając się w ubraniu na łóżko Zefiria. - Po co laź, gdzie nie trzeba?

- Mam dla was nowinę! - rzekł Zefirio. - Jadę do Madrytu! Malibran usiadł od razu, Porfirio spojrział uważnie na Zefiria. - Do Madrytu? - zapytali obaj jednocześnie.

- Tak! Ojciec zlecił mi transport trzydziestu premiowanych byków. Kuzynka Mercedes wraz z generałem jadą również. Prócz tego ciągnie do Madrytu prawie cała śmietanka Saragossy z księciem Ramido na czele.

- Książę Ramido jedzie również? - zapytał Porfirio.

- Tak! Chce popatrzeć na doroczną walkę byków.

- A więc i my również wracamy do Madrytu! - rzekł Porfirio.

- Nie, ty zostaniesz! - odparł Zefirio.

- Mam zostać? Dlaczego?

Lecz Zefirio popatrzył nań i Porfirio uśmiechnął się.

- Dobrze, zostanę, lecz nie na długo!

- Nie! Tylko trzy, cztery dni zaczekasz tutaj, a potem przyłączysz się do nas!

- Znajdziesz nas w pałacyku moich rodziców! - dodał Malibran.

- A czy Malibran nie mógłby mnie tutaj zastąpić? - zapytał Porfirio.

- Nie, zbyt gruby! - odparł Zefirio zagadkowo.

Malibran uśmiechnął się zadowolony.

- Widzisz, Porfirciu, czasem i tusza się na coś przyda!

- Nie ciesz się - rzekł Zefirio. - Zostaniesz również!

- Ja? - podskoczył Malibran. - A to po co?

- Może się coś przytrafić Porfirio, a wówczas twym zadaniem będzie uprzedzić mnie natychmiast.

Prócz tego będziesz mu pomagał. Malibran skrzywił się płacząco.

- Moja walka byków!...

- Zdążysz zobaczyć! Przecież najwyżej cztery dni tutaj zabawisz... Nie zapominaj, że dałeś mi swą rękę i przysiękłeś posłuszeństwo!

- Toteż nic nie mówię! - westchnął Malibran. - Jedź z Bogiem!

Porfirio i Malibran pozostali w pokoju, Zefirio zaś udał się do zabudowań gospodarczych.

Już z oddali dochodził ryk bydła.

Ludzie uwijali się z powrozami pomiędzy kilkudziesięciu sztukami krów i byków i oddzielali naznaczone zwierzęta. W tej samej chwili na drodze uniósł się duży słup kurzu.

- Jacyś goście! - zawołał jeden z parobków. - Widzę kilka karet!

Zefirio nie zwrócił na powozy najmniejszej uwagi. Oparty o ogrodzenie pochłonięty był obserwowaniem ryczących zwierząt.

Anzelmo Corti wyszedł na spotkanie przybywającym.

Gdy karety zbliżyły się, Anzelmo rozpoznał książęce herby. Z karety pierwszy wyskoczył don Alvarez. Pomógł wysiąść Dolores. Na ostatku ukazał się książę Ramido. Z innych karet wysypali się oficerowie świty i dworzanie. Przybyły również i damy z pierwszych domów Saragossy.

Anzelmo Corti nie wierzył własnym oczom.

- Książę, jakież to zaszczyt dla mnie! - wybąknął kłaniając się nisko. - Pozwól w me ubogie progi.

- Wybacz nam, szlachetny Anzelmo Corti - odparł książę, wyciągając doń rękę - że nie przyjmujemy twej gościny. Jesteśmy bowiem tutaj tylko przejazdem. Za kilka minut wyruszymy w dalszą drogę do Madrytu. Jeśli zboczyliśmy z drogi, to tylko dlatego, że sława tych byków przeznaczonych dla areny madryckiej, rozniosła się po całej okolicy. Chciałbym je obejrzeć.

- Wasza książęca mość! - ukłonił się powtórnie Anzelmo Corti - życzenie twe jest dla mnie rozkazem. Co prawda, czuję się głęboko nieszczęśliwy, że nie możesz zaszczyścić mej ubogiej siedziby. swą szlachetną osobą, lecz jeśli inaczej być nie może, muszę się pogodzić z koniecznością...

- Byki, byki chcę obejrzeć! - przerwał mu brutalnie zniecierpliwiony książę. - Dostyc gadania na dzisiaj.

Anzelmo Corti nic nie odpowiedział i poszedł przodem, całe towarzystwo udało się za nim. Zbliżyli się do ogrodzenia, gdzie mieściło się bydło.

Zefirio rozpląnął się w szerokim uśmiechu, gdy ujrzał księcia, Don Alvaręza oraz dystyngowane towarzystwo.

- Aa! - zawołał. - Jego książęca mość oraz don Alvarez, czy mnie oczy nie mylą? Hrabina d' Alrado, markiz d'Izrra, hrabia de Costa, księżniczka Dolores, ach, co za wizyta.

Lecz obecni nie zwrócili najmniejszej uwagi na młodego Cortiego. Cała uwaga wszystkich skierowana została na bydło przewijające się przez barierkę. Premiowane byki nosiły kwiaty osadzone na rogach.

Zefirio gdzieś znikł, lecz niebawem powrócił wołając:

- Wasza książęca mość! Z tej strony ogrodzenia nie zobaczysz naszego Czarnego Diega!

- Co to za Czarny Diego? - zapytał książę.

- Ozdoba naszej hodowli! Byk, który zanim zostanie pokonany, nadzieje na rogi co najmniej trzech torreadorów. .

- Czyżby taki okaz?

- Ogień i płomień! Czarny jak smoła, o krwawym oku i buchających ogniem nozdrzach.

- Hm, chciałbym zobaczyć ten unikat.

- Nic łatwiejszego! Wasza książęca mość raczy pójść ze mną. Z drugiej strony bariery dojrzymy go z łatwością, gdyż trzyma się tamtej strony.

- Dobrze, chodźmy! - rzekł książę.

Reszta chciała ruszyć za nim, lecz Zefirio powstrzymał ich ruchem ręki:

- Senores e senoritas! - zawołał. - Proszę was, pozostańcie tutaj, naszego Diega denerwuje większe skupisko ludzi.

Wszyscy zatrzymali się w miejscu.

Zefirio zaprowadził księcia do ogrodzenia z drugiej strony. Don Alvarez przyłączył się do nich.

- Bariera w tym miejscu jest słaba - rzekł Zefirio. - Dlatego radzę zachowywać się spokojnie, by płot nie poszedł w drzazgi pod naporem rozszalałych byków.

- Nie obawiaj się, Zefirio - odparł don Alvarez. - Nic ci się nie stanie w naszej obecności. Mamy przecież pistolety i szable.

- Daj spokój, pułkowniku! - zawołał książę, spoglądając z niepokojem na mniejsze ogrodzenie, gdzie spacerowało kilka tylko byków.

- Oto Czarny Diego! - rzekł Zefirio, wskazując olbrzymiego byka o krwią nalanych białkach.

Książę i Don Alvarez spojrzeli z zaciekawieniem. Zefirio, który stał nieco w tyle, kichnął i wyciągnął z kieszeni olbrzymią chustkę, by sobie nos obetrzeć. Chustka była jaskrawoczerwonego koloru.

Zwierzęta zaniepokoiły się. Byki ustawiły się frontem do trzech widzów.

- Co się z nimi dzieje? - zagadnął don Alvarez niespokojnie.

- Przysiągłbym, że ogarnia je wściekłość! - dodał książę.

Wtem wzrok don Alvaręza padł na Zefiria, który zapamiętałe wycierał nos jaskrawoczerwoną chustką. Błdy z przerażenia wydarł chustkę z ręki młodzieńca, by ją ukryć przed bykami. Lecz było już za późno. Jak huragan runęły byki na słabe ogrodzenie. Deski padły w drzazgi. Książę wydał przeraźliwy okrzyk i rzucił się do ucieczki. Nogi jego migały jak u spłoszonej gazeli, pomimo że książę nie był pierwszej młodości. Don Alvarez nie pozostawał w tyle. Lecz w popłochu wypuścił z ręki czerwoną chustkę. Nie wiadomo jakim cudem chustka ta uczepliła się wyszywanego złotem pasa na plecach księcia.

Przeraźliwe wrzaski rozległy się dookoła.

Najgłośniej jednak krzyczeli książę i Zefirio. Ten ostatni siedział okrakiem na czarnym byczku, który oszalał na widok czerwonej chusty na plecach człowieka i nie myślał nawet o strząśnięciu z siebie niepożądanego jeźdźca, lecz pędził za uciekającym księciem.

Inne bydło zostało schwytane przez parobków.

Don Alvaręza wydobyto spod racic jednego z byków. Nie odniósł żadnej rany, był tylko mocno potłuczony i dworski strój wisiał na nim w strzępach.

Tymczasem czarny byk dogonił księcia. Schylił potężny łeb i mierząc w czerwoną chustkę, podrzucił księcia rogami w powietrze.

Księżę nie spadł na ziemię, lecz prosto na ręce Zefiria i to uratowało go od niechybnej śmierci pod raciami i rogami bydłęcia.

Czarny Diego uprzytomnił sobie nagle, że niesie na sobie podwójny ciężar. Zaczął więc odbijać się od ziemi czterema raciami i miotać się jak opętany, usiłując zrzucić Zefiria i księcia. Udało mu się to prawie natychmiast. Obaj spadli z grzbietu byka na ziemię. Byk skierował rogi w stronę księcia. Zefirio wrzasnął jak zarzynana kura i skoczył z powrotem na grzbiet bydłęcia. To oderwało jego uwagę od leżącego na ziemi. Znow zaczął się rzucać jak szalony, chcąc pozbyć się ciężaru z grzbietu. W dzikich podskokach oddalił się od księcia leżącego bez ruchu na ziemi.

Zefirio krzychał przeraźliwie, lecz trzymał się wciąż na grzbiecie byka. W pewnej chwili zeskoczył, stanął przed bykiem i chwycił go za rogi. Czarny Diego potrząsnął swym potężnym łbem. Zefirio poleciał w górę i znow spadł na grzbiet zwierzęcia. W następnej sekundzie zsunął się po grzbiecie do tyłu i chwycił bydlę za ogon. Byk zaczął się kręcić w kółko. Zefirio upadł na ziemię, lecz nie wypuszczał ogona ze swej ręki. Oszołomiony byk stanął na chwilę, jakby namyślał się, co robić. I w tej chwili stała się rzecz dziwna. Zefirio spokojnie powstał i popędził buhaja. Niebezpieczne bydlę, kierowane okrzykami i klapsami, posłusznie, jak małe cielętko, skierowało się w stronę ogrodzenia.

Przez cały czas trwania tej sceny, żywej duszy nie było na placu prócz kilku parobków, którzy pękali ze śmiechu, trzymając się za boki.

Księcia podniesiono, jeszcze na początku harców Zefiria, i umieszczono w bezpiecznym miejscu.

Świta i dworzanie, którzy uciekali w pierwszej chwili, wołając o pomoc w najwyższym przerażeniu, gdy znaleźli się w znacznej odległości, zatrzymali się i z oddali przyglądali się całej tej scenie. Widzieli, jak byk miotał Zefiriem niby marionetką. Dlaczego nie ucieka ten osioł? Przyszła prawie wszystkim ta sama myśl do głowy. I dlaczego parobcy po uratowaniu księcia nie przyjdą głupiemu Zefirio na pomoc?

Zakończenie tej sceny było dla wszystkich niespodzianką.

- Co to? Czy mnie oczy nie mylą? - pytał siebie samego don Alvarez. - Toż Zefirio pędzi buhaja przed sobą... Byk idzie posłusznie do ogrodzenia... To chyba jakieś czary...

Zefirio zamknął Czarnego Diega w zagrodzie i rzucił przechodząc obok parobków:

- Czego rozdziawiacie gęby, głuptasy, zamiast ratować mnie od niechybnej śmierci?

Śmiech podwoił się.

- O, senor Zefirio! - zawołał jeden z parobków. - My dobrze wiemy, że Czarny Diego nie uczyni wam najmniejszej krzywdy. Przecież chowałeś go od małego cielęcia. Jest zaprawiony do tych harców z tobą, senor.

Zefirio położył palec na ustach:

- Tss, głupcy! Nie rozpowiadajcie tego obcym. Gdyby was pytano, powiecie, że to był cud.

Starszy parobek podrapał się w głowę i wskazując ludzi, którzy biegli w ich stronę, zapytał:

- A co mamy powiedzieć, gdy nas zapytają, dlaczego śmieliśmy się na całe gardło, zamiast wybawić cię z niebezpieczeństwa, senor?

- Oświadczyć, że cieszyliście się na myśl, iż mnie wreszcie szlag trafi.

Walka byków

Od dwóch dni niezliczone tłumy, żadne widoku krwi, napływały do olbrzymiego, okrągłego gmachu.

Arena zalana była słońcem.

Już wyprowadzono trzeciego byka pod grzmot okrzyków i oklasków. Pikadorzy, banderillerzy i matadorzy uwijali się po arenie. W królewskiej łoży siedziała majestatyczna kobieta przystrojona brylantami. Była to królowa Izabella II.. Otaczał ją wspaniały dwór.

Pomiędzy dworzanami brakowało jednak księcia Ramida. Był jeszcze chory po strasznych przejściach z czarnym bykiem i leżał w łóżku w swej rezydencji madryckiej. Królowa słyszała o jego przygodzie i wyraziła życzenie ujrzenia Zefiria, wybawcy księcia. Usłudźni dworzanie odnaleźli młodzieńca

tegoż samego dnia, w tylnych zabudowaniach cyrku. Odbierał właśnie należność za dostarczone byki.

- Senor Corti - zwrócił się doń marszałek dworu. - Najjaśniejsza, miłościwie nam panująca królowa pragnie cię widzieć. Drogą wyjątku dozwolono ci stanąć przed jej obliczem, pomijając etykietę i ceremoniał audiencjonalny.

Słowa te wywarły widocznie na młodym Cortim wstrząsające wrażenie, gdyż wydał z siebie okrzyk przestachu i zachwytu zarazem, po czym zachwiał się tak mocno na nogach, że dworzanie musieli go podtrzymać, by nie upadł na ziemię.

- Trzymajcie mnie, bo zemdleję! - wołał Zefirio. - Nie, to niemożliwe, ja śnię chyba! Sama królowa we własnej osobie? Trzymajcie mnie mocno!

A więc dworzanie trzymali go mocno i w ten sposób prowadzili go do monarchini. Wyglądało to jak gdyby wiedli jeńca lub skazańca na szafot.

Weszli do łoża królowej. Zefirio z taką siłą padł na kolana, że aż deski zahuczały i królowa drgnęła przestraszona. Dworzanie podnieśli Zefiria z kolan i schylili go w głębokim ukłonie.

- Pocałuj królową w rękę, senor! - szepnął jeden z dworzan do ucha Zefiria.

Młodzieniec się doń odwrócił i zapytał tak głośnym szeptem, że aż królowa dosłyszała:

- Carramba, w którą rękę mam całować?

- W prawą! - odpowiedział dworzanin.

Królowa Izabella podała mu swą małą rączkę. Zefirio pochwycił królewską rękę i zaczął gorliwie okrywać ją pocałunkami.

Otoczenie królowej osłupiało. Postępowanie Zefiria było niesłychane.

- Co też on wyprawia z ręką królowej? - zadawali sobie pełne oburzenia pytanie.

Królowa prawie siłą wyrwała swą rękę z uścisków przerażonego młodzieńca. Nie rozgniewała się jednak na niego, bo już słyszała o tym młodzieńcu nie grzeszącym zbytnim rozumem.

- Witam cię, senor Zefirio Corti - rzekła doń łaskawie. - Doszły nas wieści o twym bohaterskim czynie!

- O jakim czynie, najmiłościwsza królowo? - zapytał Zefirio, czyniąc ruch, jakby chciał znowu paść na kolana. - Bohaterskich czynów dokonałem bardzo wiele i nie wiem, o którym z nich mowa!

Królowa uśmiechnęła się i wskazała mu miejsce na krzeselku w obawie, by znów nie padł na kolana.

- U ratowałeś księcia Ramida y Carvalha!

- Oddałbym życie w każdej chwili z rozkoszą za największego nawet bandytę, gdyby sprawiło ci to przyjemność, o najmiłościwsza pani!

- Jak? Co? - zapytała królowa, nie dowierzając własnym uszom. - Za jakiego bandytę? Czyżbyś śmiał mówić w ten sposób o księciu wielkorządcy?

- O, wasza królewska mość! - zawołał Zefirio, składając ręce jak do modlitwy. - Narażenie życia dla dostojnego i wspaniałego męża, jakim jest książę, nie było żadną zasługą. Na twój rozkaz, najmiłościwsza pani, poświęciłbym się dla ostatniego nawet opryszka!

- Idiota! - rozległ się szept dworzan poza jego plecami. - Niebiosa, co za dureń!...

Dalsza rozmowa Zefiria z królową została przerwana, bo pojawił się pierwszy byk na arenie.

Zefirio chciał się usunąć, lecz królowa zatrzymała go ruchem ręki.

- Zostań, senor - rzekła. - Porozmawiamy podczas przerwy! Spodobał jej się ten piękny, młody szlachcic, pomimo jego skrajnej głupoty.

- Wybacz mi, wasza królewska mość - rzekł nieśmiało Zefirio - ale podczas walki byków nie umiem powstrzymać swego zachwytu i uniesienia. Jest to silniejsze ode mnie!

- Nie szkodzi! Nie krępuj się zbytnio, senor - odparła królowa uśmiechając się, gdyż bawił ją ten młodzieniec.

Zefirio dość długo tłumił w sobie wybuchy entuzjazmu przez wzgląd na królową, osoba której, sądząc z jego postawy, napawała go zabobonnym lękiem. Wreszcie nie wytrzymał. Podczas gdy pikadorzy na koniach atakowali byka, zerwał się z miejsca i wrzasnął z całych sił: .

- Olle... Olle! Świetnie!... Znakomicie!... Wał z lewej strony, Fernando!... Uwaga! Uwaga Lorez, zajeżdżaj od tyłu!

Wołając w ten sposób, przechylił się niebacznie przez barierę... W następnej sekundzie stracił

równowagę. Wypadł poza barierę, i padł jak długi na piasek.

Stało się to w tej samej chwili, gdy rozjuszony, krwawiący byk znajdował się w odległości dziesięciu najwyżej kroków od niego.

Tłumy, kołem otaczające arenę, zamarły w bezruchu. Ogłuszające krzyki i wiwatowania ustały. Nastąpiła cisza, jakby makiem zasiał. Sto tysięcy oczu skierowało się ku miejscu, gdzie leżał Zefirio.

Buhaj pomknął ku leżącemu, z nisko opuszczonymi rogami.

Zefirio ukląkł i powstał. W tej samej sekundzie byk dopadł go i Zefirio uchwycił go za rogi rękami. Jedno szarpnięcie w górę i młodzieniec, jak wystrzelony z procy, wyleciał w powietrze.

- Kot rzucony wzwyż staje zawsze na czterech łapach, podobnie. Zefirio opadając stanął na nogach i w tej samej sekundzie uskoczył w bok.

To co się stało podczas tego krótkiego czasu, zanim skoczyli na pomoc matadorzy z czerwonymi płachtami, wyglądało na coś niesamowitego i komicznego zarazem.

Zefirio krzyczał przeraźliwie i gdyby nie okropny krzyk śmiertelnego przerażenia, można by przypuścić, że człowiek ten igrał z bykiem, igrał ze śmiercią.

Byk miotał się jak szalony. Człowiek latał jak ptak w powietrzu, przeskakiwał przez byka jak przez drewnianego kozła, siadał na jego grzbiecie, zeskakiwał zeń, chwycił go za ogon i w szalonym tempie kręcił się z nim w kółko.

Straszliwa ta zabawa trwała dobre dwadzieścia sekund. Matadorzy usiłowali odciągnąć byka czerwonymi płachtami i wreszcie im się to udało.

Zefirio stanął patrząc przed siebie jak ogłupiały. Jakieś silne ręce chwyciły go z dwóch stron i przerzuciły przez barierkę.

Cała widownia szalała. Hiszpanie nigdy jeszcze nie mieli takiego widowiska, jakie im dał Zefirio.

- Olle, olle! - ryczeli mężczyźni, a kobiety wtórowały im z całych sił.

Wszystkie spojrzenia skierowane były w stronę młodzieńca z trudem torującego sobie drogę do łoża królewskiej. W jego kierunku leciały zewsząd kwiaty, kapelusze, torebki damskie i inne drobiazgi. W ten sposób publiczność manifestowała swój entuzjazm dla Zefiria. Ani jedno spojrzenie nie skierowało się w stronę banderillerów wbijających małe chorągiewki w grzbiet byka.

A Zefirio, jakby nie rozumiejąc, iż stał się obiektem manifestacji, wszedł do królewskiej łoży i uklonił się nisko królowej, mówiąc:

- Przebac mi, wasza królewska mość, że zachowałem się tak niewłaściwie w jej obecności. Jestem w rozpacz i nie śmiem...

- Przestań, senior! - odparła żywo królowa, jeszcze blada na twarzy z emocji. - Podziękuj Bogu za cud, gdyż naprawdę cudem tylko ocalałeś...

Urwała i zdumionym spojrzeniem obrzuciła całą postać Zefiria. Nie mogła dostrzec na jego odzieniu najmniejszego choćby rozdarcia, a na rękach i twarzy najmniejszego zadraśnięcia. Przez chwilę jeszcze przyglądała się młodzieńcowi stojącemu przed nią w pokornej postawie. Milczała. Jakaś uparta myśl nie opuszczała jej teraz.

- Siądź tutaj przy mnie, senior! - rzekła cicho. Zefirio usiadł posłusznie na złożonym krześle, tuż przy królowej. - Senior - zwróciła się doń półgłosem, patrząc przenikliwym wzrokiem. - Pragnę, byś był szczerzy w tej chwili.

- Najjaśniejsza pani! - zawołał Zefirio.

- Cicho! Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Wypadłeś na arenę umyślnie, nieprawdaż?

- O, najjaśniejsza pani...

- Cała ta homerycka walka z bykiem była tylko igraszką, grałeś komedię przestachu...

- O, pani...

- Nie przerywaj, senior! Nie był to wcale cud, żeś uszedł z życiem... Dałam się zwieść na początku, jak pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy tutaj się znajdują... Dałam się zwieść, to prawda, lecz zdradziło cię twe nienaruszone odzienie i ciało bez najmniejszego zadraśnięcia... Jesteś zręczny, senior, bardzo zręczny i szalenie odważny. Ponadto celujesz w udawaniu.

Zefirio milczał i patrzył na królową. Miał przy tym tak głupi wyraz twarzy, w oczach jego malowała się taka tępota, że królowa za wahała się.

- Najjaśniejsza pani! - odezwał się wreszcie. - Przyznaję się ze skrucą, że udawałem.

Rzeczywiście wypadłem umyślnie, gdyż przypadkowo nigdy bym nie wypadł, zbyt jestem zręczny na to. Prócz tego, jeśli krzyczałem z przestrochu i wołałem o pomoc, to również umyślnie, by wprowadzić ludzi w błąd. - Wypiął dumnie piersi i dodał:

- Człowiek, który dokonał tylu bohaterskich czynów, nigdy nie wzywa pomocy ze strachu, lecz zawsze umyślnie. Tak, najjaśniejsza pani, nie omyliłaś się, jestem szalenie odważny i zręczny, a wyczyn mój na arenie był dla mnie tylko igraszką, pokazem moich zdolności.

Królowa machnęła ręką, zniechęcona.

Omyliłam się! - pomyślała. To jest głupiec, który ma niezwykle szczęście. Tak, to prawda co powiada ludowe przysłowie, że głupcy mają szczęście i z każdej opresji wychodzą zwycięsko.

Znajomy królowej

Po pamiętnym występie Zefiria na korridzie cały Madryt znał już tego osobliwego młodzieńca. Przechodnie na ulicy zaczepiali go żarcikiem, gazety pisały o nim humorystyczne artykuły i biedny Zefirio nie mógł niepostrzeżenie przystąpić do kasy celem wykupienia biletu wejścia, by ktoś nie podbiegł doń wołając:

- Senor Zefirio, jak tam dzisiaj z popisem? Z którym bykiem walczysz?

Na początku Zefirio chodził napuszony jak paw w blasku swej sławy, lecz z biegiem czasu chmurzył się i posepniał.

- Zdaje się, że wy kpicie ze mnie, senores! - zapytał pewnego razu, marszcząc brwi.

Ludzie wybuchnęli śmiechem.

- Nie radzę wam śmiać się z bohatera, jakim jestem - rzekł Zefirio. - Może się to źle dla was skończyć.

- Weźmiesz nas na rogi, Zefirio?

- Nie, poskarżę się królowej!

Śmiech wówczas wzmagął się w dwójnasób. Pewnego dnia Zefirio miał tego dość.

Przed pałacem królewskim Eskurialu*(Rezydencja królewska) przechadzali się miarowym krokiem wartownicy przyodziani we wspaniałe mundury. Do jednego z nich podszedł wysoki, przystojny młody człowiek o smętnym spojrzeniu. Towarzyszyło mu kilku roześmianych młodzieńców należących do złotej młodzieży Madrytu.

- Senor - zwrócił się do wartownika Zefirio, gdyż on był owym młodzieńcem o smętnym obliczu - jestem Zefirio Corti!

- Jestem zaszczycony, senor Zefirio Corti - odpowiedział z przesadną uprzejmością wartownik.

- Jestem Zefirio Corti - podjął na nowo młodzieniec - i pragnę widzieć się z królową!

- Tylko tyle, senor Zefirio Corti? - zakpił wartownik. - To nie jest takie trudne! Chodzi tylko o to, czy najjaśniejsza pani zechce widzieć się z tobą, szanowny senor Zefirio Corti.

- Zechce na pewno! Idź do niej, senor, i powiedz, że przyszedł jej znajomy!

Wartownik otworzył szeroko oczy, nie wiedząc na razie, czy ma do czynienia z kpiarzem czy z wariatem.

Młodzieńcy, którzy towarzyszyli Zefirio, pokładali się ze śmiechu.

- Znajomy najjaśniejszej pani? - zapytał wartownik, chmurząc się. - Ale skąd senior zna królową, jeśli łaska?

- Z walki byków.

- Co takiego? Skąd?

- Corrida de toros! Walka byków.

Wartownik miał dosyć tej rozmowy. Chwytał za kołnierz Zefiria i pociągnął go za sztachety.

- Czekaj, nędzniku! - wołał wściekle, wlokąc go na odwach. - Zwierzysz się przed oficerem ze swej znajomości z królową!

Wciągnął go do zadymionej sali, gdzie przy długim stole siedzieli żołnierze, i stamtąd wepchnął go do pokoju naczelnika odwachu.

- Co się stało? - zapytał oficer siedzący za szerokim stołem. Co to za człowiek?

- Kapitanie - zaraportował wartownik. - Ten oto jegomość zbliżył się do mnie w towarzystwie

innych osobników i zaczął ubliżać królowej.

Oficer zerwał się ze swego miejsca i spojrzał groźnie na biednego Zefiria.

- Gdzie są inni? - zawołał. - Dlaczego tutaj nie widzę tych, którzy mu towarzyszyli?

- Stoją przed sztachetami.

. - Chwytać, łapać ich! - krzyknął oficer i skoczył do sali wartowniczej. .

Kilkunastu żołnierzy chwyciło za karabiny i wybiegło z sali na dziedziniec pałacowy. Nie upłynęły nawet. dwie minuty, gdy byli z powrotem, prowadząc siedmiu wystraszonych młodych ludzi.

- Ahaa! - zjadliwie zawołał oficer. - To wy ptaszki naigrawaliście się z majestatu naszej królowej.

Doskonale, przyjrzymy się tej sprawie.

Główny winowajca zbliżył się do stołu.

Oficer usiadł, położył czysty arkusz papieru i umaczał pióro w inkauscie.

- Wszczynam śledztwo pierwiastkowe - rozpoczął. - Senior, twe imię i nazwisko?

Wartownik zań odpowiedział:

- Zefirio Corti.

-A ty skąd wiesz?

- Tak mi się przedstawił. przed wejściem.

Oficer zaczął pocierać czoło.

- Czekaj, czekaj, Zefirio Corti? Skąd ja to nazwisko znam?

- Z gazet! - odpowiedział .Zefirio obojętnie.

- Z gazet... Tak jest, do licha! - huknął pięścią o stół oficer. - To jest jakiś anarchista, przypominam sobie. Podrzucał bomby, czy coś w tym rodzaju.

- W rodzaju corrida de toros, walki byków - rzekł Zefirio.

- Walki byków?

- Tak jest, senior! Walczyłem ze zgrają byków, gdy królowa przyglądała mi się i nawet oklaskiwała mnie swymi królewskimi rączkami.

- Co mi, senior, tutaj pleciesz?

- Czystą prawdę mówię! Gazety o tym pisały, cały Madryt ba, nawet cała Hiszpania mnie podziwiała. Sama najjaśniejsza pani zaprosiła mnie do Eskurialu i oto jestem!

- Czekaj, czekaj, coś przypominam sobie! Nie była to historia z bombami...

- Lecz z bykami!

- Tak, tak przypominam sobie! I zdaje się, że siedziałeś, senior, w jednej...

- ... łoży z królową miłościwie nam panującą, tak jest! Oficer zwrócił się do wartownika:

- W jakich słowach ten, senior ubliżył królowej? - zapytał. - Podobnie... jak teraz! - jąkał się wartownik, czując, że sprawa zaczyna przybierać niespodziewanie inny obrót.

- To znaczy jak? - nalegał komendant odwachu.

- Mówił, że jest znajomym królowej z korridy! .

Oficer pokręcił głową i napisał kilka słów na kawałku papieru, następnie przywołał jednego z żołnierzy i polecił mu zanieść papier do kancelarii pałacowej.

Czekali na odpowiedź dość długo.

Wartownik przestępował z nogi na nogę.

Młodzi żartownisie, towarzyszący Cortiemu, z niepokojem spoglądali na siebie, nie wiedząc, w jaki sposób zakończy się cała sprawa.

Zefirio tylko zachował zwykłą obojętność i przyglądał się uważnie podkreśnionym w górę wąsom oficera.

- Przepraszam cię, senior - rzekł wreszcie. - Czy mógłbym cię o coś zapytać?

- Słucham! - odrzekł oficer.

- Miałem niegdyś zamiar zapuścić sobie wąsy, gdyż szlachetna to ozdoba nadaje niezwyklej męskości obliczu. Niestety, musiałem zaniechać tego zamiaru, bowiem nie znam maści, która by pozwoliła podkrecać wąs do góry.

- He, co? - nie zrozumiał na razie oficer.

- A więc, - czy mógłbyś, senior, powiedzieć mi, jakiej maści! używasz? Tak bym chciał również upodobnić się do chrabąszcza!

Oficer zbladł i skoczył na równe nogi.

W tej samej chwili wszedł żołnierz niosąc papier. Oficer wziął zapisany świstek do ręki i przeczytał go.

- Senor - rzekł kłaniając się. - Najjaśniejsza pani łaskawie zezwoliła, byś stanął przed jej królewskim obliczem, pomijając wszelką procedurę audiencjonalną. Jest to zaszczyt nie lada.

- A więc mogę iść? - zapytał Zefirio.

- Tak jest, choć klnę się, że gdyby nie wola najjaśniejszej pani, nie puściłbym ci płazem, senor, owego porównania mnie do chrabąszcza!

Niepokój znikł z twarzy młodych ludzi otaczających Zefiria.

Sprawa wyjaśniła się i teraz mogli odejść.

- Hola, hola, stójcie! - zawołał oficer. - Nie śpieszcie się zbyt, moi senores!

A gdy stanęli zdziwieni i zaniepokojeni zarazem, dodał:

- Senor Corti uzyskał audiencję, a więc sprawa załatwiona, lecz wy, młodzi panowie? Skąd się tutaj- wzięliście? Co za interes was tutaj sprowadził? Czy również jesteście znajomymi królowej?

- Nnie... nie! - zabrzmiała ogólna odpowiedź.

Oficer zwrócił się do wartownika:

- Czy ci senores nie mówili nic takiego, co mogłoby uchybić najjaśniejszej pani?

- Nie, lecz śmieli się głośno za każdym razem, gdy królową wymieniano w rozmowie!

- Taak? - ucieszył się oficer i zwrócił się do Zefiria:

- To są pańscy przyjaciele, nieprawdaż? - zapytał chytrze.

- Moi przyjaciele? - wzruszył ramionami Zefirio. - Ależ uchowaj mnie Boże od takich przyjaciół.

To są po prostu przygodni znajomi. Przyplątali się do mnie z chwilą, gdy się dowiedzieli o mym spotkaniu z królową. Nie zdziwiłbym się, gdyby znaleziono przy nich bomby lub sztylety. Czy nie widzisz, senor, jak im źle z oczu patrzy?

Z tymi słowami Zefirio odwrócił się i wyszedł rzucając triumfujące spojrzenie na przerażonych kpiarzy.

Za jego plecami wszczął się alarm.

- Żołnierze, zatrzymać ich! - ryczał komendant warty. - Senores, aresztujcie was!...

List Zorry

- Najjaśniejsza pani! Przychodzę do ciebie z sercem przepelnionym goryczą. Pamiętne me zapasy z bykami, których byłaś świadkiem, przyniosły mi niezwykłą sławę w całej Hiszpanii. Cóż, kiedy moi wrogowie, ludzie zawistni, zazdroszczą mi tego uznania, prześladują mnie swymi uszczypliwymi uwagami i docinkami. Życie stało się niemożliwe i spokój mej duszy został naruszony. Błagam cię, o najmiłościwsza monarchini, połóż kres złościwościom, wszak leży to w twojej mocy!

Mówiąc to Zefirio przykląkł na jednym kolanie.

- Cóż mam uczynić, senor? - zapytała królowa, powstrzymując uśmiech. - W jaki sposób mam zapobiec tym przykrościom?

- Po prostu - odparł Zefirio, wdychając - wystarczy, by ukazało się na murach Madrytu obwieszczenie królewskie zabraniające ubliżania, pod karą śmierci lub długoletniego więzienia, szlachetnie urodzonemu senorowi Zefirio Cortiemu.

Królowa nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Wtórowali jej dworzanie.

- O, senor Zefirio! - zawołała. - Żądasz ode mnie rzeczy niemożliwych. Żadna ustawa ani też żadne prawo nie przewiduje kary śmierci za zwykły żart lub docinek!

- Więc cóż mam robić? Nie mogę pokazać się w Madrycie. Chyba że zezwolisz, najjaśniejsza pani, bym obrał sobie twój pałac jako tymczasowe schronienie. Mieszkańcy Madrytu zapomną o mnie i wówczas będę mógł opuścić Eskurial, unosząc głęboką wdzięczność dla najjaśniejszej pani.

Propozycja ta została wypowiedziana tonem tak naiwnym, że dworzanie nie wiedzieli, czy królowa wpadnie w gniew, czy też się roześmieje.

Królowa jednak zachowała całą swą powagę. Przyszło jej do głowy, że ten naiwny młodzieniec rozproszyłby nudy dworskie.

Pomyślała, że przydałby się nadworny błazen, toteż po chwili namysłu odpowiedziała:

- Senor Zefirio, nie mogę odrzucić prośby o schronienie jednego z mych wiernych poddanych. Pozostaniesz tutaj tak długo, jak ci się spodoba, pod jednym tylko warunkiem.

- Zgadza się z góry na wszystkie warunki, o łaskawa królowo! - zawołał uradowanym tonem Zefirio, padając powtórnie na kolana i czyniąc gest, jakby chciał ucałować królewską rękę.

Królowa przezornie schowała swą rękę w obawie, by nie powtórzyła się owa pamiętna scena z korridy, gdy Zefirio okrywał jej rękę pocałunkami prawie przez pięć minut.

- Jest to warunek łatwy do spełnienia - rzekła. - Chodzi o to, byś znajdował się jak najczęściej w naszym otoczeniu. Od tej chwili należysz, senor, do mej przybocznej świty. Szambelan wskaże ci apartament, gdzie będziesz mógł się rozgościć.

Zefirio złożył głęboki ukłon, omal się nie przewrócił, i wyszedł z sali.

Prowadził go wysoki, biały jak gołąb, starzec przyodziany w suto złotem wyszywany strój.

- Senor - zwrócił się doń Zefirio - przepraszam...

- Książę Almagro jestem! - rzekł sucho starzec.

- Książę Almagro? - powtórzył Zefirio. - Hm, to drugi książę, którego znam!

- Kto jest ten pierwszy? - zapytał szambelan z ciekawością.

- Książę wielkorządcy Aragonii, don Ramiro y Carvalho! O, ale tamten wcale nie jest podobny do księcia Almagro. Księcia Ramiro y Carvalha nazwałbym księciem zoologicznym!...

- Księciem zoologicznym? - zdziwił się książę szambelan.

- No tak! Podobny do kozła, pije krew z biedaków jak pijawka, tchórzliwy jak zając, a umyka przed nieszkodliwym byczkiem jak gazela. Cały zwierzyniec w jednej osobie.

- Senor Zefirio! - Oburzył się szambelan, ledwie powstrzymując się od śmiechu. - Nie godzi się w ten sposób mówić o księciu wielkorządcy, tym bardziej że jest to mój kuzyn!

- Ubolewam! - rzekł Zefirio.

- Właśnie, ubolewam młodzieńcze, że w ten sposób odezwałeś się w mej obecności o osobie księcia Ramiro!

- Nie; ubolewam książę, że masz takiego kuzyna! Szambelan wzruszył ramionami i polecił jednemu z napotkanych odprowadzenie Zefirio do przydzielonego mu apartamentu, sam zaś pobiegł do królowej, by powtórzyć jej słowa młodzieńca.

Zefirio rozgościł się na dobre w pałacu. Od chwili jego przybycia bezustanny śmiech rozlegał się we wspaniałych salach pałacowych, mitygowany tylko obecnością królowej. Dawno już dwór nie bawił się jak teraz.

Śmiech ten jednak zamarł na wszystkich ustach, gdy pewnego dnia przed pałac zajęła karoca ministra policji, otoczona liczną eskortą.

Don Alonso, wszechwładny minister, stanął przed obliczem królowej, blady ze wzruszenia.

- Najjaśniejsza pani - rzekł chyląc się w głębokim ukłonie nad wyciągniętą ręką Izabelli II. - Od dzisiaj racz zezwolić, bym potroił strażę dookoła pałacu oraz porozstawiał wartowników we wszystkich salach i przejściach!

- Co się stało, don Alonso? - zapytała królowa zaniepokojona. - Czyżby wybuchła rewolucja na ulicach Madrytu?

- Nie, najjaśniejsza pani, niebezpieczeństwo jest innego rodzaju. Przed trzema dniami jakiś zamaskowany osobnik zatrzymał w okolicy Huesco konwój rządowy, zrabował pieniądze, rozpedził żołnierzy na cztery wiatry, zatrzymując tylko woźnicę. Temu zaś włożył list w zęby, owiązał silnie szczękę rzemieniem i popędził go przed siebie, mówiąc: "Pamiętaj, trutniu, nie wolno ci wypuścić tego listu z zębów aż do Madrytu. Zawieziesz go samej królowej!"

Oddech zamarł w piersiach całego dworu.

- Co się dalej działo? - zapytała królowa z ciekawością.

- Woźnica zemdlął po drodze. Nie opodal Saragossy znaleźli go żandarmi, leżącego na przedniej ławce furgonu, z listem w zębach. List ten przywieziono do Madrytu i mnie doręczono.

Tutaj urwał zmieszany.

- Ten list! - zawołała królowa. - Ten list, proszę!

- Najjaśniejsza pani! - rzekł minister, chyląc się w ukłonie. Jest to zwykły list z pogroźkami, toteż

uważam za zbyt czyste...

- Proszę pokazać mi ten list! - zawołała królowa niecierpliwie. Don Alonzo westchnął i wyciągnął list z kieszeni.

Królowa rozwinęła papier i zaczęła czytać:

Miłościwie nam panująca, Najjaśniejsza Pani! Niniejszym kwituję odbiór dwustu siedemdziesięciu tysięcy peso w złocie i serdecznie dziękuję za wspaniałomyślny Jej dar dla biednej ludności Aragonii. Wobec Jej łaskawego zainteresowania się swym ludem powziąłem postanowienie odwiedzenia Jej Królewskiej Mości celem bliższego omówienia. z Jej Królewską Mością spraw finansowo-podatkowych prowincji Aragonii. Sądzę, iż Jej Królewska Mość nie będzie miała nic przeciwko temu, by konferencja odbyła się w Jej rezydencji w tym tygodniu.

Składam u królewskich stóp wyrazy najwyższego holdu i uczuć wiernopoddanych.

Z

- Podpisano literą "Z" - rzekła królowa. - Co to ma znaczyć?

Don Alonzo milczał..

- Litera "Z"? - rozległ się nagle głos Zefiria znajdującego się w tłumie dworzan. - Ależ to jest Zorro, mój dobry znajomy i największy wróg jednocześnie.

- Zorro! Zorro! - rozległy się zewsząd wystraszone szepty. - Zorro zapowiedział swą wizytę!

- Senores! - zawołał Zefirio. - Radzę założyć pancerze, one nas uchronią przed jego biczem. Co do mnie, uzbroję się należycie. Znam tego gagatka, nieraz już miałem z nim do czynienia. Raz nawet oddałem go władzy, lecz niestety uciekł.

- Senor Zefirio, zamilknij proszę! - zawołała królowa zirytowana. - Nie zapominaj, że dwór mój nie składa się z tchórzy, że przyboczni moi to szlachta zahartowana w bojach.

- Tak - mruknął Zefirio - lecz w bojach nikt nie używa bata! Pomimo wszystko królowa nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, słysząc te słowa.

Zefirio zaś wychodząc z sali, szepnął cicho, zupełnie cicho:

- Brawo, Porfirio...

Odwiedziny

Potrójny kordon uzbrojonych żołnierzy otaczał olbrzymi pałac królewski.

Zatrzymywano przechodniów przed pałacem i rewidowano ich. Zapanował prawdziwy stan oblężenia.

W przejściach i korytarzach pałacowych kręcili się żandarmi, wojskowi i policjanci w cywilu.

Legendy o zamaskowanym Zorro obiegały dwór, przybierając niemal fantastyczne kształty.

Opowiadano, iż Zorro jest przede wszystkim zaciętym wrogiem dworzan oblężających się przy boku królowej, opowiadano również, iż nieuchwytny ten człowiek zdolny jest do niewiarygodnie szaleńczych wyczynów.

Królową Izabellą miotaly sprzeczne uczucia. Z jednej strony ogarniał ją gniew na tego zuchwalca, dla którego nie istniały żadne przeszkody ani też żaden szacunek należny randze lub majestatowi. Z drugiej zaś strony zapanowała w jej umyśle ciekawość czysto kobieca. Odczuwała nieodpartą chęć ujżenia na własne oczy tego legendarnego rabusia.

Wśród chaosu i ogólnego zamieszania Zefirio przechadzał się uzbrojony od stóp do głowy. Po obu stronach jego szerokiego pasa widniały dwa olbrzymie pistolety. Po dywanach pałacu włókł się u jego boku długi pałasz. W jednym ręku trzymał obnażony sztylet, który bardziej podobny był do kuchennego noża niż do sztyletu, w drugim zaś ręku długi, zwinięty bicz o krótkiej rękojeści.

- Władam biczem nie gorzej od Zorry! - opowiadał. - Niech się tylko pokaże ze swym biczem, a wówczas zobaczymy, kto zwycięży!

I oto pewnego wieczoru, pomimo potrójnej straży, mimo wszelkich środków ostrożności, Zorro zjawił się w pałacu królewskim. Stało się to o godzinie jedenastej wieczór, gdy królowa udała się do swych pokoi na spoczynek. Siedziała właśnie przed olbrzymim lustrem w swym buduarze i dwie frejliny

rozczesywały jej włosy.

- Składam hołd do królewskich stóp - rozległ się nagle poza jej plecami głęboki, męski głos.

Królowa i dwie jej pokojówki odwróciły się przestraszone. Na środku pokoju, pochylony w postawie pełnej szacunku, trzymając rękę na sercu, stał wysmukły, zamaskowany mężczyzna.

Włosy jego okrywała czarna, jedwabna chusta spięta z tyłu. Połowę twarzy opasywała czarna, atlasowa maska. Poprzez otwory jej świeciły wielkie, błyszczące oczy. Śnieżnobiałe, równe zęby lśniły w szerokim uśmiechu. U boku jego wisiał zwinięty bicz, stanowiący całe jego uzbrojenie.

Był to Zorro we własnej osobie.

Trzy kobiety spoglądały nań nieruchomo.

- Za pozwoleniem waszej królewskiej mości, otwieram posiedzenie! – rzekł Zorro, prostując się. - Zaczynamy od omawiania sposobu ściągania podatków przez jego książęcą mość, wielkorządcę Aragonii.

Postąpił krok. - Czy waszej królewskiej mości wiadomo, w jaki sposób książę Ramido y Carvalho ściągają podatki z prowincji Aragonii? Nie, prawda? A więc pozwolę sobie w krótkich słowach przedstawić tę sprawę. Wielkorządca ściągają rokrocznie około osiemnastu milionów peso w złocie, przy czym cztery miliony idą na koszty administracji i inne wydatki. Z tego do Madrytu płynie pozostałe złoto dwiema strugami, a mianowicie: dziewięć milionów do królewskiego skarbcza, reszta zaś, to jest pięć milionów, do kasy prywatnej księcia Ramida y Carvalha.

- Jakim prawem... wybuchnęła królowa.

- Jakim prawem uważam księcia za złodzieja? To proste, wystarczy wysłać do Aragonii zaufanych kontrolerów i wówczas okaże się, że mówię prawdę, że ani o jedno peso nie powiększyłem sumy pieniędzy skradzionych przez księcia.

- Senor..

-Komisarze podatkowi przebiegają całą prowincję, eskortowani przez oddziały wojskowe. Ściągają podatki z włościan z niesłychaną brutalnością. Zabiera się ostatnią krowę lub poduszkę, a gdy wieśniak rozpacza, otrzymuje porcję batów. Czasami, gdy dłużnik jest zbyt oporny, puszcza się z dymem jego chatę. Kwitnąca ongiś prowincja powoli zamienia się w krainę nędzy i rozpaczy. A Madryt milczy. Eskurial nic nie wie o tym. Wielkorządca opłaca liczną armię szpiegów i donosicieli i w ten sposób zamyka usta każdemu, kto by miał zamiar zbyt głośno krzyknąć.

- To niesłychane!

- A jednak uprzedzono o tym twych ministrów, królowo! - Senor! - zawołała królowa, zapominając o niezwykłości tej sceny. - Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz!

- Zorro nigdy nie kłamie - odparł zamaskowany mężczyzna, prostując się dumnie. - Wierz mi, najjaśniejsza pani, że mówię czystą prawdę. Zresztą mam już dość tych łez zrozpaczonych kobiet i wołań wygłodniałych dzieci... Cierpliwość się wyczerpała. Najjaśniejsza pani, uprzedzam, że jeśli w najbliższych dniach nie zostaną poczynione zmiany, zgładzę księcia wielkorządcę.

- Czy mnie pozostawisz przy życiu? - zapytała ironicznie królowa Izabella, odzyskując panowanie nad sobą.

- Nie tykam kobiet, najjaśniejsza pani - odparł Zorro. - Uważam, iż mężczyzna, który dla najwznioślejszej nawet idei czyni najłżejszą choćby krzywdę kobiecie należącej do wrogiego obozu, mężczyzna taki nie jest człowiekiem, lecz gadem, płazem i najpodlejszym tchórzem, który niewart nawet kopnięcia.

- Bardzo pięknie, senor Zorro! - rzekła królowa, wyciągając nieznacznie rękę do dzwonka. - Piękne zasady wygłaszasz. Co do mnie, postaram się zastosować do wskazówek, jakich mi udzieliłeś, pod warunkiem, że zdejmiesz maskę i dasz się poznać. Ciekawa jestem ujrzeć oblicze wiernego obrońcy biednego ludu.

- To jest na razie niemożliwe, najjaśniejsza pani. - Zdejmę publicznie maskę, gdy sam uznam to za stosowne, lecz nie prędeż. Nie pomoże nawet to, że sięgasz po dzwonek.

Królowa chwyciła za jedwabny sznur wiszący obok lustra i pociągnęła silnie. W sąsiedniej sali rozbrzmiał się dzwon. W ślad za tym dzwonem rozległy się odgłosy kroków biegnących ludzi. Słychać było wyraźne nawoływania i szczęk broni. Odezwały się liczne dzwonki alarmowe w różnych częściach pałacu.

Przed pałacem, na dziedzińcu, ktoś strzelił. To alarmowano żołnierzy na wartowni

Zorro uśmiechnął się spokojnie. Odczepił niedbałym ruchem bicz i zwinięty ujął prawą ręką.

Królowa z zapartym oddechem śledziła jego ruchy. Zorro zbliżył się do drzwi i czekał. Scena ta trwała zaledwie chwilę. Wtem podwoje zostały gwałtownie szarpnięte i w szeroko otwartym wejściu ukazał się tłum uzbrojonych ludzi. Ci co stali w pierwszym szeregu, trzymali wycelowane pistolety.

Bicz świsnął - dwa krótkie pociągnięcia i pistolety wyleciały w powietrze. W następnej sekundzie Zorro skoczył jak pantera. Gibkie jego ciało opisało łuk w powietrzu. Spadł na barki jednego z żołnierzy i zanim ten zdążył upaść pod ciężarem, Zorro odepchnął się od niego, wykonał kozła ponad tłumem i opadł na posadzkę, stojąc na nogach.

Ludzie odwrócili się ku niemu.

Rozpoczęła zaciekle gonitwa.

Wszystkie prawie sale były jaskrawo oświetlone olbrzymimi żyrandolami.

Zorro dopadł barierek balkonika wiszącego nad olbrzymią salą balową. Z balkonika skoczył na żyrandol. Rozległ się brzęk szkła. To kryształki stanowiące ozdobę żyrandola posypały się na dół. Mężczyzna w masce puścił kołyszący się żyrandol, opisał łuk w powietrzu, opadł na drugi balkonik po przeciwległej stronie, otworzył jeden z pokoi i znikł za drzwiami.

Pogoń trwała dość długo. Zorro gdzieś wreszcie znikł.

Wtem rozległ się huk wystrzału i oczom wszystkich zebranych w sali koronacyjnej ukazał się wystraszony Zefirio w nocnym negliżu, trzymając dymiący pistolet w ręku:

- Zdaje się, że go postrzeliłem! - rzekł. - Lecz zdołał mi uciec!

Plany zamachu

Za gmachem uniwersytetu w Madrycie biegają wąskie i poplątane uliczki, w których gnieździ się biedota. Jedna z tych uliczek, szczególnie ciasna i ciemna, nie nęciła zbyt wielu przechodniów. Dlatego prócz rzadkich mieszkańców na pół rozwalonych domostw, nikt prawie tędy nie przechodził.

Pewnego pochmurnego poranka w uliczkę tę zagłębili się dwaj mężczyźni otuleni w długie, czarne płaszcze. Jeden z nich, wyższy, zbliżył się do wąskich drzwi niepozornej kamienicy, ujął kołatkę i trzykrotnie zapukał. Drzwi zostały uchylone i dwaj mężczyźni zniknęli w ciemnym wejściu.

- Czy junta * (Junta - (hiszp.) zebranie, związek lub grupa dyktatorska) jest w komplecie? - zapytał ten, który wszedł pierwszy.

- Tak jest, senor Fernando! - odpowiedział człowiek przy drzwiach. - A kto jest ten senor, który ci towarzyszy?

- Don Antonio jest nowym członkiem związku!

Obaj przybyli udali się stromymi schodkami na pierwsze piętro. Tutaj powtórzyła się ta sama operacja; don Fernando zapukał trzykrotnie, drzwi się uchylły i przybysze znaleźli się w przestronnym pokoju.

- Witajcie, bracia! - rzekł Fernando, schylając się w głębokim ukłonie. Towarzysz jego, don Antonio, poszedł za jego przykładem.

Dookoła długiego stołu siedzieli ludzie w liczbie dwudziestu dwóch. W milczeniu odpowiedzieli ukłonem na ukłon, po czym jeden z nich, siwy jak gołąb, widocznie przewodniczący posiedzenia, wskazał ręką na puste krzesła na końcu stołu. Fernando oraz don Antonio w milczeniu zajęli wskazane miejsca. Przewodniczący ciągnął dalej swą przemowę, przerwana przez nowo przybyłych.

- A więc, bracia - mówił - postanowiliśmy jednomyślnie, że królowa musi zginąć z naszej ręki. Wyrok śmierci został wydany. Niech żyje anarchia!

- Niech żyje anarchia! - zawołali obecni, podnosząc się ze swych miejsc i wyciągając ręce jak do przysięgi.

- Bracia! - zawołał przewodniczący. - Mam jeszcze coś do zakomunikowania!

Anarchiści umilkli i usiedli na swych miejscach.

- Pierwotny plan wysadzenia zamku królowej został zaniechany. Jest to sprawa zbyt niebezpieczna i kłopotliwa. Obecny tutaj brat Fernando podjął się zgładzenia królowej.

Szmer uznania przebiegł wszystkich zebranych. .

- Brat Fernando bierze do pomocy nowego członka naszego stronnictwa, don Antonia. Obaj zakradną się do pałacu i wykonają wyrok!

- Cześć- bohaterom! - rozległ się gromki okrzyk.

Fernando oraz don Antonio wstali i uklonili się.

- Bracia! - zawołał Fernando. - Postanowiliśmy, ja i don Antonio, sprzedać życie dla idei, dla naszej wspólnej idei!

Tutaj uderzył się pięścią w piersi i zawołał podnosząc głos:

- Możliwe, że zginiemy przy tym, lecz chętnie zgodzimy się na śmierć, gdyż ożywia nas jedna myśl: Precz z tyranią, precz z władzą, ładem i porządkiem!...

- Preecz! - wtórował im okrzyk zebranych.

- Lecz od was również oczekuję pomocy - ciągnął dalej Fernando. - Zadanie nasze wykonamy, jeśli zdołamy dostać się do pałacu. Jest on niestety pilnie strzeżony przez liczny oddział policji i wojska!...

Przewodniczący uniósł rękę do góry, by nakazać ciszę.

- Bracie Fernando! - zawołał. - Jeżeli o to chodzi, możesz być spokojny! Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, by ułatwić ci przedostanie się do pałacu. Dziś jeszcze zabierzemy się do dzieła. Wśród służby pałacowej oraz wśród wartowników mamy zaufanych ludzi. Nie wątpię, iż uda nam się załatwić wszystko pomyślnie!

- A więc kiedy dowiemy się, iż można zacząć?

- Bądźcie jutro przed północą nie opodal głównego wejścia do ogrodów Eskurialu. Tam zbliży się do was jeden z braci. On wam wskaże plan działania i poda wszystkie szczegóły.

- A więc jutro przed północą.

- Tak jest! I nie zapomnijcie zaopatrzyć się w sztylety!

- Ze sztyletami nigdy się nie rozstajemy - wtrącił milcząco dotąd don Antonio. - Możesz liczyć na nas, senor, ciosy nasze nie chybią!

Z tymi słowami anarchiści pożegnali się i pojedynczo wyszli z sali posiedzeń.

Fernando i don Antonio znaleźli się na ulicy. Po pewnym czasie, gdy oddalili się dostatecznie, don Antonio nachylił się do ucha swego towarzysza i szepnął:

- Głupcy, myślą, że wyłącznie dla idei narażamy nasze skóry!

- Tss! - szepnął Fernando i obejrzał się. - Mogą nas usłyszeć!

- Nikt nie idzie za nami! Możemy rozmawiać spokojnie!...

Otóż Fernando, czy jesteś pewny co do miejsca, w którym ukryta jest szkatułka z klejnotami królowej?

- A co z królową? Pozostawimy ją?

- Oszalałeś? Żeby nam cały związek anarchistów wsiadł na kark? Nie, mój kochany, musimy wykonać polecenie junty co do joty, w przeciwnym bowiem wypadku nie ujdziemy zbyt daleko ze szkatułką! .

Don Antonio westchnął.

- Ano, trudno! Dla milionów trzeba się narazić! Mimo woli staniemy się oswobodzicielami ludu, choć tyle to nas obchodzi, co śnieg na Pirenejach!

Błazen nadworny

Po ostatniej nocnej wizycie Zorry dworzanie uspokoiłi się. Nikomu nie uczynił krzywdy ani też, jak mówiła królowa, nie myślał wcale garbować skóry dworskiej szlachcie. Monarchini dała do zrozumienia, że te odwiedziny miały podłoże czysto polityczne. Mimo to wartownicy pałacowi zostali ukarani, po czym wartę zaciągnęli inni policjanci i żołnierze.

Następny dzień był dniem dworskich przyjęć.

Wspaniała gwardia dworska tworzyła długi szpaler w olbrzymiej, złotej sali.

Do pałacu wchodzili dostojnicy oraz pierwsza szlachta Hiszpanii. Szambelan, uzbrojony w długą laskę, prowadził każdego z nich z osobna do sali przyjęć i donośnym głosem wymieniał tytuły, rangę, ordery oraz nazwisko przybywającego.

Królowa siedziała w złotym fotelu, zwanym małym tronem. Za nią stali ministrowie i przybocznicy. Zefirio znajdował się między nimi. Zaskarbił sobie przychyłność królowej i został nieoficjalnym błaznem dworskim. I co szczególne, wszyscy prócz Zefiria wiedzieli dobrze, w jakim charakterze znajdował się

młody Corti przy boku monarchini.

Szambelan, ksiązę Almagro, ukazał się w wejściu i oznajmił przybycie księcia Ramida y Carvalha.

- Uwaga, wasza królewska mość! - szepnął Zefirio.

Królowa spojrzała nań zdziwiona.

- Co ty pleciesz, senor? - zapytała. - Dlaczego mam uważać?

- Uwaga na kieszenie i diamentowe ozdoby! Ksiązę jest wielce łasy na drogie i cenne drobiazgi!

Królowa nachmurzyła się, lecz w tej samej chwili wszedł do sali ksiązę Ramido i pewnym krokiem zbliżył się ku królowej. Zatrzymał się przed nią, ukląkł na jedno kolano i złożył pełen szacunku pocałunek na królewskiej ręce.

- Witaj mi, szlachetny ksiązę - rzekła łaskawie królowa. - Co przynosisz nam nowego?

- Miłościwa pani! - odpowiedział ksiązę, podnosząc się. Nie mogłem złożyć ci wcześniej wizyty, gdyż leżałem złożony niemocą.

- Wiem, wiem! Słyszałam o tym! Sądzę, iż czujesz się obecnie lepiej, mości ksiązę?

Lecz ksiązę Ramido nie odpowiedział. Zdumiony wzrok jego padł na głupkowato uśmiechnięte oblicze Zefiria, który stał obok tronu, oparty z niedbałą nonszalancją o boczną poręcz.

Ksiązę nie wiedział w jakim charakterze Zefirio tutaj się znalazł. Dlatego zdumienie jego graniczyło nieomal z przestachem, gdy spostrzegł młodego Cortiego poufale opierającego się o królewski tron.

Królowa powtórzyła pytanie, lecz ksiązę na razie zapomniał języka w gębie. Już miała powtórzyć je po raz trzeci, gdy odezwał się Zefirio:

- Mości ksiązę - rzekł doń wyniośle - stwierdzam oburzający fakt, iż królowa dwa razy zadała ci to samo pytanie, ty zaś nie raczyłeś odpowiedzieć!

Dworzanie zagryźli wargi, szambelan spojrział nań ze zgrozą pomieszaną z zachwytem, królowa uśmiechnęła się lekko.

- Senor Zefirio - rzekła półgłosem - zamilcz!

- Nie mogę milczeć, najjaśniejsza pani, nie umiem milczeć... - Rozległ się zewsząd stłumiony śmiech. - W takich wypadkach - dodał Zefirio. - Ksiązę patrzył nic nie rozumiejąc. - Wasza ksiązęca wysokość - ciągnął dalej niepoprawny Zefirio - nie jestem zawzięty, więc puszczam nietakt twój w niepamięć! Pozwól jednak, że ci powtórzę pytanie najjaśniejszej pani! Jej królewska mość raczyła zapytać o stan twoich nóg!

- O stan mych nóg?

- No tak! Po owej karkołomnej ucieczce przed rozbrykanym cielęcikiem!

Królowa spojrzała na Zefiria z udanym oburzeniem.

- Senor Corti! - rzekła doń z naciskiem. - Rozkazuję ci, zamilcz! Uwłączasz księciu i doprawdy zachowujesz się niesłychanie w mej obecności.

- Już milczę, najjaśniejsza pani!

Ksiązę był blady jak płótno.

Przykrą dlań scenę przerwał szambelan, wołając:

- Markiz Rerrero Mondevi de Malibran, wicegubernator Majorki, komandor orderów, z synem.

W sali zjawili się dwaj mężczyźni we wspinałych strojach dworskich. Obaj byli nadmiernie otyli, podobni do siebie jak dwie krople wody, szeroko uśmiechnięci i dobronudszni z wyglądu. Dzieliła ich jednak znaczna różnica wieku. Jeden z nich wyglądał na lat czterdzieści pięć, drugi zaś najwyżej na lat dwadzieścia. Zaledwie zbliżyli się do tronu, rozległ się radosny okrzyk Zefiria:

- Malibran, przyjacielu! Cieszę się, że cię widzę, chodź w me objęcia!

I nie czekając odpowiedzi rzucił się ku niemu. I

Powstało małe zamieszanie. Zefirio psuł bowiem sztywną etykietę dworu hiszpańskiego.

Na znak dany przez królową, szambelan dyskretnie zbliżył się do Zefiria i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł doń półgłosem:

- Senor Corti! Królowa rozkazuje, byś opuścił salę przyjąć!

- Dobrze - odparł Zefirio. - Chylę czoło wobec rozkazu najjaśniejszej pani. - Proszę jednak, ksiązę Almagro, byś szepnął jej królewskiej mości, że szlachetny Rerrero Mondevi de Malibran jako wielkorządca

Aragonii miałyby jedną jedyną zaletę!

- Jaka? - zapytał szambelan.

- Nie kradłby!

Rozmowę tę, prowadzoną półgłosem, dosłyszeli prawie wszyscy, nie wyłączając księcia Ramida i królowej.

Księżę Ramido zbladł i zagryzł wargi. W jego pełnym nienawiści spojrzeniu, jakie rzucił w stronę Zefiria, można było wyczytać, iż poprzysiągł zemstę nierozważnemu młodzieńcowi. Lecz ten nic nie dostrzegł. Ujął swego przyjaciela pod ramię i wyprowadził go z sali.

Przebaczenie królowej

- Jej królewska mość wzywa senora Cortiego do siebie! Przyboczny dworzanin wypowiedział te słowa i uklonił się ceremonialnie.

Zefirio z uśmiechem spojrzał na Malibrana.

- Czy wiesz, po co wzywa mnie królowa?

- Domyślam się! Prawdopodobnie, by cię odznaczyć orderem. - Lepiej! .

- Lepiej.?.

- Wypędza mnie z pałacu!

- Czyżby? - zdziwił się Malibran.

- Przeciagnałem strunę w czasie audiencji.

- A więc będziesz mi towarzyszył, gdy opuszczę pałac.

- Nie. Pozostanę tutaj!

- Jak to? Wbrew woli królowej?

- Z wolą królowej.

- Teraz już nic nie rozumiem!

- Chodź ze mną, to zrozumiesz.

- Sądzę, że królowa zechce rozmawiać bez świadków.

- Toteż pozostawię cię za uchylonymi drzwiami.

- A więc chodźmy.

Wzięli się pod ręce i poszli rozmawiając wesoło.

Przed drzwiami prowadzącymi do prywatnych apartamentów królowej stali dwaj gwardziści pełniący służbę.

- Królowa mnie wzywała - rzekł Zefirio. - Zameldujcie mnie, proszę!

Jeden z oficerów gwardii pałacowej wszedł do komnat królowej.

- Senor kapitan - zwrócił się Zefirio do drugiego. - Ten oto mój przyjaciel założył się ze mną przed chwilą...

- Nic mnie nie obchodzą wasze zakłady! - mruknął gwardzista. .

- Owszem obchodzą, bardzo obchodzą. Założyliśmy się o to, czy gwardia pałacowa składa się z żołnierzy wojowników czy też kamerdynerów królewskich.

Oficer zbladł i strasznym wzrokiem spojrzał na Zefiria, ten zaś ciągnął dalej:

- Ja utrzymuję, że gwardia to żołnierze, mój zaś przyjaciel twierdzi...

- Nie chcę wiedzieć, co twierdzi twój przyjaciel, senor! - przerwał oficer brutalnie. - Już ja go sam pouczę, co ma myśleć o gwardii.

Drugi oficer wrócił i rzekł do Zefiria.

- Jej królewska mość wzywa senora Cortiego.

- Wytłumacz memu przyjacielowi, co to jest gwardia, kapitanie - rzekł Zefirio i znikł za drzwiami.

Królowa czekała na niego, chodząc po puszystym dywanie salonu. .

- Senor Zefirio! - zawołała bez żadnego wstępu. - Zachowałeś się okropnie podczas audiencji i dowiodłeś, że miejsce twe nie jest przy dworze, wobec czego będziemy musieli się rozstać.

- Ha, trudno! - westchnął Zefirio. - Opuszczę ten pałac i pójdę w świat, unosząc w moim sercu po wieczne czasy obraz mej królowej: .

Królowa była nieco zdziwiona, spodziewała się bowiem, że Zefirio będzie ją błagał o przebaczenie.

- Najjaśniejsza pani, ciągnął dalej Zefirio. - Nie wiem, co prawda, czemu mam przypisać tak nagłą niełaskę, lecz jako wierny poddany muszę słuchać bez dyskusji, toteż bez szemrania usunę się jeszcze dziś. Bardzo jednak żałuję, że mnie właśnie to spotyka, właśnie mnie! Od chwili gdy tu jestem, stałem się najwierniejszym, najczujniejszym strażnikiem królewskiej osoby.

- Mam dosyć straży i bez ciebie, senor.

- Nie ufaj jej zbytnio, najjaśniejsza pani. Nawet twoi najbliżsi gwardziści zamiast czuwać nad osobą królowej, zajęci są czymś innym.

- Senor, co za insynuacje?

- Prawdę mówię, wasza królewska mość. Wierny Zefirio, czuwający nieustannie nad osobą swej monarchini, wart jest więcej niż wartownicy porozstawiani w każdym kątku i przed każdymi drzwiami. Oto przykład, najjaśniejsza pani! Przed drzwiami prowadzącymi do twych apartamentów winni czuwać dwaj zaufani oficerowie gwardii. Założę się, że w tej chwili do komnat tych mógłby zakraść się najpospolitszy rzezimieszek, nie mówiąc już o rewolucjonistach.

- Senor! - zawołała królowa gniewnie. - Doprawdy zbyt wiele sobie pozwalasz!

- A więc jeśli zezwolisz, najjaśniejsza pani, pójde sprawdzic, co robią teraz wartownicy przed twymi drzwiami. Przekonam się o ich czujności i wówczas spokojnie będę mógł odejść.

I nie czekając na odpowiedź, zawrócił ku drzwiom, wyminął dwie komnaty i otworzył drzwi na korytarz.

Oficerów nie było przed drzwiami.

- Ach! - rozległ się cichy okrzyk nad uchem Zefiria.

To królowa wiedzona ciekawością poszła za Zefirio i naocznie przekonała się, że drzwi wejściowe do jej apartamentów nie były wcale strzeżone.

- Najjaśniejsza pani pozwoli, że poszukam tych oficerów! Odnalezienie ich nie było rzeczą trudną. Na końcu korytarza drzwi były nieco uchylone i z sąsiedniej sali dochodziły szcęk oręża oraz przytłumione przekleństwa.

- Oni są tam! - rzekł Zefirio. - Biją się, zamiast spełniać swój najświętszy obowiązek!

Królowa śpiesznym krokiem podążyła w kierunku uchylonych drzwi. Zefirio nie pozostał w tyle. Gdy oboje stanęli w drzwiach, niezwykle widok ukazał się ich oczom. Malibran walczył na szpady z oficerem gwardii. Drugi oficer był sekundantem pojedynku.

- A więc jestem żołnierzem czy kamerdynerem? - syczał gwardzista.

- Jeszcze nie wiem! - odpowiedział Malibran, oddając ciosy. - Machasz szpadą, senor, jak szczotką do odkurzania!

Oficer ryknął wściekle i natarł ze zdwojoną furią.

- Jeśli wyjdiesz cało z tego pojedynku - zawołał drugi oficer - będziesz miał ze mną do czynienia!

Królowa przypatrywała się z oburzeniem tej scenie, wreszcie zawołała:

- Senores, co to ma znaczyć?

Szpady opadły jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej.

- Królowa! - wydarł się okrzyk pełen przestachu z ust trzech mężczyzn.

A ona odwróciła się w stronę Zefiria i ujęła go pod ramię:

- Chodźmy, senor Zefirio, mój najwierniejszy sługo!

Odchodząc Zefirio rzucił triumfujące spojrzenie w stronę Malibrana.

W odpowiedzi ten uśmiechnął się, zrozumiał bowiem, iż Zefirio posłużył się jego osobą, by zaskarbić sobie na powrót łaskę królowej.

Udaremniiony zamach

Królowa przebaczyła młodemu Cortiemu jego przewinienie i pozostawiła go w pałacu, zlecając mu nadzór nad wartą pałacową. Od tej chwili Zefirio stał się ważną osobistością na dworze. Przywdział jakiś fantastyczny strój, cały obszyty złotymi i srebrnymi galonami, u boku jego dzwoniła długa szabla: Wszędzie go było pełno, węszył i tropił niewidzialnych wrogów w każdym zakątku. W swej skrupulatności stał się natrętny i przesadny.

Pewnego wieczoru, gdy królowa miała właśnie zamiar udać się na spoczynek, bez meldowania się

wbiegł do sypialni Zefirio, zajrzał pod królewskie łoże, fotele i wybiegł nie mówiąc ani słowa. Królowa wzruszyła ramionami. Zefirio doprawdy zbyt pręży się swą rolą, pomyślała, szuka zbrodniarzy pod moim łożem.

Nad ranem otwierając oczy Izabella II ze zdumieniem spostrzegła mężczyznę siedzącego w fotelu nie opodal jej łoża. Był to Zefirio, który z obnażoną szpadą czuwał nad jej bezpieczeństwem, chrapiąc w najlepsze.

- Senor Zefirio! - zawołała królowa, przykrywając się kołdrą aż do podbródka. - Wypraszam sobie, byś narzucił mi swe towarzystwo nawet w sypialni. Doprawdy za wiele tego!

Na dźwięk głosu królowej, Zefirio obudził się, schował szablę do pochwy, przeżegnał się, po czym wyniósł się w milczeniu. Gdy znikł za drzwiami, Izabella uśmiechnęła się pobłaźliwie. Doprawdy, pomyślała, zaczynam lubić tego głuptasa. Czuję, że nudziłabym się, gdyby nie było go w pałacu.

Tego dnia wszędzie było pełno Zefirio. Wartownicy oraz służba pałacowa ciskali przekleństwa w ślad za nim, gdy przechodził. Toteż gdy nastał wieczór, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Noc zapadła.

Wartownicy sennie przechadzali się po licznych korytarzach. Pomimo że Zefirio czuwał przez cały dzień i osobiście porozstawiał liczną straż - przed północą jakiś cień przesunął się bezszelestnie przez sale, znikł za jednym zakrętem i zjawił się za drugim. Był to Zorro, który mimo wszystko wślizgnął się do pałacu i wędrował przed samym nosem warty.

W kilku zegarach pałacowych wydzwoniła północ.

Gdzieś w oddalonej części pałacu zgrzytnęły drzwi. Nastąpiła chwila kompletnej ciszy, po czym rozległo się w jednej z sal skrzypnięcie podłogi.

Zorro zamarł w bezruchu, nad słuchując. Oczy jego, przyzwyczajone do ciemności, dostrzegły po pewnym czasie trzy postacie ludzkie, które posuwały się ostrożnie. Jedna z nich szła przodem i prowadziła dwie pozostałe. Zamaskowany obserwator wyteżył wzrok i raczej domyślił się, niż dojrzał, że ten, który prowadził, należał do warty pałacowej. A więc wśród strażników był zdrajca.

Tajemniczy nocni goście przesunęli się przez salę. Zdrajca-wartownik ostrożnie uchylił drzwi na korytarz. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległy się dwa tępe uderzenia. Dwaj wartownicy ogłuszeni legli na posadzce, zaciągnięto ich do Sali, w której znajdował się Zorro.

Zdrajca-wartownik zatrzymał się przed drzwiami sypialni królowej, dwaj inni uchylili lekko drzwi i wślizgnęli się do środka.

- Uwaga, Fernando - szepnął jeden. - Królowa śpi po prawej stronie.

- Nie obawiaj się, Antonio - odpowiedział również szeptem drugi. - Załatwię przede wszystkim tamtą sprawę...

- Uważam, że należałoby najpierw wykonać polecenie junty.

- Masz rację, najmniejszy szelest i królowa się obudzi, a wówczas jesteśmy zgubieni.

Ostrożnie posuwali się w stronę łoża śpiącej Izabelli II.

Pochłonięci swą myślą, nie dosłyszeli tępego uderzenia na korytarzu oraz stuku padającego ciała. Nie dostrzegli też cienia, który przesunął się za nimi.

- Fernando, czy widzisz w ciemności? - szepnął don Antonio.

- Jak kot! Oto królowa.

Uniósł sztylet, lecz w tej samej chwili coś świsnęło w powietrzu i owinęło się dookoła jego szyi, wrzynając się boleśnie w skórę i odciągając z gwałtowną siłą w tył.

Był to bat Zorry.

Świst rzemienia rozległ się po raz drugi, trzeci i czwarty. Zbrodniarze znaleźli się na podłodze, wijąc się pod razami bicia i jęcząc.

Królowa zerwała się ze swego łoża.

- Boże! - zawołała. - Co się tu dzieje?

- Nie obawiaj się niczego, najjaśniejsza pani, to ja, Zorro, karzę zbrodniarzy, którzy wtargnęli do twojej sypialni, by cię zamordować.

W korytarzu rozległ się dzwon alarmowy. To królowa pociągnęła za jedwabny sznur wiszący koło jej łożka.

Po chwili zbiegli się ludzie ze światłem.

Przy świetle lamp i latarń ujrzano na podłodze dwóch obcych ludzi leżących bez przytomności.
Obok leżały na podłodze dwa sztylety.
Zorro gdzieś znikł.

Posiedzenie rady ministrów

Don Alonzo, pierwszy minister, wstał i kłaniając się nisko królowej Izabelli II, rzekł donośnym głosem:

- Posiedzenie rady ministrów otwarte, wasza królewska mość!

Ludzie w szamerowanych złotem strojach, siedzący dookoła stołu pochylili głowy.

- Przedmiotem naszej dzisiejszej debaty - kontynuował don Alonzo - jest zmiana na stanowisku gubernatora Aragonii. Z woli jej królewskiej mości, księżę don Ramido y Carvalho ustępuje. Objęcie opuszczonego przezeń stanowiska jest przedmiotem obecnej konferencji. Jej królewska mość w tej sprawie wyraziła życzenie wypowiedzenia własnego zdania.

Głowy obecnych skierowały się w stronę królowej.

- Senores - rzekła królowa. - Usunęłam księcia Ramida y Carvalha, gdyż doszły mych uszu wieści o wadliwej administracji sprawowanej przez księcia. Lecz na tym nie koniec, mym zamiarem jest postawienie księcia w stan oskarżenia za nadużycia i malwersacje przezeń popełnione.

Rozległ się szmer na sali i ministrowie poruszyli się niespokojnie na swych miejscach.

Don Alonzo wstał i rzekł kłaniając się królowej.

- Jej królewska mość wyraziła życzenie, by postawić księcia Ramida w stan oskarżenia. Z punktu widzenia sprawiedliwości należałoby tak uczynić bezwzględnie. Niestety, racja stanu zabrania nam to uczynić!

- Dlaczego? - zapytała królowa zdziwiona. - Księżę kradł i gnębił ludność, a nam nie wolno go oskarżyć i ukarać?

- Nam tego nie wolno uczynić - odpowiedział don Alonso stanowczo. - Nie wolno nam wywlekać na światło dzienne tej sprawy, gdyż rząd oraz osoba waszej królewskiej mości na tym również ucierpią.

- Wytłumacz się jaśniej, don Alonzo!

- To jasne-Jak słońce, że w umyśle ludu ministrowie, wielkorządca oraz jej królewska mość to jedno, czyli klasa rządząca. Wywlekanie sprawy don Ramida rozwiąże różnym agitatorom języki. Patrzcie - rzekną - jaka tam panuje zgnilizna i korupcja wśród rządzących. Niby są to ludzie pracujący dla dobra Hiszpanii, a w rzeczywistości chodzi im o zwykły zarobek, o zdobycie grosza. Skoro nawet przedstawiciel szlacheckiego rodu nie cofa się przed zwykłą kradzieżą, to znaczy, że ci, którzy do tego dopuścili i przez tyle lat oczy mieli zamknięte, a więc ministrowie, czyli cały rząd z jej królewską mością na czele...

- Dość, don Alonzo! - zawołała królowa. - Rozumiem cię dobrze, powiedzą, że cały rząd nie jest uczciwy!

- Tak jest! Wasza królewska mość raczy mi wybaczyć, lecz w historii mieliśmy już podobny przypadek wykorzystania przez agitatorów rewolucyjnych najdrobniejszej sprawy.

- Jaki to był przypadek? - zapytała królowa zainteresowana. - Była to sprawa naszyjnika królowej francuskiej Marii Antoniny. Z błahej sprawy wywiązała się nieco później rewolucja, która zmiotła króla i królową!

- Czy nie przesadzasz, senor Alonzo?

- Nie przesadzam! Radzę całą sprawę zatuszować!

- A więc niech tak będzie! - rzekła królowa przekonana. - Teraz przejdziemy do drugiej sprawy. Na stanowisko wielkorządcy Aragonii proponuję don Herrera Mondevi de Malibrana, byłego wicegubernatora Majorki. Według mnie jest to człowiek prawy oraz najbardziej odpowiedni.

Ministrowie zaczęli się naradzać szeptem.

Narada trwała dość długo, wreszcie don Alonzo wstał:

- Wasza królewska mość - rzekł. - Życzenie jej, jest dla nas rozkazem. W myśl jednak polecenia mego rządu zechce jej królewska mość wysłuchać naszych uwag.

- Słucham!

- Aragonia, wyniszczona przez nieudolną gospodarkę księcia Ramida, potrzebuje człowieka energicznego i przedsiębiorczego zarazem. Markiz de Malibran nie jest tym człowiekiem, jest zbyt miękki, ma chwiejny charakter i jest ustepliwy. Zdemoralizowana Aragonia potrzebuje innego człowieka: energicznego, nieustepliwego, słowem, żołnierza, który by potrafił utrzymać w ryzach ludność, a jednocześnie byłby sprawiedliwy!

- Taki człowiek?

- To don Alvarez y Gonzano, pułkownik jej królewskiej mości. Zna dobrze Aragonię, umie obchodzić się z ludnością, poskramiać buntowników i nie popełnił nic takiego co by pozwalało podejrzewać jego uczciwość.

Królowa wahała się. Tajemniczy Zorro uratował ją przed zamachem anarchistów.

Królowa chciała mu się wywdzięczyć, usuwając znieawidzonego don Ramida. Również Zefiria chciała zadowolić, wysuwając kandydaturę ojca jego przyjaciela..

Lecz ministrowie byli zdania, iż na to stanowisko daleko odpowiedniejszy jest don Alvarez.

- Zgadza się! - rzekła królowa z westchnieniem. - Niech będzie don Alvarez, przekonaliście mnie!...

Gniew Zefiria

Gdy wiadomość o mianowaniu don Alvaraza gubernatorem Aragonii rozeszła się po Madrycie, pierwszy, który pognał do królowej, by złożyć jej najuniżeńsze dziękczynienia był sam don Alvarez.

Oficer nie posiadał się z radości. Co prawda nominacja ta nie była dlań niespodzianką, bo dużo wcześniej karierowicz odbył tajemną naradę z ministrem don Alonzem, a jednak gdy zawiadomiono go o tym, iż został wielkorządcą, duma i radość poniosły go jak na skrzydłach do Eskurialu.

Jeden tylko człowiek chodził po komnatach pałacowych zasępiony.

- Złodziej na złodzieju siedzi i złodziejem pogania - mruzczał. - Biedna Aragonia...

Wtem pewna myśl przyszła mu do głowy. Uśmiechnął się. Twarz jego rozjaśniła się i machnął ręką.

Udał się na poszukiwanie królowej.

Wszedł do sali posiedzeń w chwili, gdy wycofał się z niej uszczęśliwiony don Alvarez.

- Ach, kogo widzę? - zawołał Zefirio z szerokim uśmiechem, wyciągając rękę. - Senor Alvarez, wielkorządca Aragonii! Winszuję, winszuję z całej duszy.

Lecz don Alvarez zmierzył go dumnym spojrzeniem i nie wiedząc, co Zefirio robi w pałacu królewskim, wyminął go skinąwszy mu lekko głową.

Zefirio pozostał na progu, żałośnie oglądając swą wyciągniętą dłoń.

- Taki gbur! - wyrzekł kiwając głową. - Nawet nie raczył się ze mną przywitać. I to jest gubernator? Do licha, wyobrażam sobie, jak ci, biedni Aragończycy będą skakali przed jego gubernatorską wysokością! .

Mówił tak głośno, że wszyscy obecni w sali, nie wyłączając królowej, słyszeli każde jego słowo.

Zefirio zbliżył się do królowej.

- W złym humorze jesteś, senor Zefirio! - rzekła doń Izabella II.

- Jestem wściekły, wasza królewska mość. Biedna Aragonia dostaje zarządcę gbura!

- Cicho, Zefirio, jest to człowiek uczciwy, choć nieco szorstki. - I dodała ciszej: - Wolałabym co prawda markiza Mondevi de Malibrana, lecz kandydaturę don Alvaraza wysunął sam don Alonzo i poparli go wszyscy ministrowie. Zgodziłam się na don Alvaraza, gdyż nie mam żadnych powodów do odrzucenia nieposzlakowanego człowieka!

- Hm - mruknął Zefirio. - I ja nie mogę nic mu zarzucić prócz tego, że jest gburem. Nawet bicz Zorry nie zdołał nauczyć go skromności.

- Bicz Zorry? - powtórzyła królowa. - Czyżby dał się osmagać?

- Nie wiem, czy dał się, lecz fakt pozostaje faktem, że przez dwa przeszło miesiące obnosił na policzku znak "Z".

Na tym rozmowa Zefiria z królową zakończyła się.

W balowych salach pałacu wrzały przygotowania do mającego nastąpić w przyszły czwartek

wspaniałego balu dworskiego.

Zefirio natychmiast po rozstaniu się z królową udał się w kierunku sal, z których dochodził stuk młotków.

Z żywym zainteresowaniem przyglądał się przez pewien czas pracy robotników. Wreszcie znudził go ten widok, ziewnął potężnie i powlókł się do swego pokoju w odległym skrzydle pałacu.

Tego wieczora Zefirio nie ukazał się więcej.

Noc zapadła. Wartownicy porozstawiani wszędzie, czuwali.

A jednak gdy królowa obudziła się nad ranem, znalazła kopertę przypiętą zwykłą szpilką do kołdry. Na kopercie widniał znak "Z" nakreślony czerwoną kredką.

Izabella II sięgnęła po kopertę, rozerwała ją i wewnątrz znalazła kawałek papieru. Zaczęła czytać i stopniowo oblicze jej chmurzyło się coraz bardziej.

Zobowiązuję się - czytała - wypłacić don Alvarezowi jeden milion peso z chwilą nabycia przeze mnie gruntów i posiadłości na zachód od Huesco, należących do pana Anzelma Cortiego.

Podpisano: Pablo Ravales.

Królowa zamyśliła się. Za co miano wypłacić don Alvarezowi tyle pieniędzy?.. Widocznie don Alvarez zobowiązał się usunąć dotychczasowego właściciela posiadłości ziemskich za wynagrodzeniem...

Rozmyślania na ten temat zajęły jej całe przedpołudnie. Po południu kazała przywołać do siebie don Alonza, pierwszego ministra.

Przybył uśmiechnięty, układny, zgięty w przesadnie uniżonym ukłonie.

- Senor Alonzo - zwróciła się doń królowa z niezadowoleniem w głosie - Mianowałam. don Alvareza wielkorządcą Aragonii, gdyż poleciłeś mi go ustnie jako człowieka czystego.

- I nadal utrzymuję to samo, wasza królewska mość! Królowa wzięła do ręki kartkę papieru i podała ministrowi. - Proszę, don Alonzo - rzekła. - Weź i czytaj!

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy przebiegłego dyplomaty, gdy odczytywał tę kartkę. Tylko oczy jego nieco rozbłysły i lekko zagryzł wargi.

- Czy mogę wiedzieć, wasza królewska mość, w jaki sposób ten papier dostał się w twoje ręce?

- Czy nie wszystko jedno, mości Alonzo - żywo odparła królowa. - Nie chodzi nam tutaj o pochodzenie tego papieru, lecz o jego treść!

- Słuszna uwaga, najjaśniejsza pani - zgiął się w dworskim ukłonie don Alonzo. - Toteż proszę cię o jedno, daj mi ten papier, bym mógł zgłębić całą tajemniczą sprawę.

- Czy dokument ten potrzebny ci jest koniecznie, senor?

- Tak jest, koniecznie! Mam zamiar rozpocząć śledztwo. Nazwisko Pabla Ravalesa obito mi się niejednokrotnie o uszy.

- Czy długo trzeba będzie czekać na wynik?

- O nie, najjaśniejsza pani - pośpieszył z odpowiedzią don Alonzo. - Jutro lub najwyżej pojutrze sprawa się wyjaśni. Jeśli wina don Alvareza zostanie udowodniona, poniesie odpowiednią karę.

Don Alonzo złożył świstek pieszczotliwie w cztery i schował do swego portfela. W tej samej chwili portiera przy oknie drgnęła. Ktoś ukryty za nią widocznie podsłuchiwał. Ani królowa, ani minister, zajęci rozmową, nie zauważyli nic podejrzanego..

Po chwili don Alonzo pożegnał się z królową i opuścił gabinet. Królowa również powstała ze swego miejsca i zamyślona wyszła.

Portiera poruszyła się i ukazał się Zefirio..

- Do licha! - szepnął. - Zdaje mi się, że ten don Alonzo nie mniejszym jest łajdakiem od don Ramida i don Alvareza. Dobrana paczka. Nic dziwnego, że książę Ramido tak długo siedział na swym stanowisku. Miał dobre plecy!

Dobrani przyjaciele

Gdy don Alonzo powrócił do siebie, zastał w salonie uśmiechniętego don Alvareza..

- Witaj, don Alonzo! - rzekł wyciągając dłoń. - Otrzymałem zaproszenie na bal dworski, po czym

wyruszam do Saragossy, by objąć stanowisko, które tobie zawdzięczam, ministrze!

- Złe nowiny, don Alvarez! - rzekł krzywiąc się. - Bardzo złe nowiny dotyczące ciebie, mój pułkowniku!

- Co się stało? - zaniepokoił się oficer. - Czyżby nastąpiło odwołanie? .

- Nie, jeszcze nie, dzięki Bogu, lecz gdyby nie ja, musiałbyś się podać do dymisji, zrzucić mundur i powrócić do stanu cywilnego!

Mówiąc to don Alonzo wydobył kartkę z kieszeni i pokazał ją don Alvarezowi.

- Poznajesz to, senior? - zapytał.

Don Alvarez zbladł i wyciągnął rękę, by pochwycić kompromitujący dokument. Don Alonzo cofnął rękę i schował papierek do kieszeni.

- O nie, senior! - rzekł mrużąc oczy. - Nie mogę ci dać tego papieru, królowa mi go dała, jestem więc odpowiedzialny za całość tego świstka!

- Podrzyj go, senior! - zawołał don Alvarez w podnieceniu, podrzyj go natychmiast... Ten dokument nie jest prawdziwy, sfalszowano go...

- Sfalszowano? - zapytał don Alonzo ironicznie. - Ciekawe, a więc dlaczego żądasz, bym go podarł?..

Wtem urwał, zamyślił się i oczy jego zabłysły. Wpadł na genialny pomysł.

- Słuchaj, senior Alvarez! - zawołał. - Mam świetną myśl, sam mi ją poddałeś. Jesteś uratowany, jak mi Bóg miły! Doprawdy wart jestem tych dziesięciu milionów rocznie, które masz mi wypłacać ze swych dochodów!

Don Alvarez pytającym wzrokiem spojrzał na rozradowane oblicze don Alvareza.

- Mów prędzej, senior! - zawołał niecierpliwie. - Jaki ratunek obmyśliłeś .

- Bardzo prosty! Mówiąc, że dokument ten został sfalszowany, co oczywiście nie jest prawdą, poddałeś mi myśl, że można go przecież sfalszować!

- Nie rozumiem!

- Napisze się identyczną kartkę, a podpis Pabla Ravalesa nie będzie autentyczny tym razem, za to rękę, rozumiesz senior? Jutro królowa dowie się, że ją oszukano, a don Alvarez jest uczciwym człowiekiem.

- Ach, jakież to wspaniałe pomysły! - zawołał don Alvarez z zachwytem. - Uf, odetchnąłem. Myślałem, że jestem zgubiony...

- Powrócę do królowej - ciągnął dalej don Alonzo - i oświadczę, że poleciłem policji stwierdzić prawdziwość podpisu Ravalesa i okazało się, że podpis został sfalszowany.

- A prawdziwa kartka?

- Zamknę ją w kasie ogniotrwałej, w najgłębszym schowku!

Don Alvarez skrzywił się:

- Po co ci to, senior? - zapytał. - Czy chcesz mieć broń przeciwko mnie?

- Ale uchowaj Bóg, co znowu! - zaprotestował don Alonzo. - Czyż nie jesteśmy szlachcicami?

- Więc po co zatrzymujesz tę kartkę, jeśli nie będzie ci potrzebna, senior?

- Czy ja wiem? Ot, po prostu ostrożność! Nie jest się wiecznie potężnym ministrem królowej. Może przyjdzie dzień, gdy tracąc łaskę zostanę odsunięty od władzy, a wówczas ta kartka zapewni mi stały odbiór dywidendy!

- Ach, tak! - mruknął don Alvarez. - Chcesz się zabezpieczyć, senior, na wszelki wypadek. Liczysz, że będę regularnie wypłacał ci pensję!,

- Tak, tak, przyjacielu! - potwierdził don Alonzo. - Ten papierek to jakby renta państwowa albo dożywocie!

- Możesz trzymać ten świstek, senior Alonzo! Nie przypuszczam, byś miał kiedykolwiek użyć tego dokumentu jako broni przeciwko mnie. Jeśli chciałem, byś podarł, to tylko dlatego, że obawiam się, by nie dostał się w niepowołane ręce.

- O, nie ma obawy! W moim opancerzonym skarbcu...

- Nie mów tak, senior! - przerwał mu żywo don Alvarez. - Ten dokument leżał w moim schowku ukryty bardzo starannie, a jednak wydobyto go i wręczono królowej.

- Ten, który zrabował ci ten papierek - roześmiał się szyderczo don. Alonzo - nie przyjdzie szukać go u mnie...

- Nie mów tak, senor. Ten człowiek, jeśli się dowie, że przedstawiłeś królowej kopię, odbierze ci oryginał przemocą lub podstępem. .
- Taki człowiek jeszcze się nie narodził! - oświadczył zimno don Alonzo. .
- Taki człowiek istnieje. Jeśli potrafił przedostać się do mej kwatery otoczonej wojskiem i zabrać z mego biurka ten oto świstek, przysięgnę, że potrafi również dobrać się i do ciebie, senor, człowiek ten nazywa się...
- Nazywa się ... - powtórzył don Alonzo ironicznie. - Zorro!...
- O do licha! ...

Bal dworski

Salę pałacu królewskiego oświetlone były rzęsiście. Orkiestra przygrywała rażno, a pary krążyły po pałacowej posadzce.

Szamerowane mundury, wysadzone diamentami orderki dyplomatów, fraki o różnych kolorach, panie niezwykle piękne i wydekoltowane - dyplomatyczny ten tłum przewijał się różnobarwną i mieniącą się szeroką wstęgą po wszystkich salach i pomiędzy kolumnami.

Bal królewski miał charakter nader dostojny i nie różnił się wcale od innych oficjalnych uroczystości.

W jednym tylko rogu sali, za dwiema marmurowymi kolumnami, rozlegały się kaskady śmiechu. (Niejednokrotnie zdziwione lub zgorzzone spojrzenia dostojnych gości kierowały się ku miejscu, gdzie rozlegał się ów rozgłośny śmiech zakłócający ogólną powagę). Zebrane tu liczne towarzystwo, złożone prawie z samych młodych kobiet, bawiło się znakomicie.

- Co się tam dzieje? - zapytała królowa ministra. - Po raz pierwszy słyszę w czasie balu tak wesoły śmiech!

- Pójdę przekonać się, co ich tak śmieszy, wasza królewska mość - rzekł don Alonzo.

- Dobrze, lecz wracaj niebawem.

Don Alonzo przeszedł olbrzymią salę i przystanął pomiędzy śmiejącymi się niewiastami.

Pośrodku stał Zefirio i snuł opowieść, uśmiechając się przy tym, jak zazwyczaj, bezradnie. i głupkowato.

Don Alonzo przysłuchiwał się przez chwilę jego opowiadaniu, lecz powolna mowa i nosowy głos Zefiria zaczęły mu działać na nerwy. Miał już zamiar oddalić się, gdy wtem zatrzymał się, zainteresowany opowiadaniem głuptaka:

- A więc moje piękne seniority - mówił Zefirio - błąkam się w lesie z mą skrzynką botaniczną, aż tu patrzę, coś takiego rośnie pod drzewem, ni to kwiat, ni to grzyb... Zaczynam ciągnąć. Ciągnę, ciągnę, ani rusz, siedzi mocno. Wreszcie straciłem cierpliwość, jak nie szarpnę ten diabelski grzyb... Urwał się, a ja rozciągnąłem się jak długi na ziemi... Leżę chwilkę wypoczywając i rozmyślając nad tym dziwnym grzybem. Zabieram się wreszcie do wstawiania, a nade mną jacyś dwaj jegomoście o bandyckich obliczach... Byli to dwaj złodzieje. Hej, laluu, woła jeden z nich, dawaj, co masz. Przestraszyłem się. Miałem akurat przy sobie dziesięć peso. Oddałem. Wziął ten pierwszy złodziej i chowa do kieszeni. Nie spodobało się to drugiemu. Wyciągnął mu cichaczem papierek i włożył do swej kieszeni. Senor! - zawołałem - zabraliście mi ostatni grosz, pomóżcie mi choćby wstać z ziemi, potłukłem się bowiem okrutnie. Złodziej był uczynnym człowiekiem. Pomógł mi wstać, a ja z kolei wyciągnąłem mu banknot z kieszeni... I przyjrzałem mu się dobrze. Mówię wam, moje drogie, jak żywy stoi przede mną. Bardziej złodziejskiej twarzy nie widziałem. Jak wam to opisać? Oczy miał takie... no takie...

Zefirio nie umiał określić twarzy złodzieja. Wtem jego głupkowaty wzrok zatrzymał się na obliczu don Alonza.

- Mam, mam! - zawołał uradowany. - Czy chcecie mieć wyobrażenie o twarzy tego rzezimieszka? Patrzcie na tego jegomościa, podobieństwo uderzające. - Wskazał przy tym palcem na don Alonza.

Ów zbłądł jak chusta i zatrząsł się z oburzenia, nie mogąc słowa wymówić. Głupiec porównał jego dostojne oblicze z twarzą złodzieja!

Przeżalone spojrzenia skierowały się na potężnego ministra królowej. Grobowa cisza zaległa wśród zebranych. Nikt nie śmiał odetchnąć. Zefirio śmiertelnie obraził najpotężniejszego człowieka w państwie.

Jeden tylko Zefirio, nic nie rozumiejąc, wybuchnął głupkowskim śmiechem.

- To ci heca!... To ci heca! - powtarzał. - Jakie uderzające podobieństwo. Wykapany złodziej, którego okradłem!

- Zefirio! - rozległ się trwoźny szept tuż obok niego. - Szaleńcze, zastanów się, przecież to jest don Alonzo!

- Don Alonzo? - zdziwił się Zefirio. - Ach, prawda! Gdzież ja mam pamięć? Rzeczywiście don Alonzo, pierwszy minister królowej! - Wyciągnął pojednawczo dłoń ku stojącemu nieruchomo dygnitarzowi: - Wybacz mi, błagam cię, to niefortunne porównanie. Rzeczywiście, gdzież ja miałem oczy? Ekscelencjo, zapewniam cię, wcale nie jesteś podobny z rysów do owego złodzieja, jeśli nie brać pod uwagę podobieństwa wyrazu twarzy".

Czym by się skończyła ta scena - nie wiadomo, wątpliwe czy nawet sama królowa zdołałaby go ocalić, gdyby szczęśliwy traf nie przyszedł mu z pomocą.

Pomiędzy tłumem przepychał się osobisty sekretarz ministra, błąd jak płótno. Gdy dotarł do don Alonza, nachylił się do jego ucha i szepnął:

- Ekscelencjo, dokonano włamania do twojej kasy pancерnej! Wszystkie papiery rozrzucone. Złodziej pozostawił swój znak: „literę Z”.

Pieśń grozy

Nowy wielkorządca Aragonii, don Alvarez y Gonzano, rozpoczął swe rządy..

Gdy ustąpił stary książę Ramido, Aragończycy odetchnęli. Zanieśli dziękczynne modły do Najwyższego, we wszystkich kościołach ukwiecili wizerunki i posągi Matki Boskiej, spalili mnóstwo świec ofiarnych i uznali, że nastąpiła lepsza dla nich era. Niestety, przekonali się rychło, że to jeszcze nie jest okres wytchnienia i sprawiedliwości.

Don Alvarez utrzymał wszystkie podatki ustanowione przez byłego wielkorządcę. Mało tego, wyznaczył dodatkowe od każdego komina i nowo narodzonego cielęcia, podwyższył opłatę za przejazd przez każdy most, a nawet przejście przez kładkę na najmniejszej rzeczce.

Odczuł więc biedny lud Aragonii twardą rękę byłego pułkownika, a obecnego wielkorządcy. Poprzedni był nie sumiennym i złym tyranem, lecz jego następca przewyższał go swą bezwzględnością.

Doprowadzona do ostateczności ludność zaczęła się burzyć. Nie na wiele to się zdało. Don Alvarez miał wprawę w uśmierzaniu buntów i powstań. Polała się krew, kilkanaście chałup poszło. z dymem i wszystko wróciło do dawnego stanu. Zrozpaczony lud przypomniał sobie wówczas tajemniczego Zorro, który tak dzielnie mścił się za nich na tyranach.

- Zorro, gdzie jesteś? - wołali z rozpaczą. - Dlaczego nie ujmujesz się za nami?

Lecz Zorro nie ukazywał się.

Na próżno wypatrywano go na drodze transportów rządowego złota, na próżno zawieszano na drzewach dróg rozstajnych sążniste skargi do niego.

Żandarmi zdzierali papier z drzew i kpili:

- Ho, ho, minęły czasy waszego obrońcy. Obecnie rządzi nie Ramido, zniedołężniały starzec, lecz don Alvarez, dzielny pułkownik, który już raz trzymał Zorrę w swej garści! Wasz bohater siedział już raz za kratami i nie śpieszy mu się zadzierać z gubernatorem.

Ludzie jednak wiedzieli, że nie był to wówczas Zorro, lecz Jose Cardilla, desperado z Saragossy.

Zorro, pomimo gwałtów wołających o pomstę do nieba, nie zjawił się. Komisarze królewscy, eskortowani przez silne oddziały wojsk, ściągali podatki z niezwykłym pośpiechem i z żelazną bezwzględnością.

Zabrane za zaległe podatki rzeczy i bydło szły rozmaitymi drogami do Saragossy. Tam na specjalnym targowisku czyhały na transport rządowy bandy przekupniów, chciwych rekinów.

Zarekwirowane bydło i rzeczy don Alvarez wymieniał na złoto, które chował do skarbcza. Zapasy złota rosły i wielkorządca zacierał ręce. Dla niego, biednego dotychczas oficera, rozpoczynał się okres dobrobytu.

Pewnego upalnego poranka po piaszczystej drodze wśród dzikich pustkowi usianych skałami, pokrytych jarami i dolinami galopował zakurzony jeździec. Był znużony, koń zaś wypoczęty. Jasne, iż

człowiek ten odbył dłuższą podróż i ostatnio zmienił konia. Ubrany był po cywilnemu, lecz postawa jego oraz sposób trzymania się na koniu zdradzały wojskowego. Jadąc rozglądał się dookoła i mruczał:

- Jeszcze piętnaście mil do Saragossy. Per Dios, na Boga, wszystkie kości mnie boją. To ci diabelska jazda! - Wyciągnął pistolet i sprawdził, czy jest nabity. - Jego ekscelencja don Alvarez nakazał mi ostrożność w tych okolicach. Nie widzę żywej duszy, lecz jako oficer znający dyscyplinę, muszę być posłuszny! - mruczał do siebie.

Skąły stawały się coraz wyższe. Obecnie posuwał się dnem wąwozu. Słońce tutaj nie dochodziło. Panowały przyjemna świeżość i półmrok. Jeździec odetchnął, wierzchem dłoni ocierając zroszone czoło. Niestety, wąwóz niebawem się skończy i za chwilę znów rozpoczną się spalone żarem piaski i znów słońce zacznie niemiłosiernie prażyć. Lecz nie zdążył wydostać się z wąwozu.

- Stój, bo strzelam! - rozległ się okrzyk zza załamu skały. - Ha, bandyto, mam cię nareszcie!... Ręce do góry:

Napadnięty nie śpieszył się. Spiął konia, który stanął dęba i wyciągnął błyskawicznie pistolet. Strzelił w kierunku głosu, lecz kula odłupała tylko kawałek skały.

- Stój, stój, na miłość boską, nie strzelaj! - rozległ się rozpaczliwy, podobny do kwiku okrzyk. - Omyliłem się, senor, nie na ciebie czatowałem! Schowaj pistolet, to wyjdę z ukrycia!

- Wyjdź najpierw! - zawołał jeździec -niecierpliwie. - Niech ci się przyjrzę coś za jeden!

- Zdaję się na twą wspaniałomyślność i poczucie honoru - rozległ się ponownie głos z ukrycia. - Wobec tego wychodzę!

I z zagłębienia wylazł Zefirio.

- Maladetta, senor Zefirio Corti! - wybuchając głośnym śmiechem zawołał. - Kto by się spodziewał, iż głupi Zefirio napadnie na mnie z bronią w rękę?

- Senor! - wrzasnął oburzony Zefirio. - Jak powiedziałeś? Powtórz tylko, a końcem mej szpady wepchnę ci obelgę z powrotem do gardła. Jak ośmieliłeś się mnie nazwać?

- Powiedziałem: głupi Zefirio! - powtórzył spokojnie jeździec. - Cóż mi zrobisz?

- Niestety, nic! - westchnął Zefirio. - Nie mam przy sobie szpady. Proszę cię jednak, nie znieważaj mnie w ten sposób, przecież nie dałem ci żadnego powodu do ubliżania mi!

- Owszem, dałeś w Madrycie! - odparł jeździec. - To ja pełniłem wówczas wartę przed pokojami królowej. Przez twoją głupotę dałem się wciągnąć w pojedynek z młodym Mondevi de Malibranem i zostałem wydalony z gwardii pałacowej. Przekonałem się więc na własnej skórze, że słusznie uważają Cię wszyscy za szkodliwego osła.

Zefirio westchnął żałościwie.

- Senor! - rzekł. - Rozumiem twą boleść i dlatego puszczam wszystkie obelgi mimo uszu!

- Obecnie jestem na służbie u jego ekscelencji ministra skarbu, podążam w sprawie urzędowej do Saragossy, dlatego pytam cię, po co zatrzymałeś mnie w drodze, z pistoletem w rękę?

Oblicze Zefiria przybrało wyraz tajemniczy:

- Tss - szepnął oglądając się ostrożnie dookoła. - Mówmy nieco ciszej. Licho nie śpi!...

- Co za liko?..

- Ten bandyta, rabuś, zbój i opryszek!...

- Jak? Co? Co ty wygadujesz, senor?

- Prawdę mówię! Zaczaiłem się w tym wąwozie na Zorrę!

Jeździec zbladł i pochylił się nad Zefirio.

- Coś powiedział? - zapytał prawie szeptem. - Zorro? Czekales na Zorrę? Czyś go widział?

Zefirio odpowiedział również szeptem:

- Tak! Przed dwiema zaledwie godzinami! Gdy wyruszysz z tego wąwozu, w odległości pięciu minut jazdy, uważaj na prawo! Tam między skałami go widziałem! .

- To niemożliwe! - odparł szeptem jeździec, kurczowo ściskając w rękę pistolet. - Zorro znikł bez śladu! Od czasu ustąpienia księcia Ramida ze stanowiska wielkorządcy nie pokazuje się.

- Możliwe! Lecz fakt pozostanie faktem. Widziałem go w pobliżu. Zdawał się czekać na kogoś!

- Carramba! - syknął jeździec, chwytając się za kieszeń na piersiach. - Oby nie na mnie! Zbliży się do mnie tylko po moim trupie!

Chwycił Zefiria za ramię:.

- Senor Zefirio, czy nie ma innej drogi do Saragossy?

- O, senor, żadna droga nie uratuje cię przed Zorzą! - zawołał Zefirio, chwytając konia za uzdę. - Błagam cię, senor, dbaj o swoje życie! Ty nie pojedziesz, ty nie możesz jechać! Wracaj tam, skąd przybyłeś. Ani kroku dalej.

- Puść mego konia, senor Zefirio! - zawołał śmiało jeździec, choć mu włosy stanęły na głowie..- Wdzięczny ci jestem, że dbasz o moje życie. Lecz doprawdy nie mogę zawrócić! Zresztą oficer hiszpański nie może tchórzostwem splamić swego honoru.

- Senor, nie jedź, proszę cię! Ii

..- Honor oficera...

- Senor, co cię obchodzi honor oficera, przecież jesteś tylko gwardzistą pałacowym...

- Precz, puść uzdę!... - wrzasnął wściekle jeździec.

- Zorro cię osmaga jak psa!... - jęczał Zefirio. - Wypruje ci flaki... Rozbierze do naga i popędzi do miasta!

Tego już było za wiele dla dumnego jeźdźca. Pchnął Zefiria z taką siłą, że ten zatoczył się i upadł.

- Masz, skończony głupcze! - zawołał uderzając konia ostrogami. - To cię nauczy trzymać język na uwięzi!

Pogalopował dalej i wkrótce znalazł się poza wąwozem. Zefirio pozostał na ziemi.

Ledwie jeździec znikł mu z oczu, młodzieniec podniósł się i otrzepał odzienie. Następnie udał się do groty, skąd wydobyło się nagle końskie rżenie.

Jeździec w masce wyśpiewywał głośno smętne strofy, strzelając jednocześnie z długiego bata z bawolej skóry. Czarny jak smoła rumak sunął pomiędzy głazami, wyciągnięty jak struna.

Księżyc skrył się za chmurami

Łka tak smutno ma gitara

I z melodią echo gra mi

Słucha pieśń mą Alcantara.

W Alcantarze na balkonie

Stoi cudna senorita

Ogniem liczko donny płonie

Kto to gra tak pięknie? - pyta.

Stał w strzemionach, śpiewał na całe gardło, strzelał z biczem, a jednocześnie rozglądał się czujnie dookoła. Podobny był w tej chwili do jastrzębia wypatrującego zdobyczy. Smętna ta pieśń nie licowała ze śpiewakiem. Szeroki, drapieżny uśmiech, odsłaniał białe, równe zęby. Z postaci jeźdźca biła młodość i radość życia. Koń sunął jak strzała, wiatr rozwiewał końce jedwabnego zawoju, a jeździec śpiewał ciągle, wybijając rytm strzelaniem z biczem.

Pieśń tę dosłyszał drugi jeździec galopujący inną drogą i przedzielony od pierwszego jeźdźca pasmem głazów i skał.

Gdy pierwsze strofy obłyły się o jego uszy, jeździec ten zbladł, zatrzymał konia i obejrzał się trwożnie dookoła. Nikogo jednak nie spostrzegł, pomimo że słyszał wyraźnie słowa pieśni. Popędził skręcając w prawo. Zaczął smagać konia jak szalony. Rzekłbyś, przestraszył się pieśni. A przecież uzbrojony był od stóp do głowy. Pieśń zamiast słabnąć, stawała się coraz głośniejsza. Jeździec kluczył, zdierał konia, skręcał w prawo i lewo, wszystko na próżno. Pieśń rozbrzmiewała coraz bliżej, trzaskanie z biczem rozlegało się coraz głośniej.

Na chwilę niewidzialny śpiewak umilkł.

Uciekający jeździec tłukł swego rumaka, który wydobywał z siebie wszystkie siły. Pot lał się z czoła wystraszonego człowieka.

Wtem pieśń znów rozbrzmiała, lecz teraz z innej strony. Słowa piosenki dobiegły go z przodu:

Rywal donnie odpowiada:

To wilk wyje nocną porą!

*Biada ci, kanalio, biada,
To nie wilk, to śpiewa Zorro!*

Ledwie jeździec dosłyszał ostatnie słowa, dostał jak gdyby paroksyzmu szału. Zawrócił konia i uciekał z powrotem, klując i bodąc z całej siły ostrogami boki zwierzęcia. Lecz po chwili znów usłyszał przed sobą przekłętą pieśń. Zawrócił znów i uciekał w prawo. Po kilku chwilach śpiewanie rozległo się przed nim.

- Carramba! - zaklął jeździec, przesuując dłonią po oczach i po spotniałym czole. - Czy ja śnię? Ta przekłeta piosenka... Słyszę ją wszędzie! A może to jest echo? Nie, nie, słyszałem wyraźnie, to Zorro!

Nerwy osaczonego jeźdźca nie wytrzymały. Wydobył pistolet i strzelił w stronę skał, skąd dochodził śpiew przed chwilą.

- Świetna zabawa, senior! - rozległ się młodzieńczy głos poza jego plecami. - Doskonały cel ta wielka skała! Ani rusz nie możesz chybić!

Jeździec znieruchomiał i odruchowo uniosł ręce do góry.

- O, senior - ciągnął dalej Zorro. Ublizas mi! Czyżbyś uważał mnie za opryszka czyhającego na twą sakiewkę? Opuść ręce, kochany caballero! Odwróć się do mnie twarzą i pogadamy jak dwaj caballeros z dobrej rodziny!

Jeździec stanął twarzą w twarz z Zorram.

- Nie jesteś melomanem, jak widzę! - rzekł zamaskowany jeździec, kłaniając się z dystynkcją. - Śpiewam chcąc rozweselić ową samotność, a ty strzelasz w skały. A może uważasz, senior, że huk wystrzałów zastępuje akompaniament bębna?

- Skończ, senior! - wyjąkał jeździec. - Czego chcesz ode mnie? Nie mam przy sobie pieniędzy!

- O, senior! - skrzywił się Zorro, zawieszając bicz u siodła i oglądając paznokcie swych białych, wypiełgnowanych rąk. - Kto ci powiedział, że Zorro czyha na sakiewki? Nie, caballero! Nie potrzebuję twej sakiewki!

- A więc dlaczego zatrzymujesz mnie w tym pustkowiu, senior? - wybuchnął jeździec.

- Ja cię zatrzymuję? - zdziwił się Zorro. - O, dobre nieba, senior, jak Widzę, słońce uderzyło ci do mózgu! Czy przysięgłbyś, że cię zatrzymałem?

Jeździec opuścił głowę. Rzeczywiście, Zorro wcale go nie zatrzymywał. Zorro tylko śpiewał, nic więcej. To on sam wstrzymał swego konia i strzelił do skał. Odetchnął uradowany, uklonił się i uderzył konia ostrogą. Koń ruszył, lecz w tej samej chwili rozległ się za nim donośny głos Zorram:

- Hola, caballero, jedną chwilkę! Właściwie nic nie mam do ciebie, lecz chciałbym wiedzieć, dlaczego przstraszyła cię ma pieśń o zdradzieckiej senoricie i szczęśliwym rywalu? - Spojrzał mu podejrzliwie w oczy. - A może ty jesteś wysłannikiem mego rywala i wiesz list miłosny do niewiernej?!

- Senior - jęknął przerażony jeździec. - Przysięgam...

- Nie wierzę ci! Muszę sprawdzić, czy nie wiesz listu do Carmencity!

- Klnę się, że nie znam takiej!

- Dawaj list, senior!

- Senior, błagam cię, pozwól mi jechać dalej! Mam pismo ministra... don... - Tutaj ugryzł się w język, lecz było już za późno.

- Aha! - zawołał Zorro. - Zgadłem jednak, nędzny wysłannik mego rywala! Dawaj list!

Zorro nie był uzbrojony. W rękach nic nie trzymał.

Rozpacзлиwa myśl strzeliła do głowy posiadaczowi listu. Jeszcze trzymał w ręku pistolet, natomiast Zorro ręce miał puste. Postanowił spróbować szczęścia, nie wiedząc, iż Zorro jak drapieżnik instynktownie wyczuwa niebezpieczeństwo.

Jeździec szybko uniosł pistolet, lecz jeszcze szybciej uniosł się bicz. Koniec rzemienia owinął się dookoła szyi tamtego i w ciągu ułamka sekundy człowiek został ściągnięty z siodła. Pistolet wystrzelił, kula przeleciała pomiędzy nogami Zorram, który stał odwrócony bokiem.

Zamaskowany mężczyzna z uśmiechem przyglądał się przeciwnikowi rozciągniętemu na piasku.

- List! - rzekł krótko.

Tamten uznał się za pokonanego i wydobył list z zanadza. Zorro ostrożnie odkleił kopertę i przeczytał:

Kochany przyjacielu! Nadeszły wieści, iż nader energicznie zabrałeś się do ściągania podatków, tak energicznie, że musiałem dołożyć wszelkich starań, by królowa nie dowiedziała się o tej energii.

Sądzę, iż zdołałeś zbierać sumę dostatecznie wielką, by ją przysłać do Madrytu. Ufam, kochany przyjacielu, że nie zapomnisz swego protektora i przyjaciela. Pieniądze wyślij jeszcze w tym miesiącu. Dla rządu możesz przysłać później, grunt, byś nie zapomniał o twym wiernym

A.

- O, do licha! - zawołał Zorro. - To nie jest wcale list miłosny, jak sądziłem. Tysiącrotnie cię przepraszam, senor, że otworzyłem list, który wcale mnie nie obchodzi. Patrz, zaklejam kopertę i zwracam ci ją. Ach, Carmencita, co ja przechodzę przez ciebie, okrutna!... Zawieź list adresatowi, senor, i błagam cię, nie mów, że go przeczytałem. Powiedzą ludzie, że Zorro jest źle wychowany, że brak mu delikatności i dyskrecji, skoro czyta cudze listy!

Olle, olle, Zorro wrócił!

Radosna wieść gruchnęła po Aragonii: Zorro wrócił! Zorro znów się ukazał, napadł wśród nocy na rządowy transport pieniędzy, narobił piekielnego hałasu, zwabił żołnierzy za sobą, a gdy ci potracili głowy i rozpoczęli bezładną strzelaninę, zakradł się jak wąż do wozu, ogłuszył dwóch strażników i zabrał kuferek ze skarbem.

Po dwóch dniach biedni wieśniacy otrzymali z powrotem swe pieniądze.

Lud Aragonii odetchnął. Dziewczęta znów zaczęły marzyć i wzdychać do zamaskowanego jeźdźcy, mężczyźni zbierali się grupami i półgłosem rozprawiali z ożywieniem.

- Olle, olle, Zorro znów się ukazał! Zorro powrócił!

Z tym okrzykiem służący wpadł pewnego pięknego poranka do domu Anzelma Cortiego.

- Tss, cicho! - odezwał się stary Corti. - Pobudzisz wszystkich swym wrzaskiem. Cóż cię obchodzi Zorro? Przecież nie płacisz podatków, nic więc od niego nie otrzymasz!

Lecz domownicy już się obudzili.

Pierwsza wybiegła Mercedes. Nie zdążyła nawet przyczesać włosów.

- Kto wołał, że Zorro się ukazał? - zapytała drżącym ze wzruszenia głosem.

- O, Mercedes - zdziwił się Anselmo Corti. - Nie przypuszczałem, że tak dalece intryguje cię ten bandyta! Spójrz w lustro; jak ty wyglądasz, moje dziecko! Dobrze, że mój syn nie widzi swej narzeczonej w takim stanie!

Mercedes sploniona cofnęła się do swego pokoju.

Pragnąc pozostać w Aragonii, zgodziła się zostać żoną Zefirio, odwlekała jednak dzień ślubu w nieskończoność. Serce jej było zajęte, myśl ciągle krążyła dookoła Zorry. Zefirio zaś budził w niej politowanie i niechęć zarazem. Sama myśl, iż miałyby wyjść za mąż za głupka, przejmowała ją zgrozą.

Zefirio, owszem, przystojny młodzieniec, nawet zbyt przystojny jak na mężczyznę przystało. Lecz cóż to znaczy wobec jego bezdennej głupoty, samochwalstwa i tchórzostwa?

Był pośmiewiskiem całej Hiszpanii. Stając się jego żoną, stałaby się podobnie śmieszna! Nie, przenigdy, lepiej umrzeć! - powtarzała ciągle Mercedes, przyglądając się nieraz, gdy wykonywał swe idiotyczne sztuczki magiczne.

Czasami jednak, wbrew woli, przenikał ją dziwny prąd niewytłumaczalnej sympatii do głupca. Lecz prędko odpędzała od siebie to uczucie.

A Zefirio nie zdawał sobie sprawy, jakie uczucie żywi wobec niego piękna kuzynka. Dreptał koło niej nadęty jak paw, ogłuszał ją śmiechem podobnym do końskiego rżenia i próbował olśnić swymi magicznymi sztuczkami.

Tego dnia Mercedes chodziła jak we śnie. W uszach jej dźwięczał ciągle okrzyk: Zorro wrócił po długiej nieobecności!

W ciągu całego dnia widziano oddziały wojska i zandarmerii przebiegające okolice we wszystkich kierunkach.

Więszym oddziałem dowodził sam wielkorządca don Alvarez.

Zefirio stał przed hacjendą i ospałym wzrokiem przyglądał się przeciągającym jeźdźcom.

- Don Alvarez osobiście dowodzi żołnierzami - rzekła Mercedes, która stanęła obok niego. - Coś musiało się stać!

- Zależy mu bardzo na schwytniu Zorry - odparł Zefirio. - Nic jednak nie wskóra, dopóki ja sam nie zabiorę się do dzieła. Tylko Zefirio może schwytać bandytę, nikt więcej!

- O, kuzynie! - zawołała Mercedes. - Dałbyś spokój przechwałkom, doprawdy uszy bolą od słuchania tych bzdur. - Podniosła głos i mówiła dalej zdenerwowanym tonem: - I proszę cię, Zefirio, zaprzestań raz na zawsze tych fanfaronad. Jeśli chcesz znać prawdę, to ja wolę Zorrę niż ciebie. Gdyby nie był ścigany przez prawo, gdyby mógł stać się wolnym człowiekiem, pierwsza rzuciłabym mu się na szyję i błagała, by zechciał pojąć mnie za żonę!

- Mercedes! - zawołał Zefirio, otwierając szeroko oczy. - Co ja słyszę? Czyżbyś kochała tego zbójcę? Ależ zastanów się, kuzynko, przecież nie znasz nawet rysów jego twarzy!

- Nie obchodzą mnie jego rysy! - wołała Mercedes. - Czyż może być coś piękniejszego, od jego czynów? Czy najpiękniejszy w świecie mężczyzna może się równać z bohaterskim i szlachetnym Zorrą, rycerzem bez oblicza? Czy pamiętasz, jak wyciął w pień całą bandę desparadosów, sam jeden, uzbrojony tylko w nóż i szpadę? Czyż zdajesz sobie sprawę, ile złota odebrał królewskim komisarzom i rozdał wśród ludu? Słuchaj Zefirio, słuchaj dobrze, co ci powiem: kocham Zorrę, kocham tylko jego!...

- A mnie? - zapytał Zefirio żałośnie. - Czy mnie nie kochasz?

- Nie, Zefirio!

Po tych słowach Mercedes odwróciła się i wbiegła do domu.

- Nerozsądna dziewczyna! - mruknął Zefirio z uśmiechem. - I wytłumacz tej gąsce!...

Wtem urwał. W obłokach kurzu zbliżał się do hacjendy liczny oddział jeźdźców.

- Mój Boże, co za zaszczyt! - zawołał Zefirio, kłaniając się nisko. - Senior gubernator we własnej osobie. Zaraz zawołam ojca!

Don Alvarez, pochmurny, zsiadł z konia i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Za nim weszli, dzwoniąc ostrogami, oficerowie świty.

Na spotkanie wyszedł Anzelmo Corti, uprzedzony przez syna, wyszła również Mercedes oraz jej ojciec, stary generał. Zamienili niezwykle uprzejme powitania z wielkorządcą i don Alvarez przystąpił do rzeczy.

- Senior Corti! - rzekł. - Nie dziw się, iż znów zatrzymam się wraz z moimi żołnierzami w twej hacjendzie. Rozumiem dobrze, iż sprawi ci to wiele kłopotu, niestety, nie mam innej rady. Twe posiadłości leżą w strategicznym punkcie.. Przebywając tutaj, trzymam w ręku całą okolicę. Dlatego też poproszę cię o gościnę na dwa dni.

- Senior Alvarez! - zawołał Anzelmo z udaną satysfakcją. - Przecież to największy zaszczyt dla mnie gościć samego wielkorządcę. Ależ proszę, uważaj ten dom za swój własny!

- Dziękuję ci, senior Corti! Stąd łatwo mi będzie lustrować okolicę!

I wyszedł dźwigając pod pachą pakuneczek.

Szczególną pieczę wielkorządcę otaczała mała, lecz ciężką szkatułkę. Był to osobisty majątek don Alvareza. Nie dowierzając nikomu, w obawie przed Zorro, wioził szkatułkę wszędzie z sobą.

Po wspólnej kolacji oficerowie i domownicy udali się na spoczynek.

Dookoła hacjendy pełnili wartę liczni żołnierze.

W pewnym momencie księżyc ukrył się za chmurami. I w tej samej chwili w pokoju wielkorządcy rozległ się dziki ryk. Powstał nieopisany hałas, rozległy się wystrzały. Biedni wartownicy nie wiedzieli wśród ciemności, co się właściwie stało.

- Zorro... Zorro! - rozległ się dziki wrzask. - Ratunku!...

A gdy księżyc ukazał się spoza chmur, rozbudzeni domownicy i żołnierze ujrzeni na gałęzi pobliskiego drzewa jakąś postać w białym. Był to wielkorządca zawieszony na gałęzi.

- O senior Alvarez! - zawołał rozespany Zefirio. - Czyżbyś sobie obrał gałąź za punkt obserwacyjny i stąd lustrował okolicę?

- Moja szkatułka! - ryczał wielkorządca. - Trutnie, łajdaki, tak pilnujecie domu?.. Ten bandyta zrabował mi szkatułkę!...

- Czego stoicie? - zawołał z kolei Zefirio. - Czy nie widzicie, iż szlachetny don Alvarez, wielkorządca Aragonii, trzepie się w bieliźnie na gałęzi? Boże, co za niedorajdy ci ludzie!

Lecz don Alvarez nie czekał, aż żołnierze przyjdą mu z pomocą. Odczepił tę część bielizny, która zawadziła o konar i zeskoczył na ziemię. Jak burza wyminął skrzydło domu, wbiegł do swego pokoju i rzucił się do stołu. Pistolet leżał na swym miejscu, lecz szkatułka, jak don Alvarez przypuszczał, rzeczywiście zniknęła.

- Zapaloną lampę, prędko! - ryknął don Alvarez.

Nie wystarczyło mu światło księżyca, musiał się upewnić o swej stracie.

Lampę przyniósł mu Zefirio.

Oficerowie zatrzymali się na progu pokoju.

Przy świetle lampy don Alvarez ujrzał na stole list.

Na nim widniał wielki znak „Z”. Don Alvarez otworzył kopertę i gorączkowo przebiegał oczami ćwiartkę papieru:

Senor don Alvarez y Gonzano, szlachetny gubernator Aragonii! Jeśli oszczędzałem księcia Ramida y Carvalha ze względu na jego wiek, nie zamierzam postępować równie łagodnie z jego następcą.

Don Alvarez! Jako pułkownik otrzymałeś ode mnie niejedną już lekcję. Oświadczam ci, obecnie jako gubernator otrzymasz taką nauczkę, że odechce ci się raz na zawsze opłacać ministra protektora z kieszeni pracującego ludu. Sądziłeś, iż zrobisz majątek na swym nowym stanowisku. Głupcze, zapomniałeś, że istnieje jeszcze i czuwa

Twój sługa i przyjaciel

Zorro.

Cztery pręgi

Don Gracia Prento to wysoki i gibki młodzieniec o wytwornych manierach, pogardliwie wykrzywionych ustach i zielonych oczach, w których tliło się zimne okrucieństwo.

Nie znajdował równego sobie w szpadzie, mógł więc bezkarnie dawać upust swym krwiożerczym instynktom. Lada błahostka wystarczała mu jako pretekst do pojedynku. Nie było dnia, by nie przysłał komukolwiek swych sekundantów, a wyzwany nieszcześnie wiedział z góry, że nie obejdzie się bez utraty ucha lub kawałka nosa. Toteż w Madrycie unikano go jak zarazy.

Tak się rzeczy miały, gdy do Madrytu przybył wraz z posłem Niemiec, Ottonem von Wizenfelsem, jego syn Waldemar, student uniwersytetu w Heidelbergu. Młodzieniec ten wślawił się w swej ojczyźnie jako szermierz nie lada. Jego liczni przeciwnicy nosili dotkliwie ślady rapiera. Pogruchotane nosy, przecięte policzki, obcięte uszy lub rozplątane - czoła - wszystko to było dziełem Waldemara.

Jasne, że tacy dwaj rębacze, jak don Garcia oraz Waldemar von Wizenfels musieli się wreszcie spotkać o szóstej rano, w zacisznym gaju oliwnym.

Była to iście homerycka walka. Pojedynek przeciągał się, rapiery furczały w powietrzu i migotały, a jednak żaden z nich nie zdołał choćby zadrasnąć swego przeciwnika.

Szpady opuściły się jednocześnie ku dołowi. Niemiec i Hiszpan podali sobie ręce.

- Jesteśmy równi sobie! - rzekł don Garcia.

- Niestety! - mruknął Waldemar.

- Proponuję przyjaźń!...

- Nie przyjaźnię się z nikim! - burknął Waldemar.

A jednak odtąd rozpoczęła się przyjaźń tych dwóch okrutników. Madryt zdrzął.

A ci dwaj rębacze, którzy uważali się dotychczas za niepokonanych, natrafili z kolei na dwóch awanturników i zawadiaków świeżo przybyłych z Barcelony. Byli to sławetny markiz Gontano de Cabrera oraz don Jose Murcia - wytrawni strzelcy i szermierze. Wszyscy czterej zaprzyjaźnili się z sobą i od tego czasu nazywano ich czterema muszkietierami.

Czas upływał im na burdach i bijatykach. Szlachta Madrytu, nauczona gorzkim doświadczeniem, zaczęła ich unikać.

Czterej towarzysze, nie mając okazji do pojedynków, daremnie wysilali umysły w poszukiwaniu

jakiegokolwiek rozrywki.

Pewnego parnego wieczoru siedzieli przy stole w gwarnej bodedze, gdzie zbierały się wszystkie warstwy społeczne Madrytu. W pewnej chwili don Garcia zaczął opowiadać o wyczynach tajemniczego Zorry, mistrza szpady, bicia i pistoletu.

- Kto to jest ten Zorro? - zapytał ciekawie Waldemar.

- Nikt go nie zna - odparł don Garcia. - Ale wszyscy drżą na sam dźwięk jego nazwiska. Ten zamaskowany jeździec spada sam jeden na oddział żołnierzy lub żandarmów i zabiera złoto miłośniczynie nam panującej królowej Izabelli.

Waldemar ożywił się. Opowieść o zamaskowanym obrońcy biednego ludu Aragonii niezwykle mu się spodobała.

- Nie wiem, co bym dał - rzekł w rozmarzeniu - by mieć w mojej kolekcji uszy tego zamaskowanego jeźdźca!...

- Uważaj, by Zorro nie wypisał na twoim policzku trzech pręg w kształcie litery „Z” - roześmiał się Jose Murcia. - I wierz mi, że robi to bardzo zręcznie.

Niemiec popatrzył nań w milczeniu.

- Trzy pręgi? - powtórzył po chwili, cedząc słowa. - Jeśli Zorro wypisuje na twarzach swych ofiar trzy pręgi, to ja, Waldemar von Wizenfels, podejmuję się wypisać na jego twarzy aż cztery pręgi.

- Cha, cha, cha! - rozległ się głośny śmiech jego towarzyszy. - Rzeczywiście, kapitalny pomysł!

- Szkoda, że nam to wcześniej nie wpadło do głowy! - ryknął don Garcia, waląc pięścią w stół. - Brawo Waldemar!...

Markiz Gontano nie mówił nic. Coś medytował. Po chwili odezwał się:

- Proponuję maleńką zmianę! Jest nas czterech, wobec tego wystarczy, by każdy z nas wypisał po jednej tylko prędze na obliczu Zorry! ...

- A razem będą cztery! - zawołał Jose Murcia. - Cudownie, doskonale! Cała Hiszpania zaniesie się od śmiechu, kiedy dowie się, jak oporządziliśmy jeźdźca w masce!...

Don Murcia westchnął:

- Szkoda tylko, że on nie słyszy naszego wyzwania! - rzekł. Ledwie wymówił te słowa, gdy tuż nad nim rozległ się spokojny głos:

- Już my postaramy się, by Zorro usłyszał to wyzwanie!... Czterej mistrzowie szpady spojrzeli na obcego, który do nich przemówił.

- Nazywam się Malibrán - ciągnął dalej grubas. - Hektor Mondevi de Malibrán, a mój towarzysz, który wygląda na głodomora, pomimo że je za trzech, nazywa się Porfirio!

To mówiąc wskazał na chudego jak tyczka młodzieńca, który siedział przy sąsiednim stoliku i sennie kiwał głową osadzoną na długiej, cienkiej szyi!

- Hej, Porfirio! - zawołał. - Powiedz, jak brzmi twe rodowe nazwisko?

Chudy młodzieniec spojrział nań.

- Na co ci to? - zapytał ziewając.

- Chcę cię przedstawić tym seniorom!...

- A po co? - uniósł brwi Porfirio.

- To cię nie powinno obchodzić!... A więc mów, do licha!...

- O czym mam mówić?.

- Carramba! - ryknął tłuszcioch. - Co za tępą głowa! - Muszę cię przecież przedstawić tym czcigodnym seniorom, gdyż będziemy im służyć jako przewodnicy po Aragonii!...

- A po co?

- Po to, by ci czcigodni senores odnaleźli Zorrę i wypisali cztery pręgi na, jego twarzy!...

- Cztery pręgi? - zapytał Porfirio, otwierając szerzej sennie oczy. - Cztery pręgi?

Powstał leniwie ze swego miejsca i zbliżył się do ich stołu.

- Pozwólcie, senores, że złożę hołd ich dzielności oraz uścisknę ich prawice!

Jego wyciągnięta dłoń zawisała w powietrzu. Ani jeden z całej czwórki nie podał mu ręki. Don Garcia widząc jego zdumienie, wybuchnął głośnym śmiechem, a Jose Murcia zapytał:

- Senior Porfirio, zanim uściskniemy twą dłoń, pozwól, że zapytam: wielu wrogów uśmierciłeś w pojedynkach, jakimi wyczynami możesz się poszczycić?

- Żadnymi! - przyznał się chudy młodzieniec, opuszczając oczy z zażenowaniem. - Przyznaję się ze skruchą, że dotychczas nie zabiłem nawet muchy... Co najwyżej ogłuszyłem ją, gdy stała się zbyt natrętna.

- Nie możemy więc traktować ciebie jako równego sobie - oświadczył don Garcia. - Czy wiesz, kto ja jestem?

- Przypuszczam!...

-Kto więc?

- Kartusz!* (Krwawy bandyta francuski)

- Mylisz się, przyjacielu! Nazywam się don Garcia Prento!...

- Król szpady? - zawołał Porfirio.

- We własnej osobie! - potwierdził zabijaka i dodał wskazując kolejno na swych towarzyszy: - A to jest Jose Murcia...

- Niepokonany mistrz rapiera - jęknął Porfirio.

- Markiz Gontano de Cabrera...

- Zwycięzca czterdziestu przeciwników!...

- Oraz Waldemar von Wizenfels!...

- Nie znam tego - westchnął Porfirio - ale przypuszczam, że jegomość ten nie ustępuje wam, senores, w sztuce fabrykowania nieboszczyków...

- Ręczę za niego! - oświadczył don Garcia. - A teraz rozumiesz, młodzieńcze, dlaczego możemy się podjąć wypisania czterech pręg na obliczu Zorry?

- Rozumiem - wtrącił się do rozmowy Malibran. - Chcecie wszyscy czterej napaść na Zorrę jednocześnie i posiekać go wspólnymi siłami...

Słowa te podziały na czterech przyjaciół jak iskra w beczce prochu... Zerwali się ze swych miejsc i chwycili za szpady.

- Nie igraj ze śmiercią, senor Malibran - ryknął don Garcia. - Jeszcze jedno nieogłędne słowo, a będziesz gryzł ziemię. Każdy z nas podejmie się pokonać dziesięciu takich jak Zorro w walce na szpady!

Porfirio i Malibran pochyliłi się jednocześnie w niemym ukłonie: - A więc wyprawa do Aragonii została postanowiona? - zapytał tłusciuch.

- Tak jest, senor! - odpowiedział za wszystkich Garcia. - Jedziemy do Aragonii, by odznaczyć senora Zorrę czterema pręgami. Każdy z nas pozostawi piękną szramę na jego obliczu!

- Ale ja muszę mieć jego uszy! - odezwał się po raz pierwszy Waldemar von Wizenfels. - Nie zaznam nigdy spokoju bez uszu Zorry!

Wyzwanie przyjęte

Wiść o przybyciu czterech mistrzów szpady rozniosła się lotem błyskawicy po Aragonii. Od dwóch dni nie mówiono o niczym innym jak o wyzwaniu rzuconym jeźdźcy w masce.

Przyjmie czy nie przyjmie? Oto pytanie, które zadawali sobie mieszkańcy Leridy, Huesco, Tudeli, Saragossy i wielu innych miast i miasteczek.

Czterej młodzieńcy znajdowali się w Saragossie, podczas gdy Porfirio i Malibran wyruszyli w głąb prowincji, w poszukiwaniu Zorry.

Gubernator don Alvarez zawezwął całą czwórkę do swego pałacu i przyjął ich we wspaniałym salonie.

- Słyszałem, iż pragniecie zmierzyć się z Zorrą - to były jego pierwsze słowa. - Szczytny i piękny zamiar, doprawdy! Pomimo że wasze nazwiska obieżyły prawie całą Europę, wątpię, czy uda się wam dotrzeć do niego!...

- Czyżby miał stchórzyć? - zapytał don Garcia.

- Ten piekielnik nie wie, co to znaczy obawa! - odparł don Alvarez. - Nie, Zorro nie stchórzy, lecz w grę wchodzi tutaj lud Aragonii, który uważa go za swego obrońcę. Ta hołota burzy się i jak mi donoszą moi ludzie, liczni ochotnicy zamierzają spuścić wam tęgie lanie z chwilą gdy opuścicie Saragossę!

Awanturnicy milczeli, a don Alvarez ciągnął dalej, nie przestając jednocześnie obserwować ich.

- Radzę wam zawrócić! Nie dacie rady dziesiątkom i setkom kłonic, kijów i orczyków. Poza tym

należycie, senores, do najprzedniejszych rodzin szlacheckich, wobec tego nie wypada wdawać się w rozprawę orężną ze zwykłym rabusiem!...

- Muszę mieć jego uszy! - mruknął Waldemar von Wizenfels. -Przyrzekliśmy napiętnować go czterema pręgami! - dodał don Garcia...

Wielkorządca rozłożył ręce z udaną rezygnacją, w duszy bowiem był rad nadarżającej się okazji upolowania Zorry przez czterech najlepszych myśliwych. Ani przez chwilę nie wątpił, że Zorro przyjmie wyzwanie.

- Jadę z wami - rzekł po chwili namysłu. - Nie mogę przecież pozwolić, by lud połamał wam kości. Sądzę, że zanim przybędziecie na wyznaczone miejsce spotkania, przyda się wam wojskowa eskorta!

Wszyscy czterej zgodzili się. Postanowiono tylko poczekać, aż powrócą Porfirio i Malibran z odpowiedzią Zorry.

Nie czekali zbyt długo. Wkrótce dwaj przyjaciele powrócili z pomyślną wieścią.

- W jaki sposób udało się wam widzieć z Zorrą i rozmawiać z nim? - zapytał don Alvarez, który znajdował się w towarzystwie czterech szermierzy.

- To bardzo proste - odpowiedział Malibran. - Zawiesiliśmy na kilku przydrożnych drzewach wezwanie do Zorry, a nazajutrz znaleźliśmy na każdym wezwaniu trzy cięcia szpadą, w kształcie litery „Z”.

Malibran, Porfirio oraz czterej awanturnicy jechali przodem. Za nimi, w pewnym oddaleniu, podążał don Alvarez ze swym oddziałem.

Wymięli łańcuch niewysokich skał i dotarli do lasu. Słońce przyświecało tego dnia łagodnie, a liczne motyle polatywały w powietrzu. Wtem w głębi lasu rozległ się niesamowity krzyk:

- Być albo nie być! Być albo nie być!...

Cały oddział zatrzymał się.

- Co się tam dzieje? - zapytał don Alvarez i zwrócił się do swych dwóch żołnierzy:

- Zobaczcie no, kto tam ryczy!

Ale żołnierze nie mieli potrzeby zagłębiać się w las, gdyż nagle spośród drzew wyłonił się Zefirio z siatką na motyle w jednej ręce i otwartą książką w drugiej.

- Zefirio! - wykrzyknęli jednocześnie Porfirio i Malibran, rzucając się ku niemu. - Dobrze nieba, co cię tu sprowadza?

- Motyle, drodzy moi przyjaciele. - Łapię motylki i uczę się na pamięć Szekspira... Właśnie doszedłem do tego miejsca, gdzie Hamlet woła: „Być albo nie być”

Uniósł oczy w zachwycie.

- To jest wspaniałe, rozumiecie moi drodzy? Hamlet woła: „Być albo nie być”, gdyż trzeciego wyjścia nie widzi. Jakże genialnie Szekspir to opisał „Być” to jedno wyjście, „nie być” to drugie; gdzie jest trzecie? Ani ja, ani Hamlet, ani ty Porfirio, ani nawet don Alvarez, którego widzę tam na koniu, tego nie wiedzą. I wątpię, czy nawet sam Szekspir wiedział.

Mętną tę filozofię przerwał don Alvarez, zbliżając się doń:

- Bardzo dobrze, senor Zefirio! - zawołał. - Tak pięknie mówisz, że mógłbym cię słuchać całymi godzinami, ale do licha, nie zatrzymuj swych przyjaciół, Porfiria i Malibrana... Czy nie widzisz, że nam śpieszno?.

- Mamy spotkanie z Zorrą - wyjaśnił Porfirio. - Ci oto czterej senores wyzwali go na pojedynek...

Zefirio skrzywił pogardliwie usta i rzekł wyniośle:

- Próżna fatyga... Nikt nie da mu rady prócz mnie, Zefiria Cortiego.

Czterej szermierze sięgnęli do szpad, bladzi z wściekłości. Nie znali Zefiria i brali go poważnie.

- Aj, aj! - krzyknął młody Corti, cofając się. - Co to za napaść.

Don Garcia zsiadł z konia, zbliżył się do Zefiria i rzekł mrużąc złośliwie oczy:

- A więc uważasz się za lepszego od każdego z nas, senor?

- Nie uważam się wcale! - odparł Zefirio, cofając się z wystraszoną wyrazem twarzy.

- Ach, więc nie uważasz się? - roześmiał się don Garcia.

- Nie! Nie uważam się, lecz wiem, że jestem lepszy od was!

Trzej pozostali szermierze odpowiedzieli na to zuchwałstwem głuchym pomrukiem gniewu. Don Alvarez trzymał się za boki. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu, a żołnierze zadawali sobie wiele trudu, by nie śmiać się w obecności gubernatora.

- Będziemy walczyć o to, kto lepsi! - warknął don Garcia. - Daję ci wybór broni, co wolisz: szpady czy pistolety na odległość dwudziestu kroków?

Zefirio spojrzał nań przestraszony.

- Mam się pojedynkować? - wyjąkał. - Ależ ja cię wcale nie znam, senior! Jakże mam pojedynkować się z zupełnie mi obcym człowiekiem. Przecież to nie wypada!

- Kpiny na bok! - wrzasnął don Garcia. - Wybieraj rodzaj broni! ...

- Ależ ja nie mam sekundantów - próbował wykręcić się biedny młodzieniec.

Don Alvarez wtrącił się do rozmowy:

- Są twoi przyjaciele, Porfirio i Malibrán!... - zwrócił się do nich. - Czy zgadzacie się być sekundantami senora Cortiego?

- Zgadzamy się! - odpowiedzieli obaj zgodnie.

- Zdrajcy! - jęknął Zefirio. - Tak mi się odwdzięczacie za moje dobre serce?

- Dostyć tej gadaniny - niecierpliwił się don Garcia. - Nie mamy zbyt wiele czasu do stracenia. A więc decyduj się, senior, co wybierasz, szpady czy pistolety na dwadzieścia kroków!...

- Czy to nieodwoalnie?

- Nieodwoalnie!...

- Dobrze - westchnął Zefirio. - Widzę, że nie mam innego wyjścia, wybieram zatem szpady na odległość dwudziestu kroków!...

Wszyscy obecni wybuchnęli nie powstrzymanym śmiechem a don Alvarez omal nie spadł z konia.

Don Garcia był blady jak płótno.

- Kpisz sobie chyba ze mnie, senior - zasyczał. - Jakże to możliwe? Przecież z tej odległości niepodobna walczyć na szpady.

- Niepodobna! - zgodził się Zefirio. - Zaznaczam przy tym, że nie wolno ciskać szpadą w przeciwnika...

Don Garcia zacisnął pięści:

- Senior! - wybuchnął. - Ty nie masz honoru!

- Wolę być żywy bez honoru niż honorowym nieboszczykiem! - oświadczył głupi Zefirio i zniknął w lesie wraz ze swym Szekspirem oraz siatką na motyle.

A po chwili znów rozległ się jego ryk:

- Być albo nie być... Być albo nie być!...

Cztery pojedynki

Na przełaj przez oazę bujnej zieleni sunął zamaskowany jeździec ze zwiniętym biczem u siodła.

Łagodny wietrzyk rozwiewał końce czarnej chusty na jego głowie. Dzień miał się ku końcowi. Jeździec stanął w strzemiączkach i bacznym wzrokiem, poprzez otwory w masce, lustrował okolicę. I śpiewał wesołą piosenkę.

Czterech zuchów chodziło po świecie

Niszczili młode drzewka, deptali wonne kwiecie Jeden miał tegi trzos

Drugi miał krzywy nos

Trzeci dumny byk jak bies

Czwarty to wściekły, rudy pies.

Nagle osadził konia w miejscu i wpatrzył się w pewien punkt na widnokręgu. W oddali sunęło sześciu jeźdźców. Jechali bez pośpiechu, CO pewien czas oglądając się jak gdyby na kogoś czekali.

A w odległości pół mili za nimi posuwał się regularny oddział kawalerii.

- Eskorta - rzekł z uśmiechem. - Jak widzę, zarozumiałcy nie ruszają się bez świty

Cofnął konia i ukrył się za pagórkiem porośniętym zielenią. Sześciu jeźdźców zbliżało się powoli. Nie podejrzewali niczyjej obecności w pobliżu.

W chwili jednak gdy zrównali się z pagórkiem, Zorro zastąpił im drogę, wołając:

- Witajcie, senores!... Czekam, jak widzicie, ale szczerze mówiąc, nie spodziewałem się wojskowej asysty! Czy to pułapka?

Cała szóstka osadziła konie. Przez chwilę milczeli, przyglądali się zamaskowanemu jeźdźcy z nie ukrywaną ciekawością.

Zorro ciągnął dalej, opierając niedbale rękę na rapiersze zawieszonym u siodła:

- Jestem amatorem spokojnych rozrywek i nie mam nic przeciwko temu, by próbować się z wami wszystkimi jednocześnie lub po kolei, jak wolicie! Niestety, zabawę tę zakłóca obecność sprowadzonego przez was wojska... Zatem będę zmuszony dokonać pewnego manewru.

Czarny rumak dał szczupaka w powietrze i otarł się o wierzchowca don Josego Murci. Jednocześnie błyskawicznym ruchem Zorro schwycił jeźdźca za kołnierz, wyciągnął z siodła i przerzucił w poprzek swego konia.

Stało się to tak błyskawicznie, że zanim inni zdolali ochłonąć ze zdumienia, Zorro był już daleko ze swym jeńcem.

Rozległy się dzikie okrzyki wściekłości i rzucono się w pościg za jeźdźcem w masce. Niebawem zaniechano gonitwy, gdyż Zorro zniknął bez śladu.

Drugi akt tej tragikomedii rozgrywał się tymczasem w głębi lasu na obszernej polance.

Zorro zszedł z swego jeńca i rzekł wręczając mu szpadę:

- Wybacz mi, senior, że postąpiłem z tobą nieco obcesowo, ale doprawdy nie miałem na to innej rady. A więc przystąpmy do akcji. Pokaż mi, senior, jak się robi pręgi na twarzy.

Jose Murcia natarł jak szalony, ale walka trwała niezbyt długo. Już po czwartym skrzyżowaniu szpad, jego broń wyleciała wysoko w powietrze, a jednocześnie ostrze Zorry wyślubiło niezbyt głęboką, ale za to widoczną pręgę na ukos przez lewy policzek.

- Zadowolę się tym razem tylko jedną pręgą - rzekł Zorro. - Gdyż doprawdy prócz samochwalstwa niczym wobec mnie nie zawiniłeś! ...

Po chwili pędził już co koń wyskoczy z powrotem. Dogał drugiego jeźdźca w pełnym galopie. Błysnęły szpady, uniosły się lufy pistoletów, ale Zorro nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Jak wicher przemknął obok Waldemara von Wizenfelsa i porwał go z siodła, tak jak jastrząb porywa zająca na polu.

Huknęły wystrzały. Kule zaczęły gwizdać, ale rumak Zorry ledwie dotykał ziemi kopytami i niebawem pozostawił daleko w tyle swych prześladowców.

Niemiec próbował się bronić, otrzymał jednak cios pięścią w ciemię i się uspokoił.

Jazda trwała blisko piętnaście minut. Koń zatrzymał się w niewielkiej dolinie, po czym Zorro i Waldemar von Wizenfels stanęli naprzeciw siebie ze szpadami w ręku. Zorro swym zwyczajem wygłosił krótką przemowę:

- Dzielny synu Germanii, wybacz mi, że porwałem cię tak niespodzianie spośród grona twych przyjaciół, ale powodowała mną troska natury czysto estetycznej. Oto nigdy, póki żyję, nie miałem sposobności oglądać swych uszu. Widziałem je w lustrze oraz w zwierciadle wody i wydało mi się, że jedno ucho większe jest od drugiego. Zrozum moją rozpacz, senior. Przedtem uważałem się za przystojnego mężczyznę, a tu nagle taka szpetota. - Odetchnął, sprawdził ostrze rapiera palcem i dokończył swe przemówienie: - Tylko ty jeden, senior, możesz rozwiązać me zmartwienie. Obetnij mi, proszę, moje uszy, bym mógł, kładąc jedno obok drugiego, przekonać się, czy są jednakowej wielkości!

Powietrze przeciął zgrzyt skrzyżowanych szpad. Niemiec natarł spokojnie i metodycznie. Był to świetny szermierz. Na nieszczęście wszystkie jego najlepsze cięcia i sztylety trafiały w próżnię. Pot wystąpił na jego płaskiej twarzy, zaczął sapać jak miech, usiłując przygwoździć swego diabelnie zręcznego i sprężystego przeciwnika.

Po pewnym czasie Zorro rzekł:

- Dosyć tej zabawy... Czas nagli, gdyż mam jeszcze dwa porachunki do załatwienia.

I znów szpada Waldemara wyleciała w powietrze, a jego lewy policzek przecięła czerwona pręga.

- Sądzę, że to wystarczy - oświadczył Zorro.

Zwinnie skoczył na siodło i pognął z powrotem. Zadanie było jednak tym razem trudniejsze, albowiem oddział don Alvareza trzymał się zbyt blisko dwóch pozostałych szermierzy.

Jeździec w masce cofnął się niezauważony, zakreślił wielki łuk i w ten sposób znalazł się na tyłach oddziału. Zatrzymał konia, przyłożył dłonie w kształcie trąbki do ust i krzyknął z całej siły:

- Zorro! Zorro! Zorro!

Don Alvarez odwrócił się na siodle, jakby pchnięty niewidzialną sprężyną, i ujrzał swego śmiertelnego wroga.

- Za nim! - ryknął. - Gońcie go! ... Nie wolno wam wypuścić go żywego.

Żołnierze rzucili się w stronę Zorry, który na to tylko czekał. Zawrócił konia i umykał, nie śpiesząc się jednak zbyt.

Kołując, skręcając to w prawo, to w lewo, zdołał odciągnąć oddział na przyzwoitą odległość od Porfiria, Malibrana i dwóch pozostałych szermierzy.

Co prawda, don Garcia oraz markiz Gontano mieli zamiar puścić się wraz z oddziałem w ślad za Zorzą, ale Malibran powstrzymał ich mówiąc:

- Nie czyńcie tego, senores! Nie jesteście policjantami ani też żandarmami, nie przystoi więc szlachcie uganiać się po okolicy za uciekającym przeciwnikiem.

- Słusznie! - rozległ się nagle dźwięczny głos w pobliżu. - Dobrze mówisz, grubasku!

I Zorro wyjechał z zarośli na drogę.

- Śpieszmy się, senores! - zawołał zeskakując na ziemię. - Zanim dzielny gubernator powróci ze swymi żołnierzami, my musimy już być gotowi!...

Rozpoczął walkę z don Garcia, a wynik był ten sam, co poprzednio. Czerwona pręga zryła ukośnie jego twarz. Podobny los spotkał i markiza Gontano.

- Dziękuję, senores! - rzekł Zorro, ocierając rapier. - Chodziło wam o te cztery pręgi, więc macie je! Na przyszłość jednak radzę nie szafować dla błahostek zdrowiem i życiem spokojnych obywateli, którzy o nic więcej nie proszą, jak o trochę miejsca pod słońcem!

Dosiadł konia i odjechał nie oglądając się. Zmrok zapadał, a lekki wietrzyk niósł słowa piosenki śpiewanej przez jeźdźca w masce:

*I nie zaznam ja spokoju
Bez mej lubej Carmency...
Cóż mi rany i śmierć w boju
Cóż mi złoto i zaszczyty...*

Zmierzch już zapadł, gdy czterej szermierze odnaleźli się wreszcie. A gdy don Alvarez natrafił na nich, otworzył szeroko usta ze zdumienia i ściągnął mocno swego wierzchowca.

- Cztery pręgi - szepnął patrząc na ich twarze. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie są cztery pręgi, ale nie te, o których myślałem!

- Chciałeś powiedzieć, wasza wielmożność - odezwał się Porfirio - że spodziewałeś się ujrzeć cztery pręgi na jednej twarzy zresztą tutaj nieobecnej.

Waldemar podbiegł do gubernatora:

- Ekscelencjo! - zawołał wściekle. - Przysięgam, że ten rabuś nie ujdzie mi żywcem.

- I mnie również - powtórzył jak echo Jose Murcia.

- I mnie!...

- I mnie!...

Don Alvarez milczał przez dłuższą chwilę.

- W jaki sposób zabierzecie się do niego?

Don Jose Murcia zbliżył się doń i szepnął tajemniczo:

- Szukając się nawzajem, natrafiłszy na jego kryjówkę w lesie. Jest to niewielki barak, gdzie ukrywa swego konia!

Don Alvarez wyprostował się w swym siodle, a w jego oczach zabłysła nadzieja.

- Znacie jego kryjówkę? - zawołał. - Jazda więc! Okrążymy ją! Nie zwlekajmy ani sekundy!

Dyszący zemstą zawadiacy poprowadzili oddział do lasu.

Po krótkiej wędrówce między drzewami wyjechali na polankę. Oddział otoczył niewielką chatę i zaatakował ją ze wszystkich stron jednocześnie. Nikogo jednak nie znaleziono. Natomiast do framugi drzwi przygwożdżony był sztyłem niewielki skrawek papieru.

Don Alvarez przeczytał następujące słowa:

Czcigodny don Garcia, Murcia, Gontano i Waldemar! Uważałem was dotychczas za niedowarzonych samochwalców, ale teraz widzę, że jesteście również. mściwymi nicponiami. Należy się wam pogładowa lekcja lojalności.

Z.

- Nie macie tutaj nic więcej do roboty - rzekł do nich Malibrán. - Radzę wam, zmiatajcie stąd jak najprędzej, gdyż, jak widzę, Zorro wpadł w gniew...

Czterej przyjaciele usłuchali rady Malibrána. W Huesco wsiedli do dylizansu pocztowego udającego się do Madrytu.

W drodze przez wąwóz, obok dylizansu, rozległ się dźwięczny głos: .

- Hej, woźnica, zatrzymaj swój wehikuł!

Dylizans zatrzymał się.

Zza skały wyjechał na czarnym rumaku Zorro. Nie miał absolutnie żadnej broni przy sobie prócz bicia zwiniętego u siodła.

Jakaś podstarzała seniorita zaczęła krzyczeć jak zarzynane jagnię.

Czterej szermierze spojrzeli na siebie.

- On nie ma broni - szepnął Murcia. - A nas jest czterech!...

Zorro nachylił się nad oknem karocy:

- Szukam seniority Carmencity - rzekł i zapytał zwracając się do wrzaskliwej kobiety: - Czy ty jesteś Carmencita?

- Nie, nie, nie! - krzyczała przerażona.

- Jeśli nie, więc czemu dajesz znać o sobie?.. O, seniorito, nic ci nie pomogą twe wołania, gdyż ja się nie dam skusić!...

Don Garcia krzyknął:

- Na niego!...

I wszyscy czterej wypadli przez tylne drzwi dylizansu, trzymając obnażone szpady w rękach.

Wówczas przemówił bicz Zorry. Rzemień świstał, ciał i owijał się dookoła głów i ciał napastników. Po krótkiej chwili rozległy się okrzyki bólu i przeraźliwe jęki. Wymachując bezużytecznymi szpadami, wstając i padając wyglądali jak czterej ślepy. A na policzku każdego oprócz ukośnej pręgi widniała dodatkowo litera „Z”.

Błękitny caballero

Don Alonzo, pierwszy minister królowej Izabelli, po raz trzeci przebiegł oczami list doręczony mu przed chwilą przez umyślnego kuriera.

List był następującej treści:

Ekscelencjo!

W odpowiedzi na pismo donoszę uniżenie, że pomimo mych usilnych starań, nie wszystko idzie po myśli. Aragończycy, podburzani przez Zorrę, coraz śmielej podnoszą głowę... Trzymam ich w żelaznych ryzach, ale to niewiele pomaga. Podatków wpływa coraz mniej, a każdemu komisarzowi musi towarzyszyć silna eskorta wojskowa. Nikt z urzędników nie jest pewny swego życia, a choć więzienia są przepelnione, terror Zorry nie ustaje.

Przypisuję ten stan rzeczy temu, że pełniąc liczne obowiązki gubernatora, nie mam czasu ani możliwości sprawować osobiście kontroli nad moją prowincją. Brak mi dzielnego pułkownika, dowódcy żandarmerii i policji, który by żelazną dłonią tłumił w zarodku najmniejszy objaw rewolty.

Proszę więc, by Jego Ekscelencja zechciał przysłać mi człowieka nie ustępującego pod względem energii i stanowczości dawnemu pułkownikowi Alvarezowi y Gonzano.

Don Alvarez y Gonzano gubernator Aragonii

Minister zmiął list i zamyślił się.

- Skąd wziąć takiego człowieka? - wyszeptał. - Prawda, że don Alvarez nie może podołać dwom funkcjom naraz, ale nie wiem doprawdy, kogo mu posłać?..

Wtem jego sucha i pomarszczona twarz rozjaśniła się.

- Mam, mam! - zawołał zrywając się z fotela. - Do licha, czemu od razu nie pomyślałem o pułkowniku don Carlo Cevennie?

Zatarł ręce.

Carlo Cevenna to w sam raz człowiek dla don Alvaraza... Srogi, okrutny, bezwzględny, a zarazem diabelnie ograniczony... cha, cha, dobrana z nich będzie para!...

Zasiadł przy biurku i napisał:

Drogi gubernatorze!...

List Twój, w którym donosisz mi o trudnościach, z jakimi musisz się borykać, znalazł u mnie pełne zrozumienie. Owszem, senor Alvarez, taki człowiek istnieje i cieszę się niezmiernie, że będę mógł Ci się przysłużyć. Czy słyszałeś o pułkowniku żandarmerii don Carlo Cevennie? Do dziś dnia nie nazywają go w Istrii inaczej jak „Krwawy Cevenna”... On to bowiem zdusił w potokach krwi rewoltę Istryjczyków. Najmiłościewiej nam panująca królowa Izabella jemu właśnie zawdzięcza trwałą pokój w Istrii. Sądzę, że lepszego człowieka nie mogłem Ci znaleźć. Jedna tylko uwaga: jest to człowiek niezwykle zarozumiały na punkcie swego szlacheckiego pochodzenia. Uważa, iż ma najbardziej błękitną krew w całej Hiszpanii. Wystrzegaj się więc, drogi gubernatorze, konfliktów oraz uprzedź o tym Twoje otoczenie...

Don Alonzo Estabarra

minister królowej Hiszpanii

Po napisaniu tego listu zadzwonił na sekretarza i wręczając mu zalakowaną kopertę przeznaczoną dla don Alvaraza, polecił wezwać do siebie don Carla Cevennę.

Sekretarz wyszedł, by spełnić polecenie. Specjalny goniec wyruszył do pułkownika.

Carlo Cevenna był to wysoki, barczysty Andaluzyjczyk, o czarnych, zrosniętych brwiach, potężnej klatce piersiowej i strasznym wprost spojrzeniu szarozielonych oczu.

Już samo to spojrzenie było odpychające. Wrażliwsze kobiety nie mogły znieść jego wzroku, a mężczyźni wprost obawiali się go.

Królowa Izabella nie znosiła pułkownika, ale monarchia potrzebowała tego okrutnego i bezwzględnego uśmierzyciela.

Carlo Cevenna ostatnio był bez zajęcia. Toteż uradował się niezmiernie na widok wysłannika ministra Alonza.

Nie zwlekając kazał zaprzęgać karoce i niebawem siedział już w gabinecie don Alonza, wpatrując się weń swym strasznym wzrokiem, który nawet wszechwładnego ministra przejmował dreszczem zgrozy.

- Don Carlo - rzekł - zamiast wyjaśnień na temat twej misji, pozwól, że dam ci do przeczytania list gubernatora Aragonii!

Pułkownik przebiegł list oczami. Na jego okrutnej twarzy przewinał się grymas zadowolenia.

- Podejmuję się zamienić Aragończyków w jagnięta - odezwał się unosząc głowę. - Nie mogłeś uczynić lepiej, ekscelencjo, zwracając się do mnie!...

- Kiedyż więc wyruszysz, pułkowniku?..

- Jeśli mam już rozpocząć taniec, to im prędzej, tym lepiej!... - Dobrze! Wyruszysz więc jutro. Dam ci listy uwierzytelniające ... Uprzedzam jednak, że sprawa nie będzie łatwa ...

- Lubię trudne sprawy!..._

- Grasuje tam Zorro, o którym zapewne już słyszałeś ... To diabeł, a nie człowiek!...

Don Carlo uniósł dumnie głowę i wydał pogardliwie wargi.

- Ekscelencjo - wyrzekł tonem, który był tym straszniejszy, że zupełnie na pozór spokojny. - Nie uznaję diabłów ani ludzi. Dla mnie istnieją tylko wierni i posłuszni poddani jej królewskiej mości...

- Ale Zorro ...

- Zorro jest tylko jednym z tej hołoty, pomimo że nosi maskę i zręcznie posługuje się bronią... I nikt nie powie, że don Carlo Cevenna - szlachcic najczystszej wody, potomek starożytnego rodu hidalgów i konkwistadorów, człowiek w żyłach którego płynie najbłękitniejsza w świecie krew - lęka się rabusia

podłego pochodzenia... Odwrotnie, tajemniczy Zorro będzie drżał na sam dźwięk mego imienia i moja w tym głowa, by jak najszybciej zawisnął na szubienicy!...

- Brawo! - zawołał minister. - Pułkowniku, widzę, że jesteś nieocenionym sługą tronu... Przysięgam, że o tym nie zapomnę i w najbliższej przyszłości będziesz miał dowody łaski monarszej... Pułkownik powstał.

- A więc jutro wyruszam w drogę do Aragonii. Zabieram z sobą kilku wypróbowanych oficerów zandarmerii, którym ufam i których jestem pewny!...

I dodał z okrutną ironią:

- Nie wątpię, że poczciwi Aragończycy powitają nas z radością

Zorro na trasie

Ledwie słońce ukazało się na widnokręgu, a ptaki na gałęziach drzew zaczęły wywodzić swe trele, z lasu wyjechał galopem Zorro.

Pędził na zachód. Jak zwykle był w doskonałym humorze, oczy mu świeciły poprzez otwory w masce. Zdawał się napawać pięknem budzącego się dnia i swoim zwyczajem śpiewał tęskną piosenkę lub też wesoło pokrzykiwał na swego konia.

Czarny rumak strzygł uszami i ledwie dotykając ziemi kopytami sunął w zawrotnym galopie.

Na zachód od Saragossy piętrzyły się nagie, o fantastycznych kształtach skały. Wijąca się wężowo droga biegła u zbrocza gór i nad przepaściami. Miejscami stawała się tak wąska, że karoca zaledwie mogłaby przejechać. I właśnie w tym najwęższym miejscu nastąpiło niespodziewane spotkanie Zorry z jeźdźcem w mundurze kuriera rządowego, zdążającego w przeciwnym kierunku.

Kurier wyłonił się nagle spoza zakrętu i przeraził się niezmiernie, widząc tuż przed sobą jeźdźca w masce. Instynktownie sięgnął po broń, ale w następnej sekundzie cofnął rękę, uznał bowiem, że przeciwko jeźdźcy w masce nic nie wskóra.

Zorro ukazał w szerokim uśmiechu dwa rzędy śnieżnobiałych zębów.

- Zupełnie słusznie, mój oficerze - odezwał się zastępując mu drogę. - Nie ma sensu strzelać do człowieka, który nie wyrządza ci przecież najmniejszej krzywdy!

- Czegoż więc chcesz ode mnie, senor? - zapytał kurier drżącym głosem. - Czemu zagradzasz mi drogę? Przecież nie mam przy sobie złota?

- Wierzę ci, że nie złoto wiesz do Saragossy - odparł Zorro. - Złoto bowiem nigdy nie idzie z Madrytu do Saragossy, lecz odwrotnie, z Saragossy do Madrytu... Natomiast ze stolicy do Saragossy idą listy, które mają wartość złota dla pewnych ludzi... - Nie wiozę żadnego listu - bronił się wysłannik don Alonza. - Wierz mi, senor...

Zorro pokiwał głową.

- Drogą młodzieńcze - rzekł, aczkolwiek kurier miał już ponad czterdziestkę. - Zrobimy mały układ. Poddam cię rewizji i jeśli nic nie znajdę, puszczę cię wolno, jeśli zaś znajdę jakieś urzędowe pismo, wówczas zrzucę cię w tę oto przepaść! Czy zgadzasz się?

Kurier zastanowił się przez chwilę. Szybkim spojrzeniem ogarnął Zorrę, zauważył, że bicz wisiał zwinięty u siodła, a pistolety tkwiły w futerałach.

Powziął niebezpieczną decyzję, westchnął z rezygnacją i rzekł: - Zgadzam się!

- Dobrze!

Zorro skierował konia w jego stronę.

- Unieś ręce do góry, młodzieńcze! - rzekł uśmiechając się ciągle.

Kurier posłusznie unieś ręce. Zorro nachylił się i zaczął obmacywać kieszenie na jego piersiach. W tej samej chwili kurier opuścił ręce i chwycił Zorrę za barki. Naprężył wszystkie siły i szarpnął gwałtownie, usiłując wyrzucić Zorrę z siodła. Lecz mu się to nie udało. Jego ruch był szybki, ale jeszcze szybsza była odpowiedź Zorry. Kurier otrzymał silny cios w żołądek i z jękiem opuścił ręce.

- Wybacz mi, senor - oświadczył spokojnie Zorro - ale jestem szalenie łaskotliwy i nie lubię, gdy mnie dotykają.

Wyciągnął zalakowaną kopertę z kieszeni kuriera i ostrożnie rozciął brzeg. Wyjął list i przebiegł go oczami.

- Jestem zgubiony - jęczał kurier, trzymając się za żołądek. - Minister nigdy mi tego nie daruje, że pozwoliłem odebrać sobie jego pismo...

Zorro włożył list z powrotem do koperty i wręczył ją kurierowi.

- Zaklej rozcięty brzeg, senor - rzekł. - Ręczę, że gubernator nic nie dostrzeże, nie widzi bowiem dalej od swego nosa. Nie potrzebujesz się chwalić przed nikim, że dałeś mi list do przeczytania... i podziękuj Bogu, że nie leżysz obecnie na dnie przepaści... Spiał konia i po chwili zniknął z oczu oszołomionego kuriera, który bezmyślnie obracał kopertę w rękę.

Zorro gnał na zachód, przynaglając swego konia do szybszego biegu. Przygotowywał się widocznie do jakiegoś spotkania, gdyż poprawił pistolety w olstrach i ujął bicz w rękę.

Niebawem ujrzał na drodze karocę urzędową otoczoną zbrojnymi żołnierzami. Jechała w tym samym kierunku co on, ale wyprzedzała go o ćwierć mili. Uniósł się zatem w strzemiączkach. Czarny rumak po prostu pożerał przestrzeń i wkrótce zrównał się z karocą.

- Stać! - rozległ się okrzyk Zorry.

Gdyby na drodze zjawił się regiment nieprzyjacielskiego wojska, żołnierze eskortujący pojazd rządowy na pewno broniliby go do upadłego przed licznymi wrogami. Ale okrzyk ten wydał Zorro. To wystarczyło, by żołnierze uznali z góry, że wszelki opór jest daremny.

Nawet nie próbowali się bronić. Było ich czternaście wraz z sierżantem. Czternaście par rąk uniosło się w powietrze.

- Wielmożny senor Zorro - odezwał się podoficer proszącym tonem. - Nie wieziemy złota, lecz tylko papiery do archiwum w Madrycie. Nie czyn nam nic złego, przecież widzisz, że nie podnosimy broni przeciwko tobie...

Żołnierze nie byli tchórzami. Znali jednak dobrze legendę o jeźdźcu w masce i jeśli odczuwali kiedykolwiek zabobonną trwogę, to chyba tylko przed Zorzą.

- Wiem, że nie wieziecie złota - odparł Zorro - ale nie o to mi chodzi. Rzućcie broń na ziemię!...

- Senor! - zaczął błagalnie sierżant.

Oczy Zorry błysnęły..

- Słyszałeś, co mówiłem? - zapytał bawiąc się niedbale biczem. Po chwili czternaście strzelb, szabel i ładownic leżało na piasku. - A teraz rzućcie wasze nakrycia głowy!... - padł rozkaz. Czternaście czapek poleciało w ślad za bronią.

- Zdejmujcie buty!...

Konwojenci. nic nie rozumieli z tego wszystkiego, usłuchali jednak rozkazu bez szemrania.

Teraz oddział przedstawiał niezwykły, a zarazem żaloszny widok. Żołnierze królowej Izabelli siedzieli na swych koniach boso, bez broni i bez czapek.

- Możecie jechać dalej - oświadczył Zorro - a gdy spotkacie na drodze karocę, zapytajcie o senora Carla Cevennę ... Powiedzcie mu, że Zorro śle pozdrowienie dla niego oraz dla całej rodziny, nie wyłączając prababki z pięciopalkową koroną hrabiowską oraz pradziadka z ośmiopalkową koroną książęcą...

Powitanie na drodze

Podróż Carla Cevenny, wbrew jego oczekiwaniom, obfitowała w liczne niespodzianki.

Na początku wszystko układało się jak najpomyślniej. Jego piękna, młoda żona, kapryśna Anita, zgodziła się bez długiego namysłu na wyjazd do Saragossy.

A trzeba wiedzieć, że jeśli wszyscy odczuwali lęk przed groźnym pułkownikiem, to sam pułkownik lękał się swej uroczej Anity. Kochał ją szalenie i był okropnie zazdrosny.

Mówiono, że gdyby senora Anita zainteresowała się działalnością swego męża, wiele zaoszczędziłoby się przelanej krwi w Istrii. Ale piękna pułkownikowa czytała całymi dniami francuskie romanse albo siedziała przed lustrem. Nie wiadomo dlaczego Saragossa wydała się jej nagle romantycznym miastem...

Podróż zapowiadała się dobrze. Niestety, dobry humor don Carla popsuł się rychło. Stało się to po południu. Naprzeciw karocy toczył się pojazd rządowy, obok którego galopowali żołnierze. Jakież było zdumienie srogiego służbisty, gdy spostrzegł, że dzielni żołnierze galopowali boso, bez broni i bez czapek.

Czyżby w Aragonii już tak źle z podatkami, że gubernator nie ma za co ubierać swych żołnierzy? pomyślał Carlo Cevenna, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

- Hola, sierzancie! - zawołał głośno, wychylając się z karocy. - Do mnie, tutaj! ...

Sierzant ujrzał pułkownikowski mundur oraz liczne gwiazdy i orderzy zdobiące jego pierś, skierował więc konia w stronę karocy, salutując służbiście.

- Co oznacza ten strój?! - ryknął don Carlo. - Czy mam do czynienia z żołnierzami czy włóczęgami, carramba?..

- To Zorro! - wyjąkał sierzant, drżąc pod wpływem straszliwych szarozielonych oczu. - To ten przeklęty Zorro rozebrał nas, rozbroił i kazał zanieść ukłon dla senora Carla Cavenny!...

Don Carlo osłupiał.

- Zorro? - zapytał ochryple. - To Zorro was urządził w ten sposób? I kazał mi się kłaniać?

- Tak jest, senor!...

Don Carlo zazgrzytał zębami.

- Jak liczna była jego banda? - zapytał. - I czy broniliście się?

Sierzant opuścił głowę.

- Zorro był sam! - odpowiedział zmieszany.

-Inie broniliście się?

Sierzant milczał.

- Dobrze - rzekł don Carlo. - Jedź dalej. Oddam was wszystkich pod sąd wojenny!

Karoca ruszyła w dalszą drogę. Srogi pułkownik trząsał się cały z wściekłości i oburzenia.

- Ja tu zaprowadzę porządek - mruczał. - Do licha, ten don Alvarez nic nie jest wart! ... A miał niegdyś opinię dzielnego żandarma... Uważano go nawet za lepszego ode mnie... Cha, cha, cha!...

- Cha, cha, cha! - zawtórował srebrzysty śmiech obok niego. - Ten Zorro doprawdy jest niezwykły... Co za pomysły ma ten człowiek. Ach, gdybym nie była twoją żoną, sądzę, że zakochałabym się w nim na zabój... Podobno wszystkie okoliczne seniority potraciły dla niego głowy!... - mówiła piękna Anita z zapalem. A don Carlo uczuł nagle, że w jego sercu wzbiera śmiertelna nienawiść dla jeźdźca w masce.

Ale na tym nie skończyły się niespodzianki podróży.

Przejeżdżali właśnie przez las, gdy doszły go nagle przeraźliwe krzyki u skraju drogi.

- Na pomoc, na pomoc!...

- Co tam znowu? - zapytał don Carlo jednego ze swych oficerów galopujących obok karocy.

Nie potrzebował jednak odpowiedzi, gdyż na własne oczy ujrzał dwóch mężczyzn, w mundurach komisarzy królewskich, zawieszonych na konarach drzew za dolną część ubrania. Wisząc między niebem a ziemią rozpaczliwie machali rękami i nogami, usiłując zmienić wielce niewygodną pozycję. Spodnie na siedzeniu trzeszczały, ale materiał zaczepiony o dolne konary drzewa był mocny i nie puszczał.

- Odczepić ich! - rozkazał Carlo.

Po chwili komisarze królewscy znaleźli się na ziemi. Obaj mieli przerażone twarze i drżeli mocno...

- Zorro... Przeklęty Zorro - jęczał jeden z nich, a drugi wtórował mu, pocierając obolałe ciało.

- Jedźmy dalej! - ryknął don Carlo, a oczy jego miotają pioruny. - Jedźmy dalej, bo czuję, że trafi mnie apopleksja na miejscu.

Karoca ruszyła. Anita zanosila się od śmiechu, aż łzy stanęły jej w oczach. Don Carlo żuł ponure myśli. Nagle, gdy karoca znajdowała się u skraju lasu, z zamyślenia obudził go głośny okrzyk jednego z oficerów:

- Trzech ludzi przy drodze!...

Pułkownik wyjrzał przez okno. W odległości kilkuset kroków od karocy wznosiła się niemal pionowo niewysoka skała o gładkim zboczu. Pod nią stali rzędem trzej mężczyźni ze wzniesionymi do góry rękami. Stali odwrócenii twarzą do skały, a nad ich głowami czernił się wielki napis wykonany węglem na skale:

Witaj, dzielny don Carlo Cevenna!

Mieli na sobie piękne, czerwone kurtki żandarmów, ale był to cały ich ubiór. Poniżej bieleły się

rąbki koszul. Ludzie ci nie mieli spodni, natomiast świecili czterema parami owłosionych łydek.

- Anito! - ryknął don Carlo rozpaczliwie. - Odwróć się, nie patrz, to nie jest widok dla ciebie!...

Gdyby jednak piękna Anita miała zamiar patrzeć, to i wówczas nie byłaby w stanie uczynić tego, gdyż wiała się po prostu ze śmiechu, oczy jej zaszczyły łzami, a usta wołały:

- Ach... ten Zorro ... ten Zorro ... Cha, cha, cha!... Doprawdy, sędzę, że się w nim zakocham!...

Don Carlo wyskoczył z karocy i pobiegł w stronę ludzi nieruchomo stojących pod skałą.

- Senor Zorro - usłyszał błagalne wołanie jednego z nich, który tkwił nosem w szczelinie skalnej - doprawdy dosyć tych żartów... Ręce nam cierpną od ustawicznego trzymania w górze!... Jak długo jeszcze mamy tak stać pod groźbą twego pistoletu?..

- Ładne powitanie! - ryknął don Carlo, zadając potężny cios butem poniżej pleców jednego z tych ludzi. - Ładnie mnie witacie, nędznicy!...

Zacisnął pięści i zgrzytnął zębami:

- Ale Zorro za wszystko mi zapłaci... Przysięgam, że zapłaci!...

Zazdrosny małżonek

- Hej, senor Zefirio! - zawołał don Alvarez, wychylając głowę ze swej wspaniałej, gubernatorskiej karety. - A dokąd to pędzi tak chyżo twój szlachetny rumak?

Zefirio osadził swego muła.

- We wsi Merrado u Sanchy Glana krowa urodziła cielę o dwóch głowach... Biegnę więc, by wziąć jedną głowę na pamiątkę...

- Na pamiątkę czego? - zapytał gubernator, a towarzysząca mu świta wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Jak to czego? - zdziwił się Zefirio. - Na pamiątkę dwóch cielęcych głów, oczywiście!...

- A więc znów będą dwie głowy u jednego cielęcia! - zauważył don Alvarez.

Głupi Zefirio nie zrozumiał przycinka. Otworzył szeroko swe baranie oczy i zapytał:

- Jak to?.. Nie rozumiem!...

- Zrozumiesz, gdy weźmiesz tę cielęcą głowę do ręki i spojrzysz w lustro!...

Teraz dopiero młody Corti pojął złośliwość i obraził się.

- Ublizas mi, senor gubernator - oświadczył oburzony. - Ublizas mi czyniąc niesprawiedliwe porównanie mej głowy do cielęcej. Na szczęście nie ma tutaj obcych ludzi, a ci którzy mnie znają, wiedzą dobrze, iż Zefirio Corti jest jednym z najmądrzejszych szlachciców Aragonii!

- Wcale temu nie przeczę - oświadczył don Alvarez z udaną powagą. - To był tylko żart!...

Oblicze młodzieńca rozjaśniło się.

- Wiedziałem, że to był żart! - zawołał. - I wybaczam ci chętnie!... Czy chciałbyś, senor, udać się wraz ze mną do wsi Merrado, by obejrzeć to cielę?

- Nie mam czasu, drogi Zefirio. Muszę śpieszyć na spotkanie z pułkownikiem don Carlem Cevenną, który przybywa do Aragonii z polecenia królowej... Zachowaj tę głowę, obejrze ją innym razem!...

Ale w umyśle Zefiria postanowienia zmieniały się jak obrazy w kalejdoskopie.

- Cielę może zaczekać - oświadczył nagle. - Don Carlo Cevenna ma u mnie pierwszeństwo!... Jadę z tobą, gubernatorze, gdyż pragnę poznać tego słynnego bohatera, zwycięzcę zbuntowanych nikczemników Istrii....

Zrównał swego muła z kareta i razem ruszyli w dalszą drogę. Spotkanie gubernatora z pułkownikiem nastąpiło w odległości jedenastu mil od Saragossy.

Wysiedli ze swych karek i podali sobie ręce. Spojrzenia ich skrzyżowały się i nagły dreszcz po ciełe don Alvaraza. Co za wzrok, pomyślał. Moi Aragończycy będą się mieli ciepło.

Zefirio przyjrzał mu się również, ale widocznie nie znalazł w nim nic godnego uwagi, odwrócił się bowiem w stronę karety i wzrok jego padł na twarzyczkę pięknej Anity.

Nie namyślając się ani chwili, pośpieszył do karocy, otworzył drzwiczki i bez ceregieli usadowił się obok niej.

- Wybacz mi, o piękna seniorito, moją śmiałość - zaczął ujmując jej rączkę - ale twoja olśniewająca uroda działa jak magnes, i pokonuje wszelką nieśmiałość!

- Mów dalej, senor Zefirio Corti - roześmiała się małżonka don Carla. - Z przyjemnością cię słucham!...

- Znasz mnie, o nieznaną bogini? - zdziwił się Zefirio.

- Czyż nie byłeś ulubieńcem naszej królowej? - zapytała przechylając zalotnie główkę. - My, damy dworu, przepadałyśmy za tobą!... - Nie powiedziała oczywiście, że wszystkie konały wówczas ze śmiechu.

- Jakże się cieszę! - zawołał młodzieniec, obsypując jej rączkę żarliwymi pocałunkami. - Jakże się cieszę, że spotykam tak piękną znajomą, której dotychczas nie znałem!...

- Nie zjedz mych rąk, drogi senor! - broniła się piękna Anita. - Zaraz mój małżonek powróci do karocy... Cóż powie, gdy ujrzy ciebie u mego boku? Czy wiesz, że zająłeś jego miejsce?

- O bogini mego spragnionego miłości serca! - ryknął Zefirio, klękając przed nią. - Gdy cię ujrzałem, poczułem nagle, że moje męskie serce bije na alarm, a dzielna dusza ucieka w pięty... Co mi tam wszyscy mężowie na świecie, skoro cię kocham i pragnę bronić cię przed przeciwnościami losu ceną mego życia, krwi i potu... Mówisz, że zająłem jego miejsce?... Ach, pozwól, bym zajął je na zawsze!... Błagam cię, spotkajmy się dziś wieczorem, wówczas...

Nagle urwał, ponieważ tuż przed nim, w oknie karocy, zajaśniały dwie szarzielone latarnie. A właściwie szeroko otwarte oczy don Carla, który przyglądał mu się wzrokiem wygłodniałego tygrysa szykującego się do skoku na tłustego królika...

- He! - wyrzekł wreszcie, wpatrując się w obcego młodzieńca straszliwym wzrokiem.

- He? - powtórzył Zefirio, kurcząc się cały i odsuwając od seniority Anity.

Srogi pułkownik żandarmerii wsadził ramię przez okno karocy i położył ciężką dłoń na karku intruza.

- Co tutaj robisz, senor? - zapytał głosem nie wróżącym nic dobrego.

Zefirio spojrział nań z przestachem.

- Co robisz? - powtórzył drżącym głosem. - Oczywiście, że siedzę, senor!...

Don Carlo ukazał kły w okropnym grymasie. W tej chwili podobny był do rozjuszonego tygrysa.

- Pytam, co robisz w mej karocy?! - wrzasnął.

- Czekam, aż konie ruszą, senor!...

- Aa, czekasz w mej karocy, przy boku mojej żony, aż moje konie ruszą?

Zefirio udał zdziwienie.

- Przy boku twojej żony, senor? - zapytał. - Carramba, niech mnie chronią wszyscy święci pańscy, jeśli wiedziałem, że to jest twoja żona, senor? To niewinne, piękne stworzenie miałoby być twoją żoną? Wybacz mi, senor, ale nawet teraz nie może mi się to pomieścić w głowie!...

Tego było już za wiele dla don Cana, Chwycił młodzieńca za kołnierz i gwałtownie pociągnął, otwierając jednocześnie drzwiczki karocy.

- Czekaj, młodziku, już ja cię nauczę zalecać się do cudzych żon...

Na szczęście senora Anita, która dotychczas milczała; krztusząc się ze śmiechu, odezwała się wreszcie.

- Zostaw go w spokoju, Carlo ... Przecież to jest sławetny Zefirio Corti, o którym tyle ci opowiadałam!...

- Zefirio Corti? - powtórzył srogi żandarm. - Więc to jest Zefirio Corti?

- Tak, tak - potwierdził skwapliwie wystraszony młodzieniec. - Całe życie byłem, jestem i będę Zefiriem Cortim. Przysięgam, że nie ma na świecie innego Zefiria Cortiego prócz mnie! Zefirio Corti to ja i tylko ja!... A gdyby ktoś inny podał się za Zefiria Cortiego...

- Dostyc - huknął pułkownik, puszczając jego kołnierz. - Wystarczy, że wiem, iż jesteś owym głupim Zefiriem, z którego śmieje się cała Hiszpania. Twoja sława ratuje ci skórę, gdyż don Carlo Cevenna nie bije półgłówek... Ale uprzedzam cię...

- Carlo - rozległ się powtórnie srebrzysty głos pięknej Anity. - Drogi mój małżonku, proszę cię, nie przesadzaj ... Przecież dobrze wiesz, że senor Zefirio jest nieszkodliwy. Podaj mu rękę i zaprosz do nas na kolację!

- Ja mam podać rękę temu idiocie? - warknął srogi żandarm. - Nigdy!

- Carlo!...

Głosik nadobnej senory przybrał groźny ton.

- No dobrze, dobrze - ustępował małżonek. - Podam rękę temu bałwanowi, ale nie zaproszę go za żadne skarby na kolację...

- Carlo!...

- Dobrze już, dobrze!...

Na twarzy ujarzmionego Carla Cevenny zjawił się uśmiech podobny do grymasu.

- Zapraszam cię na kolację, senor - powiedział zgrzytając zębami. - Będzie mi bardzo miło widzieć cię przy mym stole!

Don Alvarez oraz liczni oficerowie, którzy dyskretnie obserwowali tę scenę, czynili nadludzkie wysiłki, by nie dać upustu swej wesołości. Tręcali się łokciami, a gubernator, siedząc w swej karocy, uśmiechał się pod wąsem.

- Dziękuję ci, senor, za łaskawe zaproszenie - Zefirio pochylił się w głębokim ukłonie. Odzyskał już cały swój tupet i fantazję. - Niestety, nie mogę skorzystać z gościny człowieka, który publicznie nazwał mnie idiotą i półgłówkiem.

- Odwołaj swoje słowa, Carlo! - padł rozkaz z głębi karety. - Odwołaj obelgę i przeproś senora Zefiria Cortiego.

- Dobrze, Anito - mruknął pułkownik i zwrócił się do młodzieńca. - Odwołuję to, co powiedziałem i przepraszam cię, senor.

- Wobec tego przyjdę na kolację! - rzekł łaskawie Zefirio. - Przyjdę i zademonstruję kilka nowych sztuczek magicznych... Poza tym poczyniłem niezwykle doniosły wynalazek, który, jestem pewny, dokona przewrotu na całym świecie!...

Wypowiedział te słowa z taką pewnością siebie, że wywarły one pewne wrażenie na zebranych.

Cóż ten głupiec wymyślił nowego? pomyślał don Alvarez, a głośno zapytał na czym polega ten niezwykle doniosły wynalazek.

Młodzieniec oparł się plecami o karocę don Carla. Twarz jego wyrażała bezdenne zadowolenie i niezmierną dumę.

- Odkryłem to, o czym marzyli przez wieki alchemicy całego świata, a mianowicie stworzyłem kamień filozoficzny!

Jedno głębokie ooo! wydarło się ze wszystkich piersi. W ciągu krótkiej chwili zapanowała głucha cisza, po czym rozległy się kaskady śmiechu.

Zefirio wynalazł kamień filozoficzny!... Było z czego boki zrywać. Daremnie kusili się najwięksi uczeni średniowiecza, by stworzyć kamień, który zamienia wszelki metal w czyste złoto. Królowie wszystkich epok i krajów łożyli olbrzymie fortuny na poszukiwanie tego kamienia, by wreszcie dojść do wniosku, że kamień filozoficzny jest utopią.. I nagle nikt inny tylko głupi Zefirio stwarza ten cudowny kamień! ..

- Cha, cha, cha! - śmiał się don Alvarez. - Czy dużo złota sfabrykowałeś? ...

Zefirio odpowiedział spokojnym tonem:

- Możecie się śmiać do woli, czcigodni senores, a jednak ujrzyście mnie niebawem jadącego w karocy ze szczerego złota ... Kamień ten sfabrykowałem dopiero przedwczoraj, a już zdążyłem zamienić kilkaset monet miedzianych w złoto!... Jeśli mi nie wierzycie, proszę, oto jest ten czarodziejski kamień!...

To mówiąc wy dobył z kieszeni swego surduta niewielki kawałek kwarcu.

- Jeśli ktoś z obecnych ma przy sobie srebrne lub miedziane monety - zawołał - proszę, dajcie mi je, to was przekonam, o niewierni Tomasze ...

Dworacy sięgnęli do sakiewek.

- Uprzedzam was - ciągnął dalej Zefirio - że monety te staną się złote, ale rysunek na nich będzie zatarty!...

- Dobrze, dobrze! - rozległy się dokoła niecierpliwie okrzyki. - Pokaż prędzej, jak to się robi!...

Zefirio ujął jedną monetę i zaczął z całych sił trzeć kamieniem filozoficznym. Po chwili w ręku jego błysnęła szczerozłota moneta. Obecni wydarli mu ją z rąk i oglądali z podziwem. Zefirio uczynił podobnie z drugą, trzecią, czwartą i dwudziestą monetą. Za każdym razem zamiast srebra lub miedzi ukazywało się czyste złoto.

Konstantynopol

Nikt oczywiście nie domyślił się, że była to jedna ze sztuczek magicznych Zefiria. A nawet sam Zefirio nie przypuszczał, że obecni potraktują ją zupełnie serio.

W drodze do Saragossy don Alvarez siedział z zamkniętymi oczyma i medytował. Wszystko jest możliwe, myślał, to co się nie udało najmądrzejszym ludziom, mogło udać się głupcowi... Zresztą Zefirio Corti jest dość wykształcony, ukończył podobno uniwersytet w Madrycie. Tak, tak, zupełnie prawdopodobne, że uczynił epokowe odkrycie, sam sobie nie zdając z tego dokładnie sprawy... Za wszelką cenę muszę z niego wydobyć sekret robienia złota. ..

Mniej więcej w ten sam sposób rozmyślał don Carlo Cevenna. A Zefirio galopował na swym mule, nie podejrzewając, że umysły obydwu mężczyzn były zajęte jego osobą.

Po przybyciu do Saragossy obaj dygnitarze wysiedli ze swych powozów.

- Senor Zefirio - zwrócił się do gubernatora - czekam na ciebie wieczorem w moich prywatnych apartamentach!...

- O, przepraszam - wtrącił don Carlo. - Przepraszam cię, gubernatorze, ale ja właśnie miałem pierwszy ten zaszczyt, aby zaprosić senora Zefiria na kolację!

- Która oczywiście odbędzie się w mojej siedzibie, pułkownika. Przecież; nie masz jeszcze, jako nowo przybyły, apartamentu!...

Przez krótką chwilę mierzyli się oczami, starając przeniknąć się nawzajem.

Wreszcie don Carlo dał za wygraną.

- Nie, śmiem przeciwstawić się tobie, gubernatorze - rzekł z ukłonem. - Ale sądzę, że można będzie pogodzić nasze zamiary! Senor Zefirio będzie moim gościem, a zarazem twoim, gubernatorze!...

Znów popatrzyli sobie głęboko w oczy.

- Dobrze - odezwał się don Alvarez z westchnieniem. - Niech i tak będzie!

Po czym Zefirio pożegnał obydwu i pogalopował na swym mule ulicami Saragossy. Niebawem zatrzymał swego wierzchowca przed sklepem wyrobów farbiarskich i mydlarskich. Tutaj nabył pewną ilość sproszkowanego kwarcu, talku, kitu i oliwy. Schował torebki do troków i skierował muła do zajazdu.

W sali było rojno i gwarno. Zefirio usiadł przy jednym ze stolików i zamówił kolację. Spożył ją z całym spokojem, po czym wyciągnął ze swej przepaścistej kieszeni ciężki woreczek i wysypał całą jego zawartość na stół. W sali nastała cisza. Oczy oberżysty rozszerzyły się ze zdumienia na widok stosu złotych krążków.

- Oj, senor Zefirio - rzekł. - Nie wiedziałem, że jesteś takim bogaczem.

- To nie jest wcale tak trudno zostać bogaczem, trzeba tylko znać pewien sekret!

Przy sąsiednich stolikach siedzieli zakurzeni żołnierze i oficerowie don Alvareza, ci sami, którzy stanowili jego eskortę i byli świadkami sceny zamiany miedzianych i srebrnych monet na złoto!

- Zdradź mi ten sekret! - zawołał oberżysta, a oczy jego zabłyśły chciwością. - W zamian gotów jestem podarować ci cały mój zajazd wraz z oberżą!...

Ale Zefirio potrząsnął przecząco głową:

- Ślina zaschła mi w gardle od ciągłego mówienia - rzekł umyślnie głośno. - I nie zamierzam bynajmniej powtarzać mej tajemnicy każdemu z osobna. Gdybyś należał do straży pałacowej, senor, wówczas mógłbyś skorzystać podsłuchując dziś wieczorem pod drzwiami, podczas gdy ja nauczę jego ekscelencję gubernatora Aragonii sztuki wytwarzania złota. To nie jest takie trudne, należy tylko mieć dobrą pamięć i broń Boże, nie myśleć o Konstantynopolu! ...

- O Konstantynopolu? - zdumiał się oberżysta. - Nie rozumiem!

- I ja również nie rozumiem - oświadczył z zimną krwią młodzieniec, zgarniając złoto z powrotem do woreczka. - Nie rozumiem, ale wiem, że tak być powinno!

Po wypowiedzeniu tych zagadkowych słów wstał od stołu, rzucił oberżystę złoty krążek i wyszedł odprowadzany spojrzeniami wszystkich obecnych.

Zmierzchało, gdy zjawił się w pałacu.

Don Alvarez oraz don Carlo powitali go z nadskakującą uprzejmością.

Posadzono go przy stole zastawionym najlepszym jadłem i winem. Piękna senora Anita siedziała obok niego. Posyłał więc jej spojrzenia pełne uwielbienia. Spozstrzegł to zazdrosny małżonek. Targnął nim

szalony gniew, ale zduł się w sobie na myśl o złocie. Po kolacji senora Anita pożegnała się i wyszła udając się do swych apartamentów.

- No, a teraz, senor Zefirio - zagadnął don Alvarez - pokaż, na czym polega ta sztuka robienia złota!

Zefirio wyłożył na stół papierowe torebki. Za drzwiami rozległ się podejrzany szmer. Pod słuchując - pomyślał - tym lepiej, niech również i biedni żołnierze don Alvareza skorzystają z nadarzającej się okazji stania się bogaczami.

Głośno zaś rzekł:

- Tutaj znajduje się sproszkowany kwarc, w tej drugiej torebce jest talk, w trzeciej zwykły kit, a w tej butelce oliwa!...

- I z tego składa się kamień filozoficzny? - zapytał nieufnie don Carlo.

- Tak jest! - oświadczył Zefirio stanowczym tonem. - Z tych właśnie składników fabrykują kamień filozoficzny...

Don Alvarez wyśmiałby głupca, gdyby sam nie był naocznym świadkiem cudownego przemieniania przezeń różnych metali w złoto.

- Chętnie ci wierzę, czcigodny senor Zefirio, że można zrobić kamień filozoficzny z talku, kwarcu i kitu z oliwą - oświadczył. A ponieważ nie lubię, gdy mnie ktoś okłamuje, pozwolisz więc, że sprawdzę osobiście, czy rzeczywiście jest tak, jak mówisz!...

- Dlatego - wtrącił śpiesznie don Carlo - musisz nam powiedzieć, w jaki sposób to się robi!

- To proste - oświadczył Zefirio z całą powagą. - Urabia się te wszystkie składniki w młódku tak długo, aż powstanie jednolity, błyszczący kamień!...

- To wszystko? - zdziwił się don Alvarez.

- Nie!... Należy podczas tej czynności liczyć do dziesięciu tysięcy, przy czym nie wolno omylić się... Jeśli zajdzie omyłka w liczeniu, należy zaczynać od początku ... Poza tym nie wolno pracować w ciągu dnia. Z nastaniem świtu trzeba zaniechać tej pracy...

- A więc tylko podczas nocy?..

- Nie inaczej!...

- To wszystko?

- Nie!...

- Więc co jeszcze?

- Nie wolno myśleć o Konstantynopolu!...

Obaj dygnitarze otworzyli szeroko usta ze zdumienia.

- O Konstantynopolu?! - zawołali obaj jednocześnie.

- O Konstantynopolu! - potwierdził Zefirio stanowczym tonem. - W chwili gdy pomyśli się o Konstantynopolu, należy rozpoczynać liczenie od początku!

Don Carlo wyrzucił pięścią w stół i ryknął:

- Do diabła!... To chyba jakieś kpiny!... Należy liczyć do dziesięciu tysięcy i nie wiadomo dlaczego nie wolno pracować w ciągu dnia... Wszystko to jeszcze od biedy rozumiem, ale dlaczego nie wolno myśleć o Konstantynopolu? Niech mnie licho porwie, jeśli ja wiem, co to słowo oznacza?.. Słyszę je po raz pierwszy w życiu!

- Konstantynopol jest to stolica Turcji - tłumaczył cierpliwie Zefirio. - Mnóstwo tam alchemików, którzy za pomocą magicznych zaklęć usiłują stworzyć złoto, toteż nie wolno myśleć o tym. miłośnicy, gdyż wpływa to ujemnie na chemiczny skład kamienia filozoficznego! ...

Don Alvarez położył rękę na jego ramieniu.

- W porządku, senor Zefirio - rzekł zimnym tonem. - Spełnimy wszystkie przez ciebie podane warunki, ale biada ci, jeśli się nie uda! ...

- Musi się udać, jeśli tylko nie złamiecie żadnego warunku! - Zefirio zmierzał ku drzwiom. - Tymczasem dobranoc, senores, przyjdę po nowiny nad ranem, ale nie zapomnijcie, proszę, jednego: nie wolno pod żadnym pozorem myśleć o Konstantynopolu!

I zniknął za drzwiami.

Zjawa w pałacu

Jeden z wartowników pałacowych stał obok swej budki, wsparty o karabin, i sennie kiwał głową. Noc była ciepła i przepojona wonią kwiatów z pałacowego ogrodu.

Jeszcze pół godziny - myślał - po czym Bolata zmieni mnie na warcie. ...

W kilku oknach świeciło się światło.

Senora Anita Cevenna nie śpi jeszcze - rozmyślał sennie wartownik. Piękna to kobieta, dziwi mnie tylko, że wyszła za mąż za tego potwora...

Nagle otworzył szeroko oczy. Na balkonie pierwszego piętra ukazała się postać niewieścia otulona jasnym szalem. Była to senora Anita.

Podczas gdy pułkownik zajęty był fabrykowaniem złota w gabinecie gubernatora, piękna Anita nie mogła zasnąć. Wyszła więc na balkon, by odetchnąć świeżym powietrzem. W tym samym czasie pod murem przemknęła wysmukła postać. Z kocią zręcznością wspięła się po murze i po chwili dostała się na balkon.

Donna Anita krzyknęła i cofnęła się przestraszona.

- Kto to? - zawołała.

- Tss, przecudna senoro - rozległ się szept nocnego intruza. - To ja, Zorro!... Chciałem pomówić z tobą bez świadków!...

- Zorro!... - piękna Anita zadrżała. - Zorro? ...

- Wybacz mi moją śmiałość, senora - mówił zamaskowany gość i postąpił krok naprzód.

Żona pułkownika cofnęła się do swego pokoju i Zorro wszedł w ślad za nią.

A choć piękna kobieta drżała na całym ciele, to jednak z zachwytem obserwowała jego wysmukłą, sprężystą postać, oczy płonące poprzez otwory w masce oraz dwa rzędy śnieżnobiałych zębów lśniących w szerokim uśmiechu.

- Czego chcesz ode mnie, senor? - wyszeptwała. - Nie mam przecież ani złota, ani drogocennych kamieni ..,

Zorro roześmiał się wesoło.

- Piękna senoro - odparł - nie przyszedłem zabierać ci czegokolwiek... Zupełnie inny powód sprowadza mnie do ciebie o tak niezwykłej godzinie... Wiem, że jesteś żoną pułkownika Carla Cevenny, który przybył tutaj na specjalne życzenie don Alvareza... Przybył, by gnębić biedaków i nędzarzy, by pogrążyć ich w jeszcze większej nędzy i rozpaczy... Otóż zwracam się do ciebie, gdyż wiem, że ty jedna masz wpływ na niego...

- Więc czego żądasz, senor?

- Żądam, byś nie pozwoliła mu popełniać okrucieństw wobec Aragończyków ...

- Nie wtrącam się do spraw mego męża - wyszeptwała przyciskając silnie bijące serce. - Doprawdy nie znam się na tym!...

- Ale obecnie powinnaś się wtrącać, senora. - Zorro ujął jej drżącą rękę i podniósł do ust. - Sądzę, że nie jest tu potrzebna zbyt wielka umiejętność, by współczuć biedakom i nieszczęśnikom. Liczę więc na ciebie, piękna Anita, nie chciałbym bowiem osobiście wywierać presji na twego małżonka...

Donna Anita nie odczuwała obecnie najmniejszego strachu. Odwrotnie, jakaś tajemnicza siła pociągała ją jak magnes ku niemu.

- Postąpię, jak każesz, senor Zorro - rzekła cichym głosem i zbliżyła się ku niemu. - Ale pod jednym warunkiem!...

-Jaki to warunek?

- Że zdejmiesz maskę na chwilę i ukazesz mi swe prawdziwe oblicze... Przysięgam, że pozostanie to moją tajemnicą, którą zachowam do grobu!

Wartownik poznał zwinną postać Zorry. Wiedział jednak, że ani on, ani też jego towarzysz nie zdołają nigdy schwytać go, jeśli obudzą jego czujność! Dlatego też cicho pobiegł do wejścia i wbiegł na górę, kierując się w stronę gabinetu gubernatora.

Zawahał się, ale jednak zaraz zdecydowanie zapukał do drzwi. Nikt mu nie odpowiadał. Żołnierz widział światło sączące się przez dziurkę od klucza i był przekonany, że don Alvarez znajduje się w swym gabinecie. Schylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza. Oczom jego ukazała się dziwna scena. Na biurku stały dwa moździerz. Don Alvarez oraz don Carlo, obaj bez kurtek, mieszały coś zawzięcie, a pot obfity

ściekał po ich twarzach.

Wartownik przyłożył ucho do drzwi i usłyszał:

- Sześć tysięcy siedemset trzydzieści cztery, sześć tysięcy siedemset trzydzieści pięć - liczył don Alvarez, a don Carlo wtórował.

- Carramba! - ryknął nagle don Alvarez, ciskając tłuczek w najwyższej pasji. - Znów ten przeklęty Konstantynopol... ani rusz nie mogę przestać o nim myśleć... Znów muszę zaczynać liczenie od początku...

Don Carlo jęknął:

- Gubernatorze, po co mi przypomniałeś o Konstantynopolu...

Cała moja praca na nic...

- I pomyśleć, że wczoraj jeszcze nie wiedziałem o istnieniu takiego miasta - pinił się don Alvarez.
- Ten przeklęty Zefirio wbił mi klina w głowę...

- I mnie również... Turcja, haremy oraz to miasto nie wychodzą mi po prostu z głowy...

Zacząli liczyć od początku.

Wartownik podrapał się w głowę.

- Carramba! - mruknął. - Całkiem powariowali ci obaj! Pchnął drzwi i wpadł jak bomba, wołając:

- Zorro jest w pałacu, gubernatorze!...

Don Alvarez zadrżał, ale nie przestawał liczyć.

- Wlaził przez balkon do pokoju senory Cevenny! - wołał dalej żołnierz.

Don Carlo zatrząsł się cały, ale i on również nie przestał ani na chwilę mieszać w mózdzierzu, wymawiając jednocześnie liczby.

Wartownik widząc, że nic tutaj nie wskóra, pobiegł do dyżurnego oficera. Ale i ten również tłukł zapamiętałe w mózdzierzu, wymawiając głośno liczby.

Ta sama scena powtórzyła się u wszystkich oficerów don Alvareza.

Wszyscy poszaleli w ciągu jednej nocy - jęczał biedak. - Czary czy co do licha?

Pobiegł z kolei do sierżanta, który nic nie wiedział o sekrecie kamienia filozoficznego, bo był tego dnia pijany i teraz spał. Lecz na wieść o obecności Zorri w pałacu, zerwał się jak oparzony i przypinając w pośpiechu szablę oraz pistolet, pognął do wartowni. Ogłoszono alarm: Sześćdziesięciu żołnierzy otoczyło pałac, zachowując największą ostrożność. Ale sierżant zbyt dobrze wiedział, kto to jest Zorro, by miał się tym zadowolić. Posłał więc gońca do pobliskich koszar. Niebawem przybyły posiłki w liczbie trzystu żołnierzy. Zapalono kilkadziesiąt pochodni. Obecnie pałac zdawał się być otoczony płomiennym kołem.

Kilku odważniejszych żołnierzy zaczęło wspinać się na balkon, podczas gdy inni pobiegli w stronę wejścia do apartamentów senory Anity. Ale Zorri nie było w jej pokoju. Opuścił go udając się prosto do skarbcza gubernatora. Co chwila przystawał po drodze i nadśluchiwał pod drzwiami.

- Trzy tysiące pięćset dwa... trzy tysiące pięćset trzy... Carramba, ten przeklęty Konstantynopol! - dolatywały go różne głosy.

- Robią złoto - wyszeptał uśmiechając się wśród ciemności. - Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak uczynić to samo!...

Wślizgnął się do pokoju, gdzie znajdowała się pancerna kasa don Alvareza. Wyjął klucze i zaczął manipulować przy zamku. Nagle na korytarzu rozległy się podniecone głosy oraz tupot biegnących ludzi.

- Czyżby piękna Anita zdradziła mnie? - zdziwił się Zorro. - Nie, ona na pewno mnie nie zdradzi... Jeden z wartowników musiał mnie dostrzec!...

Otworzył drzwi kasy i po omacku odnalazł ciężką szkatułkę.

- Mam skarb pocziwego don Alvareza! - zawołał półgłosem. - Teraz może mnie ścigać choćby cała armia królowej!...

Podbiegł do okna, ale cofnął się na widok migotliwego światła pochodni.

- Regularne oblężenie! - śmiał się. - Zmobilizowano chyba z pół tysiąca ludzi dla mej skromnej osoby... Sądzę, że nawet mysz nie zdołałaby się wymknąć...

Pałac był otoczony wojskiem, a oficerowie pałacowi oraz żandarmi przebiegali sale i korytarze we wszystkich kierunkach.

Od pochodni i latarni zrobiło się jasno jak w biały dzień. - Nie ma. go tutaj! - rozlegały się okrzyki w sąsiednich salach. - Szukajcie dalej!...

- Trzymajcie pistolety i szpady w pogotowiu! - nawoływali oficerowie - Strzelać, gdy tylko go ujrzyście!...

Zorro skoczył ku drzwiom wychodzącym na korytarz. Ale i tutaj byli żołnierze. Cofnął się więc i w kilku susach dopadł do drzwi z lewej strony sali. Lecz i za tymi drzwiami rozlegały się podniecone głosy jego prześladowców. Zrozumiał, że wpadł w potrzask. Gdyby nie zapalone pochodnie, otaczające zewsząd pałac morzem światła, z łatwością by się wymknął, korzystając z nocnych ciemności. Cóż jednak mógł działać przeciwko setkom gotowych do strzału strzelb i pistoletów oraz przeciwko dziesiątkom szabel wzniesionych do ciosu? A jednak pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa Zorro nie przestawał się śmiać. Podobała mu się mimo wszystko ta niebezpieczna sytuacja, w jakiej znalazł się po raz pierwszy w życiu. Dostarczała mu sporo emocji. Był gotów podjąć walkę sam jeden przeciwko tym setkom uzbrojonych ludzi.

Pancerna kasa don Alvareza znajdowała się w wielkiej sali. Zorro uniósł głowę i dostrzegł w górze rzeźbioną galeryjkę biegnącą wzdłuż ścian. Tak, ale w jaki sposób tam się dostać? Ciężka szkatuła była mu zawadą; Nie miał jednak zamiaru jej się pozbywać.

Galeryjka spoczywała na wysmukłych kolumnkach. Zorro jednym skokiem dopadł kolumny i zaczął się wspinać. Było to trudne niezmiernie, ponieważ w jednej ręce trzymał ciężką szkatułę. Na szczęście drewniana kolumnienka nie była gładka, lecz misternie rzeźbiona, na sposób mauretański, w różne esy i floresy. To ułatwiło mu wspinanie się. Niebawem stał na galeryjce. Był już najwyższy czas, gdyż wszystkie drzwi otwały się i do sali wdarł się tłum uzbrojonych ludzi. Zrobiło się jasno od niesionych latarni i pochodni.

- Skarbiec otwarty! - ryknął jeden z żandarmów. - Zorro był tutaj przed chwilą!

- Szukajcie go! - rozległ się okrzyk jednego z oficerów. - Musi być tutaj!...

Ledwie wypowiedział te słowa, gdy nagle w górze rozległ się dźwięczny, młodzieńczy śmiech. Wszystkie głowy, jakby pociągnięte niewidzialnym sznurkiem, uniosły się w górę. Zorro stał oparty niedbale o rzeźbioną barierę galeryjki i śmiał się bez troski.

- Jestem tutaj! - zawołał. - Chwytajcie mnie, jeśli potraficie. ...

Kilkanaście luf uniosło się w górę. Zanim jednak zagrzmiały wystrzały, Zorro cofnął się, przebiegł kilka kroków i zatrzymał się przed niewielkimi drzwiami. Były zamknięte na klucz.

- Strzelajcie! - rozległ się rozkaz. - A celujcie dobrze!... Nie ujdzie nam teraz!...

Rozległy się wystrzały. Ale żołnierze byli silnie podnieceni, a bariera, przesłaniając częściowo postać człowieka w masce, utrudniała im celowanie, tak więc ani jedna kula nie trafiła.

A tymczasem Zorro nie próżnował... Z całej siły wyrzucił ciężką szkatułę w drzwi, posługując się nią jak taranem. Drzwi ustąpiły. Jednym susem znalazł się w wąskim korytarzu. Lecz z lewej strony pędzili już ludzie. Pobiegł więc na prawo. Nie uszedł jednak daleko, gdyż u wylotu korytarza z prawej strony również ukazali się żołnierze z pistoletami i szablami. Wzięty w dwa ognie zatrzymał się przed drugimi drzwiami na korytarzu i powtórzył tę samą operację. Trzasnął z całych sił stalową szkatułą. Rozległ się trzask łamanego drewna. Przejście było wolne. Zorro znalazł się w ciemnym, podłużnym pokoju. Przebiegł przezeń, zmiierzając w stronę przeciwnych drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wypadł na galeryjkę biegnącą dookoła jasno oświetlonej sali. Przechylił się przez barierę i ujrzał dwóch ludzi na dole. Stali przy wielkim biurku i zawzięcie mieszały w moździerzach. Byli to gubernator don Alvarez oraz pułkownik don Carlo Cevenna.

- Trzysta sześćdziesiąt dwa - mamrotał don Alvarez, ledwie trzymając się na nogach. - Carramba, nie tak łatwo robić złoto... Trzysta sześćdziesiąt trzy...

- Dwa tysiące sto dwanaście - liczył przy swoim moździerzem don Carlo, a pot strugami spływał po jego twarzy. - Dwa tysiące sto trzysta...

- Dwa tysiące sto czternaście... - zawołał Zorro. - Dwa tysiące sto piętnaście... Pozwól, pocziwy mój pułkowniku, że pomogę, ci w liczeniu!...

Dwie pary błędnych oczu spojrzały w górę na niego. Zorro nie miał jednak czasu do stracenia. Tuż za nim rozlegał się tupot biegnących ludzi. Spojrzał na dół. Z galeryjki zwieszała się ciężka, długa draperia. Decyzja jego była szybka jak piorun. Przełożył nogę przez barierę, następnie wyciągnął zza pasa szeroki nóż, wbił go w draperię i skoczył. Zawisł w powietrzu, trzymając się lewą ręką noża wbitego w draperię. Ostrze pod naciskiem ciężaru ciała zaczęło pruć grubą materię. I w ten sposób, rozcinając ją od góry do dołu,

Zorro najspokojniej w świecie zjechał na dół. Gubernator pozieleniał i zatrząsł się cały, don Carlo wpił w zamaskowanego intruza straszliwe swe spojrzenie, lecz żądza złota była ponad strach i obowiązek.

- Trzysta osiemdziesiąt pięć - wymawiał ochryplym głosem don Alvarez.

- Trzysta osiemdziesiąt sześć - pomógł mu usłuźnie Zorro. - A teraz, dzielny mój gubernatorze, weź, proszę cię, w rękę moździerz, gdyż odbędziesz wraz ze mną wędrówkę poprzez zastępy wrogów! - Chwył go za kołnierz. Zgrzytając zębami don Alvarez ujął moździerz, nie przestając mamrotać liczb. - A ty pułkowniku - zwrócił się do Carla Cevenny - będziesz osłaniał moje tyły... Prędeż, śpiesz się, jeśli nie chcesz, bym ci wpakował pół stopy stali pod piątą żebro!...

Skutek tych słów był zdumiewający. Straszliwe oczy don Carla miały pioruny gniewu; pomimo to ujął swój moździerz i nie przestając mieszać, posłusznie stanął obok Zorry.

I w ten sposób rozpoczął się najdziwniejszy w świecie pochód. Człowiek w masce szedł pomiędzy dwoma dygnitarzami nie przestającymi mieszać w moździerzach. A dookoła uzbrojeni ludzie w uniformach miotali się w paroksyzmie wściekłości. Mieli przed sobą znenawidzonego Zorrę, a nie mogli doń strzelać w obawie, że trafią w don Alvareza, który kroczył przed Zorrą, albo w don Carla, idącego tuż za nim. A Zorro szedł śmiejąc się głośno, w prawej ręce trzymał ciężką, stało.wą szkatułę, a w lewej ostry, błyszczący nóż.

- Jeśli ktokolwiek zbliży się do mnie - mówił - wyda tym samym wyrok śmierci na gubernatora o..

Mijali właśnie apartamenty przeznaczone dla don Carla. Piękna Anita stała w otwartych drzwiach i okrągłymi ze zdumienia oczami spoglądała na ten fantastyczny orszak rozwijający się przed nią. Ujrzała gubernatora oraz swego męża, bladych, znużonych, o przekrzywionych strachem i wściekłością twarzach, kroczących środkiem korytarza, z moździerzami w rękach. Ujrzała również tajemniczego Zorrę, kroczącego pomiędzy nimi, z wesołym uśmiechem na ustach.. A za nimi postępował, w przyzwoitej odległości, tłum pieniających się żandarmów i strażników pałacowych.

Mijając pułkownikową, Zorro skierował w jej stronę oczy, błyszczące poprzez otwory w masce, i zawołał:

- Adios, senora Anita!... Opuszczam cię z prawdziwym żalem, lecz jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć, to przyjdź w najbliższą niedzielę na główny plac Saragossy... Przynies z sobą kastaniety, gdyż zatańczymy fandango... I wierz mi, że będzie to najbardziej płomienne fandango, jakie kiedykolwiek w życiu tańczyłaś! ...

Donna Anita nie ruszyła się z miejsca. Zorro dawno już oddalił się wraz ze swoją dziwną świtą, a ona stała wciąż jak zaczarowana. Niebawem do uszu jej doszedł donośny okrzyk Zorry, który szczęśliwie przebył potrójny kordon żołnierzy otaczających pałac..

- Żegnajcie, drodzy moi przyjaciele! - wołał znikając w ciemnościach nocy. - Niestety, muszę już was opuścić. Gdybyście chcieli jednak mnie odnaleźć, to chyba tylko w ... Konstantynopolu!...

- Carramba! - rozległ się w odpowiedzi podwójny ryk wściekłości. -Przeklęty Konstantynopol... Musimy znów rozpocząć liczenie od początku!

Katusze zazdrośnika

W drugą niedzielę lipca przypadała trzydziesta trzecia rocznica panowania królowej Izabelli, a jednocześnie trzydziesta szósta rocznica jej urodzin. Podwójną tę uroczystość rząd postanowił obchodzić w całej Hiszpanii z niebywałym rozmachem.

Wielkorządcy poszczególnych prowincji otrzymali polecenie przyozdobienia miast girlandami. Poza tym włożono na nich obowiązek dostarczenia bezpłatnie wina dla ludzi. Rozkaz brzmiał wyraźnie: "Nie żałować napojów - wino powinno lać się strumieniami. Beczki z winem mają być ustawione na placach i skrzyżowaniach ulic, ale przy każdej beczce musi być strażnik, który będzie pilnować, by mieszkańcy nie zabierali wina do domu, lecz pili na miejscu".

Don Alvarez przyjął ten rozkaz ze ściśniętym sercem, ponieważ wszelkie koszty uroczystości musieli pokrywać wielkorządcy z własnej kieszeni.

Zorro zabrał mu owej pamiętnej nocy sporo złota, co stanowiło dlań dotkliwą stratę; sfabrykowanie sztucznego złota nie udało się, ale don Alvarez nie miał o to pretensji do Zefiria, gdyż sam ponosił całkowitą winę, nie mógł bowiem pozbyć się natrętnej myśli o Konstantynopolu, podczas gdy ucierał substancję w moździerz. A teraz jeszcze należało dostarczyć wina hałastrze, którą chętnie powywieszałyby co do

ostatniego, gdyby nie potrzebni mu byli płatnicy podatków.

Uroczystość zapowiadała się okazale. Co prawda lud nie lubił królowej ani jej ministrów, natomiast lubił wino, szczególnie bezpłatne.

W niedzielę, z samego rana, zaczęli się zjeżdżać do Saragossy okoliczni mieszkańcy, na osłach, koniach, mułach i na wozach. Nie brakowało również Zefiria, Porfiria i Malibrana, którzy czuli się wśród rozbawionego tłumu jak ryby w wodzie.

Żadna uroczystość hiszpańska nie może się obejść bez tańców. Toteż na ulicach i placach potworzyły się koła, jakby spod ziemi wyrosli gitarzyści oraz zjawiły się kastaniety w rączkach czarnookich seniorit. Tańczono z zapalem ogniste bolero, zawrotne fandango oraz inne nie mniej porywające ludowe tańce hiszpańskie.

A tymczasem w koszarach garnizonu Saragossy odbywały się gorączkowe przygotowania. Żołnierze i żandarmi sprawdzali broń. Don Alvarez wydawał śpieszne rozkazy, a don Carlo grupował żołnierzy i małymi oddziałami wysyłał ich na miasto.

Miało się odbyć polowanie na Zorrę; spodziewano się bowiem, że zgodnie z jego zapowiedzią zjawi się na rynku, by zatańczyć fandango z donną Anitą.

Wreszcie przygotowania zostały ukończone i don Carlo pośpieszył do swej żony. Nie zastał jej jednak w domu.

Udała się na umówione spotkanie z Zorzą - przemknęło mu przez głowę!

Pogalopował z powrotem do koszar.

- Ona już tam jest! - zawołał zwracając się do don Alvaraza. - Tylko patrzeć, jak Zorro zjawi się również!...

- Naprzód więc! - wrzasnął gubernator. - Tym razem musimy go zdybać! ...

Zastano piękną Anitę na głównym placu. Tańczyła bolero z Zefirio który - wpatrzony w nią czule - potykał się co chwila, deptał jej po nogach i w ogóle jako tancerz nie spisywał się dobrze. Toteż dookoła rozlegały się wybuchy głośnego śmiechu. Raz po raz jakiś tancerz poklepywał go po ramieniu, wołając:

- Brawo, Zefirio!...

- Staraj się, chłopcze!...

- Naucz nas tańczyć równie pięknie, przyjacielu!...

Zefirio uśmiechał się z zadowoleniem, kłaniał się wdzięcznie swym admiratorom i pragnąc się popisać, ze zwiększonym zapalem podwajał swe dzikie skoki.

- Czy nie dosyć tej zabawy? - zapytała wreszcie Anita. - Doprawdy jestem śmiertelnie znużona! ...

- O, cudna senoro... - zaczął Zefirio, ale urwał nagle, poczuł bowiem na swym ramieniu czyjąś ciężką dłoń.

Obejrzał się i odskoczył jak oparzony. Przed nim stał mężczyzna w masce, głowę miał owiniętą czarną chustą.

- Ja zatańczę z senorą - oświadczył głuchym głosem. - Zmiataj stąd, senor!...

Śmiechy umilkły. Tańczące pary zatrzymały się.

- Zorro! ... Zorro! - rozległy się szepty. - Zorro się zjawił!... Senora Anita drżała na całym ciele. W głowie jej się kręciło.

Podążyła ręką zamaskowanemu mężczyźnie. Gitarzyści uderzyli w struny, zaterkotały w takt kastaniety; fandango się rozpoczęło. A gdy przestraszony Zefirio wycofał się przezornie z tłumu, don Carlo dał znak swym ludziom.

- Senora Anita znajduje widocznie przyjemność tańcząc z tym bandytą - oświadczył zjadliwie don Alvarez. - I niech mnie kartacze rozniosą, jeśli on pozwoli się schwytać... Znam jego piekielne zamiary!...

- Naprzód! - wrzasnął don Carlo. - Brać go!...

Żołnierze rzucili się naprzód jak jeden mąż. Kilkanaście par rąk uczepliło się człowieka w masce.

- Mamy go! - zagrział don Carlo z dzikim triumfem. - Zerwać mu maskę! ...

Zdarto maskę z twarzy schwytanego. Ukazała się tępa, płaska twarz wieśniaka.

- Toż to jest La Huerta, woziwoda! - rozległy się okrzyki widzów. - Cha, cha, cha, ładny z niego Zorro!...

Piana wystąpiła na ustach don Alvaraza.

- Nędzniku! - wrzasnął przyskakując doń z zaciśniętymi pięściami. - Będziesz dyndał u mnie na

szubienicy... Co za głupie żarty trzymają się ciebie?

Woziwoda padł na kolana i wyciągając błagalnie ręce, zawołał płaczącym głosem:

- Litości, senor!... Przysięgam, że jestem niewinny... Zorro schwytał mnie na drodze i kazał udawać siebie... Bałem się, że utnie mi głowę, jeśli nie wykonam jego rozkazu...

- Zabrać go do twierdzy - rozkazał don Carlo. - Zobaczymy, czy mówi prawdę!... - Cicho zaś dodał, zwracając się do gubernatora: - Możliwe, że jest to podstęp Zorry, by uspić naszą czujność!... Anito - rzekł do swej żony - proszę cię, nie psuj sobie zabawy... Zorro został schwyty, wobec tego możesz nadal bawić się spokojnie, podczas gdy ja będę czuwać nad twoim bezpieczeństwem.

Cofnął się nieco, mieszając się z tłumem, by nie być widziany.

Podobnie uczynił don Alvarez okrążony swymi żołnierzami.

Donna Anita była w okropnym humorze. Incydent z fałszywym Zorrą zgasił całą jej radość. Zakpił sobie ze mnie! - pomyślała z goryczą.

Zbliżył się do niej gruby Malibrán i zaprosił do tańca. Ledwie jednak wykonali kilka kroków, gdy serce jej zaczęło bić gwałtownie w piersi, ujrzała bowiem człowieka w masce, przedzierającego się przez tłum w jej stronę... Ubrany był nieco inaczej niż jego poprzednik, ale czarna maska zasłaniała górną połowę twarzy, a czarna chusta otulała głowę.

Don Alvarez chwycił rękę don Carla i ścisnął ją mocno.

- Ten to na pewno Zorro! - wyszeptał. - Pułkowniku, uważaj!

Człowiek w masce odepchnął bezceremonialnie Malibrána i objął w pół senorę Anitę. W tej samej sekundzie na dany rozkaz żołnierze rzucili się nań, schwyтали go za ręce i nogi, wywrócili wspólnym wysiłkiem na ziemię i zdarli maskę...

- Cha, cha, cha! - rozległy się wybuchy śmiechu. - Toż to jest Pablo Lajardo, oberżysta z Leridy!...

- Sangre de Dios! - zawył don Carlo. - Zorro zakpił z nas powtórnie! ... Do twierdzy!...

- Jestem niewinny - jęczał biedny oberżysta. - Przysięgam, że jestem niewinny. Zorro schwytał mnie na drodze i...

Ale żołnierze powlekli go z sobą i dalsze jego słowa zginęły w ogólnym tumultcie.

- Chodźmy stąd - rzekł posepnie don Alvarez. - Nic tu po nas!... Zorro jest zbyt sprytny, by przybyć tutaj osobiście!...

- Chodźmy do domu, Anito - rzekł don Carlo, dygocąc z hamowanej wściekłości. - Ten przeklęty rabuś popsuł ci, jak widzę, całą zabawę!...

Na ulicy przylegającej do pałacu również było pełno ludzi. Anita szła przodem. Nagle ktoś chwycił ją za rękę. Obok niej wyłonił się mężczyzna w masce, który rzekł krótko:

- Zatańczmy fandango, piękna senoro!...

Ale żona pułkownika miała już dość tej zabawy. Wyrwała swoją rękę i zawołała gniewnie:

- Zostaw mnie w spokoju, senor! Już na sam widok maski dostaję mdłości!

W tej samej sekundzie don Carlo, rycząc jak zraniony tygrys, podbiegł doń i zerwał mu maskę z twarzy. Spojrzały nań wyleknione oczy ospowatego mężczyzny, który nie miał w sobie nic z bandyty.

- Do twierdzy z nim! - krzyknął don Carlo, zwracając się do swych ludzi. - Ja was wszystkich nauczę, wy kiepscy żartownisie...

Donna Anita biegła naprzód, jakby ją goniło sto diabłów, a don Carlo oraz don Alvarez ledwie mogli nadążyć za nią.

Następny zamaskowany mężczyzna, który ją zaczepił, otrzymał siarczysty policzek i od razu powędrował do celi, pod eskortą sześciu żołnierzy.

Obecnie wojskowa eskorta zmalała do niewielkiej liczby ludzi.

- Nienawidzę go, nienawidzę - szeptała rozgoryczona niewiasta, podążając w stronę pałacu.

Mijała niewielki plac. I tutaj również wino lało się strumieniami, rozlegały się dźwięki gitar i kastanietów, a ludzie tańczyli. Była koło rusztowań nowo budującego się domu, gdy wtem coś czarnego mignęło przed nią w powietrzu. Z góry zwieszała się gruba lina służąca zazwyczaj murarzom do wciągania cegieł i wapna na górę. Wysmukła postać w czarnym, obcisłym ubiorze zsunęła się po niej i stanęła przed pułkownicową.

- Hola, donna Anita! - zawołał zamaskowany, ukazując śnieżnobiałe zęby w szerokim uśmiechu. - Wybacz mi, proszę, że tak długo kazałem ci czekać na siebie... Nie mogłem jednak postąpić inaczej, bowiem

towarzyszyło ci zbyt wielu uzbrojonych wojowników... Pocieszam się jednak myślą, że nie chcąc byś się nudziła, posłałem ci tymczasem kilku swych zastępców!...

Piękna Anita zadrżała. Obecnie nie miała najmniejszej wątpliwości, że tym razem stał przed nią prawdziwy Zorro.

- Czy gniewasz się, o piękna Anito? - Zorro ujął jej drżącą rękę i wciągnął ją pomiędzy tańczące pary. .

- Nie, nie gniewam się - wyszeptwała - ale błagam cię, uciekaj, gdyż mój mąż oraz don Alvarez_ podążają za mną!...

- Wiem o tym! - odparł Zorro. - Ale bądź spokojna, nic złego mi się nie stanie!...

Zaczęli tańczyć fandango. A choć piękna Anita tańczyła je setki razy, to jednak nigdy jeszcze nie odczuwała takiej rozkoszy w tańcu.

- Cudnie tańczysz, Zorro! - wyszeptwała przytykając oczy. - W głowie mi się kręci... Jestem pijana. A przecież nie piłam...

- To fandango upaja cię, senora! - rzekł Zorro.

Wtem nad uchem Zorrry rozległ się gniewny okrzyk:

- Do twierdzy jego również! - wołał don Carlo. - Już ja cię nauczę udawać Zorrę, ty głupi błaznie!

...

I jego chude, zakrzywione jak szpony palce, sięgnęły po maskę, by ją zedrzeć... Nie zdążył jednak dokonać tego, w tej samej bowiem sekundzie żelazna dłoń wpiła się w przegub jego ręki, wykręciła ją i odepchnęła z taką siłą, że pułkownik wyrzucił głowę o pierś don Alvaręza, po czym don Carlo padł ogłuszony. Obaj zatoczyli się jak pijani.

- Żołnierze, do mnie ... do mnie!... - wył gubernator. - Prędko, do tysiąca piorunów!... Chwytać go... łapać!...

Żołnierze pędzili na pomoc. Wystraszony tłum rozproszył się. Muzykanci nie zdążyli jednak uciec tak szybko. W chwili gdy jeden z nich przebiegał obok Zorrry, ten wydarł mu gitarę z ręki i rąbnął nią w głowę Alvaręza. Dzielny dygnitarz zamilkł wreszcie i miękko usiadł na ziemi, z trudem chwytając oddech.

- Senora - zwrócił się Zorro do swej uroczej partnerki - nie dokończyliśmy naszego fandanga!...

- I wątpię czy dokończymy - odpowiedziała Anita, wskazując nadbiegających żołnierzy. - Sądzę, że oni nam nie pozwolą...

- To zależy tylko od ciebie, senoroL..

- Chciałabym - uśmiechnęła się rozbawiona - choćby przez wzgląd na mego czcigodnego małżonka... O patrz, już podnosi się.

Rzeczywiście, don Carlo oszołomiony na chwilę, podnosił się z trudem.

- Nic nie szkodzi, senora! - odparł Zorro beztrąsko, nie racząc nawet rzucić okiem w stronę nadbiegających żołnierzy. - Jeśli tylko życzysz sobie, damy jakoś radę!...

- Jestem ciekawa!...

- To proste, lecz musisz udawać zemdloną!...

- Dobrze! - zgodziła się ochotczo, po czym jak najwytrawniejsza aktorka wydała przeraźliwy okrzyk, zatrzepotała rękami w powietrzu i zachwiała się, bliska upadku.

Zorro chwycił ją wpół, zarzucił jak piórko na ramię i w kilku susach dopadł rusztowania budującego się domu. Dalszy ciąg był dlań fraszką. Zaczął wspinać się zwinnie w górę, tuż przed nosem uzbrojonych ludzi don Alvaręza..

Gubernator widząc, że zdobycz wymyka mu się chyba po raz setny, odchodził po prostu od zmysłów.

- Strzelajcie do niego! - wrzasnął purpurowy z gniewu. - Na co czekacie, tchórze, nędznicy?

Wołania te podziały na don Carla jak iskra w becze prochu. Ryknął jak zraniony lew i skoczył ku żołnierzom, którzy brali na cel pnącą się po rusztowaniu zwinną postać Zorrry.

- Łotry, kanalie! - pienił się. - Temu, kto pierwszy wystrzeli, łeb roztrzaskam!... Chcecie zastrzelić moją żonę?.. Ja was tu zaraz wszystkich powystrzelam jak kaczki! ...

- Rozkaz gubernatora! - mruknął jeden z żołnierzy, podczas gdy inni spoglądali nań niezdecydowanie.

- Rozkaz gubernatora? - don Carlo nie panował już nad sobą. - Taki gubernator, co dybie na życie

mojej żony, niech mnie ...

- Pułkowniku! - don Alvarez był błądy z wściekłości. - Uważaj na swoje słowa! ... Nie zapominaj, że wypowiadasz je w obecności żołnierzy...

Ale don Carlo był już przy rusztowaniu i zaczął wspinać się z istic małpią zręcznością. Wściekłość i zazdrość dodawały mu nadludzkie niemal siły. Tam na górze Zorro uprowadzał jego uroczą Anitę... Gdyby w tej chwili don Carlo dopadł go, czuł, że rozszarpałby bezczelnego uwodziciela na drobne kawałki.

Ale z każdą sekundą krwiożercze zamiary stawały się coraz bardziej niewykonalne.

Zorro znikł we wnętrzu domu.

- Otoczyć dom! - krzyknął don Alvarez.

Nie było to jednak takie łatwe, albowiem nowo budujące się domostwo sąsiadowało z szeregiem innych domów.

W ślad za don Carlem pieli się inni żołnierze.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie znikł Zorro, ujrzeli nagie mury związane pośrodku belkami. Belki te biegły od muru do przeciwnego muru. Miały służyć jako wiązadło do przyszłego dachu.

Zorro szedł po wąskiej belce ze swym ciężarem na ramieniu. Szedł spokojnie, jak gdyby poruszał się po ziemi, zachowując niezachwianą równowagę.

- Łotrze! - krzyczał don Carlo, zatrzymując się przed belką. - Wróć natychmiast... Runiesz i zabijesz moją żonę!...

Zorro docierał już do przeciwnego muru.

- Jeśli zależy ci tak bardzo na niej, więc przyjdź po nią tutaj! - zawołał w odpowiedzi.

Don Carlo postawił nogę na wąskiej belce. Spojrzał jednak w dół i czym prędzej cofnął nogę, w głowie mu się zakręciło.

Zorro dostał się na szczyt muru.

- Zwrócę ci donnę Anitę, jeśli mi przyrzekniesz, że natychmiast powrócisz do Madrytu i zapomnisz na zawsze o Aragonii!...

- Nigdy, przenigdy! - wrzasnął don Carlo. - Wolę już zostać wdowcem! ...

Anita poruszyła się i otworzyła oczy.

- Ach, to niegodziwiec! - szepnęła oburzona. - Czekaj, drogi Carlo, już ja ci się odplacę!... Wdowcem jak wdowcem, ale rogi to już będziesz miał na pewno, mój ty kochający małżonku!...

Wizyta ministra

Wieść o uprowadzeniu żony don Carla rozniosła się po Aragonii lotem błyskawicy. Zwolennicy Zorry śmieli się po cichu, a jego przeciwnicy głośno się oburzali..

Don Carlo szalał. Na czele silnego oddziału przebiegał okolicę we wszystkich kierunkach. Więzienia zaczęły się zapelniać. Nie mogąc wyładować swej wściekłości na tajemniczym rabusiu, mścił się na bezbronnych biedakach. Najmniejsza denuncjacja lub rzucona potwarz o współnictwo lub sprzyjanie jeźdźcy w masce wystarczały, by don Carlo potłukł dotkliwie Bogu ducha winnego człowieka i wtrącił go do więzienia.

A tymczasem po uroczej Anicie wszelki ślad zaginał. Opowiadano sobie na ucho, że w dniu porwania Zorro wy dostał się z nie wykończonego domu na sąsiednie dachy kamienic, przy czym sunął po nich prędzej niż żołnierze ścigający go ulicami miasta. Opowiadano również, iż w jednej z cichych, bezludnych uliczek miał przygotowanego konia. Zdążył go dopaść i smagając wszystkich po drodze swym straszliwym biczem z bawolej skóry, bezkarnie opuścił miasto, po czym znikł wśród skał.

Odtąd wszelki ślad po nim zaginał.

Don Carlo poprzysiągł mu straszliwą zemstę, lecz tymczasem mścił się na Aragończykach.

Tak się rzeczy miały, gdy don Alvarez otrzymał wiadomość, że sam wszechwładny minister królowej, don Alonzo Estebarra przybywa do Saragossy.

Gubernator postanowił godnie przyjąć dostojnika, choć niezbyt był zadowolony z tej wizyty. Domyślał się jej przyczyny, toteż pierwszą jego czynnością było uporządkowanie skarbcza. Usunął wszelkie kompromitujące ślady nadużyć, spalił kwity, pochował te księgi rachunkowe, które mogłyby go zdradzić, potem wydał polecenie, by reprezentacyjny teatr Saragossy wystawił na cześć dostojnika jakąś piękną operę.

Dyrekcja teatru umieściła na afiszu operę Rossiniego, przyozdobiła sufit widowni olbrzymimi girlandami i festonami, po czym spokojnie oczekiwała wizyty ministra.

Don Alonzo przybył otoczony liczną świtą. Cała śmietanka Aragonii wyległa mu naprzeciw. Płatni manifestanci ustawili się wzdłuż przyozdobionych ulic, wznosząc gromkie okrzyki na jego cześć.

Świetny orszak zatrzymał się przed rezydencją gubernatora i don Alonzo wysiadł z karety.

Gdy minister wszedł do pałacu, spojrzenie jego zatrzymało się na ponurej twarzy don Carla, który skłonił się nisko przed nim.

Don Alonzo poklepał go łaskawie po ramieniu.

- No i cóż, mój dzielny pułkowniku - zapytał ze współczuciem. - Żona się odnalazła?

- Nie! - mruknął don Carlo i westchnął.

- Żał mi ciebie, przyjacielu! ... Czyż nie masz żadnej nadziei, że ją odnajdziesz?

Don Carlo zacisnął pięści.

- Ach, zemsta... zemsta, senor! - warknął. - Ta jedyna nadzieja mi pozostała!...

Minister pokiwał głową.

- To mało - odparł ujmując go pod rękę. - Chodź ze mną, senor, może coś poradzimy!

Po chwili wszyscy trzej, czyli don Alonzo, don Carlo oraz don Alvarez prowadzili ożywioną rozmowę.

- Rozgłosisz, że wraz ze mną zamierzasz opuścić Aragonię - mówił minister. - Nikt nie powinien wiedzieć, mój biedny pułkowniku, że nie masz bynajmniej tego zamiaru...

- Rozumiem! Chodzi z pewnością o to, by Zorro dowiedział się i zwrócił mi Anitę, tak jak przyrzekł!...

- Właśnie!... Będzie to podstęp... I kto wie, może donna Anita wskaże nam kryjówkę tego opryszka!...

Gubernator don Alvarez pokiwał sceptycznie głową i rzekł jedno tylko słowo:

- Wątpię!...

- W co wątpisz, gubernatorze? - zapytał don Alonzo.

- Wątpię, czy donna Anita zechce zdradzić Zorrę!...

Słowa te podziały jak roztopiony ołów na rany serca don Carla. Zgrzytnął zębami, a srogie źrenice ciskały pioruny gniewu. Nie ośmielił się jednak zadzierać z okrutnym don Alvarezem.

Tegoż samego dnia rozniosła się lotem ptaka wieść, że don Carlo zamierza opuścić Saragossę. Skutek tej wieści był wprost magiczny. Uroczystość powitalna na cześć don Alonza zamieniła się w radosne święto z okazji bliskiego odjazdu don Carla Cewenny.

Obecnie lud wiwatował zupełnie szczerze.

- Niech żyje don Alonzo! - wiwatowały tłumy przed pałacem. - Niech żyje ten, który zabiera nam pułkownika żandarmerii! - dodawali ciszej manifestanci, albowiem przez krótki czas swego pobytu don Carlo zdążył już porządnie zalać ludziom sadła za skórę.

Don Alonzo wyszedł na balkon, uśmiechając się uprzejmie i kłaniając się na wszystkie strony.

- Pocciwy ludek Saragossy! - oświadczył zadowolony, cofając się do salonu. - Widziałem niekłamaną radość na ich twarzach!... .

- Nie miałbym nic przeciwko nim - odparł przebiegle don Alvarez - gdyby płacili podatki bez oporu!...

Minister rzucił nań szybkie, świdrujące spojrzenie.

- Właśnie w sprawie tych podatków przyjechałem - rzekł suchym tonem. - Słyszałem, że nie jest znów tak źle jak mówisz, drogi don Alvarezie.

- Pozwolisz, ekscelencjo - przerwał mu śpiesznie gubernator. - Pozwolisz, jeśli łaska, że pomówimy o tym nazajutrz po przedstawieniu. Sądzę bowiem, że obecnie zbyt jesteś znużony podróżą! ...

- Dobrze! - zgodził się don Alonzo. - Pomówimy o tym jutro!

Tajemnica zasłoniętej łoży

Teatr oświetlony był a giorno. Po obu stronach wejścia stali przybrani paradnie żandarmi oraz policja.

Arystokracja tudzież cała śmietanka Saragossy zaczęła się już zjeżdżać. Długi sznur luksusowych powozów zatarasował ulicę. Między innymi przybyła kurzem okryta dziwna karoca. Na koźle siedział gruby młodzieniec, który wywijał batem. A gdy karetka zatrzymała się przed teatrem, młodzieniec ten nachylił się do okienka i zawołał:

- Hej, Zefirio i Porfirio, jesteśmy na miejscu, śpieszcie się, bo przedstawienie zaraz się rozpocznie!

Odpowiedziało mu potężne ziewnięcie. Zefirio wychylił głowę, rozejrzał się dookoła sennym wzrokiem i gwizdnął z podziwem:

- Fiu, a to się zebrało tutaj tych nosicieli pałaszy! Pilnują, jak widzę, drogocennej osoby ministra!

... Carramba, nawet mała pchelka nie przemknęłaby się bez kontroli...

- Dobrze, że mam bilety przy sobie - odezwał się z kozła gruby Malibran. - Zdobyłem je z wielkim trudem...

- Dostyc! - przeciął ostry głos Porfiria. - Grubasku, nie chwal się!... Każdy na twym miejscu dostałby te bilety...

- A nieprawda! - zaperzył się Malibran. - Nigdy! Bilety do łoży znajdującej się akurat naprzeciw łoży ministra... M usiałem wyłożyć dyrektorowi na talerz, że jestem nieodrodnym synem mego ojca, przy czym skłamałem, że były gubernator Majorki przybędzie osobiście do jego wstrętnej budy.

W czasie gdy dwaj, przyjaciele sprzeczali się przed teatrem, don Alonzo siedział w reprezentacyjnej łoży i kłaniał się wiwatującej na jego cześć publiczności. A publiczność na ten wieczór była dobierana z niezwykłą starannością przez samego gubernatora.

Wszystkie łoża były już zajęte prócz jednej na pierwszym piętrze, która pozostawała przesłonięta purpurową kotarą, co oznaczało, że wewnątrz nikogo nie ma.

- Kto zajmuje tę łożę naprzeciw mnie? - zapytał don Alonzo. - Zaraz się dowiem! - odpowiedział don _arlo i udał się do dyrektora teatru.

Niebawem powrócił oznajmiając:

- Łożę naprzeciwko wykupił Hektor Mondevi de Malibran!...

- Jak to? - zdziwił się minister. - Były gubernator Majorki znajduje się w Saragossie, a ja nic o tym nie wiem?

- To jego syn! - oświadczył don Alyarez. - I właśnie oto on w towarzystwie dwóch przyjaciół... Do licha, głupi Zefirio też jest tutaj... .

- Zefirio Corti? - podchwycił minister. - Od kiedyż to zaczął interesować się operą?

I w oczekiwaniu na początek przedstawienia, przewidując wesołą rozrywkę, minister polecił, by wezwano doń Zefiria. Po chwili młodzieniec stał w pełnej szacunku postawie przed wszechwładnym ministrem.

- Najjaśniejsza pani przesyła ci królewskie pozdrowienie, senor Zefirio - rzekł łaskawie don Alonzo. - Gdy opuściłeś Madryt, nudno zrobiło się w Eskurialu!...

- Wcale w to nie wątpię - Zefirio uśmiechnął się zarozumiale. - Rzeczywiście, nikt tak jak ja nie potrafi być interesujący....

- Toteż większość dam dworu wyplakuje sobie oczy za tobą, senor - oświadczył minister z całą powagą. - Doprawdy, me wiedziałem, że jesteś takim zjadaczem serc niewieścich!...

- I ja też o tym dotąd nie wiedziałem - wyrwało się młodemu Cortiemu, ale szybko poprawił: - Nie wiedziałem, że pozostawiłem tyle zranionych serduszek... - Westchnął z udanym smutkiem, poprzez który przebijiała pycha. - Zresztą wcale się temu nie dziwię, ekscelencjo - oświadczył przybierając wdzięczną pozę - bowiem na próżno byś szukał po całej Hiszpanii równego mnie caballero... Wszystkie piękne seniority wiedzą dobrze, że nikt prócz mnie nie ma tylu szlachetnych zalet.

Don Alonzo zagryzł wargi, a don Alvatez roześmiał się. Tylko don Carlo mierzył zarozumialca posępnym spojrzeniem. Ale myśl jego błędziła gdzie indziej. Sercem jego targała dzika rozpacz po stracie Anity, nie okazywał jednak tego po sobie.

- Czemu mam przypisać to - zapytał don Alonzo - że zaszczyciłeś swą obecnością operę Rossiniego?

Zefirio uklonił się po raz trzeci i odrzekł skromnie:

- Stałem się kompozytorem i poszukuję natchnienia! ...

- Stałeś się kompozytorem?

- Tak jest, ekscelencjo!...

- Tworzysz muzykę?

Zefirio uklonił się po raz czwarty.

- Tworzę operę, ekscelencjo!...

Minister zatarł ręce z nie ukrywaniem zadowoleniem.

- Ach, tworzysz operę? - zawołał. - To ciekawe! ...

- Bardzo ciekawe - potwierdził Zefirio. - Sam byłem zdumiony, gdy odkryłem w sobie talent muzyczny, dotychczas bowiem uważałem, że jestem genialnym poetą. Ale potrzeba jest matką wynalazków. Niektóre moje wiersze są tak piękne, że wymagają muzycznego akompaniamentu... Przybyłem więc tutaj ...

- By szukać natchnienia, wiem o tym - dopowiedział don Alonzo. - Czy znajdziesz jednak to natchnienie?

- Już je znalazłem! - Zefirio uklonił się po raz piąty. - Sam widok przepelnionej wytworną publicznością widowni dodał bodźca mej fantazji twórczej... W ciągu pięciu minut skomponowałem przecudną pieśń o Almanzorze, bohaterskim wodzu walecznych Maurów.

- Chciałbym jej kiedyś posłuchać - wyrwało się niebacznie ministrowi. W następnej jednak chwili pożałował swych słów, gdyż Zefirio wyprostował się, oczy jego zaślniły natchnieniem, a lewą rękę położył na sercu.

- Dobrze - odpowiedział. - Zaśpiewam ci ją, nie zwlekając...

Don Alonzo nie spodziewał się takiej reakcji na swoją przychylność. W obecności przepelnionej widowni nie chciał czynić widowiska w swej łoży. Niestety, było już za późno...

Pod sklepienie teatru wzbil się głos przypominający beczenie kozy. Głos ten stawał się coraz bardziej przenikliwy, gwar i rozmowy ucichły i zdumione spojrzenia ludzi skierowały się na łożę ministra.

A Zefirio śpiewał:

Dzielny wódz Maurów, Almanzor wspaniały

Od głowy do pięty bohaterem był cały

Kochały się w nim piękne kobiety

Lecz on nie kochał żadnej, niestety...

Żadnej, niestety (bis)

Eja ha, hej ha! ...

Kochała go Gryzelda, nadobna senora

I z tej miłości całkiem była chora

Chudła nieszczęsna, bo wcale nie jadła

Nie znalazłbyś na niej ani łuta sadła

Ani łuta sadła (bis)

Eja ha, hej ha! ...

I zrozumiała senora, że już dalej nie może

Jakby jej kto w serce wbijał cztery noże

Pobiegła więc do Almanzora i rzuciła otwarcie

Jam piękna Gryzelda i kocham cię zażarcie

Kocham zażarcie (bis)

Eja ha, hej ha!...

Urwał nagle, gdyż na sali rozległ się szalony wybuch śmiechu. Zagrzmiały szalone brawa.

- Brawo Zefirio... Brawo... Brawo!...

Młodzieniec jaśniał zadowoleniem. Kłaniał się nieprzerwanie rozentuzjasmowanej publiczności, dziękując radośnie za uznanie.

Ale orkiestra i aktorzy pozazdrościli mu widocznie powodzenia, gdyż nagle dyrygent machnął pałeczką i rozległa się uwertura do opery. ,

- Dokończę moją pieśń po pierwszym akcie - oświadczył Zefirio.

Złożył głęboki ukłon i wycofał się z łoży.

Kurtyna poszła w górę. Przedstawienie się rozpoczęło. W pewnej chwili don Alonzo oderwał

wzrok od sceny i spojrzął w kierunku łoży zajmowanej przez Malibrana, Porfiria i Zefiria.

- To dziwne - rzekł. - Łoża przesłonięta jest kotarą!...

Don Alvarez oraz don Carlo spojrzeli również. Purpurowa kotara była zaciągnięta.

- Co tam się dzieje? - zdziwił się don Alvarez. - Czemu łoża jest zasłonięta? Czyżby trzech przyjaciół nie interesowała opera?

Po chwili jednak, gdy akt się skończył, don Alvarez otrzymał odpowiedź, której ani on, ani też nikt w teatrze się nie spodziewał.

Purpurowa kotara rozchyliła się gwałtownie i w łoży ukazał się... Zorro! . Tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, to był Zorro we własnej osobie.

Widzowie zamarli.

A tymczasem Zorro skoczył na parapet łoży, podtrzymując lewą ręką postać związanej kobiety.

- Moja żona! - ryknął don Carlo.

- Tak, twoja żona! - rozległ się dźwięczny głos Zorry. - Zwracam ci ją, jak przyrzekłem, masz bowiem zamiar uwolnić Aragonię od swej osoby!...

Sala teatru była, jak mówiliśmy, cała przyozdobiona girlandami i festonami na cześć potężnego ministra. Festony to były mocne sznury okryte różnokolorowym kwieciami, górnym końcem uwiązane pod kopułą u nasady olbrzymiego żyrandola. Dolne końce umocowano przy parapetach łoż oraz li kinkietów wzdłuż ścian. Koniec jednego z festonów znajdował się tuż obok Zorry, który wydobył nóż, przeciął węzeł, następnie chwycił się prawą ręką ukwieconej liny i wraz z swym ciężarem odbił się nogami od parapetu łoży. Jego sprężyste ciało, zawieszona na linie, opisało olbrzymi łuk w powietrzu, ponad głowami zdrtwiałych widzów.

Stał już na parapecie łoży ministra Alonzo i rzucił związaną Anitę prosto w ramiona don Carla.

- Bierz twój skarb z powrotem - rzekł uśmiechając się szeroko. W następnej sekundzie lina wahadłowym ruchem uniosła go z powrotem do przeciwniejszej łoży.

Zorro zeskoczył z bariery, znikając we wnętrzu łoży. Jednym szarpnięciem zasunął purpurową kotarę.

- Gwardia, policja! - ryknął don Alvarez. - Chwytać go. Rzucono się do łoży Malibrana.

Na podłodze pomiędzy fotelami leżały trzy nieruchome ciała.

Podniesione je i zaczęto cucić. Byli to: Zefirio, Porfirio i Malibran.

- Ogłuszył nas z tyłu podstępny ciosem w głowę - jęknął Zefirio, otwierając oczy. - Aj, aj, nieszczęście, ten zbój jednym uderzeniem wybił mi z głowy moją przepiękną pieśń o Almanzorze...

- Jest to jedyny szlachetny uczynek tego bandyty - szepnął minister. - Wcale mu nie mam tego za złe!..

A tymczasem don. Carlo czynił gorzkie wyrzuty swej płochy żonie.

- Zdradziłaś mnie - miotał się. - Nie uwierzę, iż byłaś aniołem, przebywając w jego towarzystwie... Nie uwierzę, iż mnie nie zdradziłaś!...

- Głupcze - odparła ze złością dumna Anita. - Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tak się stało, gdyż jesteś tego wart... Niestety, nie mogę mu nic zarzucić, gdyż był wobec mnie aż nazbyt rycerski. - I powtórzyła z żalnym westchnieniem: - Niestety, aż nazbyt rycerski!...

Z ręki do ręki

- Jest jeszcze jeden powód mojego przyjazdu do Saragossy - mówił don Alonzo. - Otóż wbrew umowie zawartej między nami, nie wypłacasz mi należnej części, señor Alvarez. Czemu to przypisać?

- Nie moja w tym wina, ekscelencjo - tłumaczył się don Alvarez. - Trzykrotnie wysyłałem pieniądze do Madrytu, lecz za każdym razem ten przekłety Zorro przejmował transport!

Rozmowa powyższa była prowadzona półgłosem we wspaniałym gabinecie, w którym rozgościł się na czas swojej wizyty don Alonzo. Na zegarach pałacowych wybiła północ, a świece dopalały się w kandelabrach.

Przekupny faworyt królowej Izabelli uśmiechnął się przebiegle.

- Szukasz wybiegów, don Alvarez - odparł. - Nie myśl jednak, że nie wiem o niczym... Mam w Saragossie zaufanych ludzi, którzy donoszą mi o każdym twym kroku... Wiem doskonale, że pomimo szkód,

jakie wyrządził ci Zorro, zdołałeś zbierać przez tak krótki czas pokaźną kwotę peso w złocie. Poza tym wiem, że prócz pierwszej przesyłki nie myślałeś wypłacać mi kolejnych sum.

- To nieprawda - zaoponował don Alvarez. - Twoi ludzie wprowadzili cię w błąd, ekscelencjo!...

- Czy jest to również nieprawdą, że przed moim przyjazdem usunąłeś księgi rachunkowe i spaliłeś kwity?... Czy nieprawdą jest również i to, że zabrałeś złoto ze skarbca i schowałeś w bezpiecznym miejscu?

Don Alvarez zagryzł wargi. Był wściekły i zmieszany zarazem, bowiem don Alonzo był niezwykle dokładnie poinformowany.

Nie poddawał się jednak.

- Przysięgam, że to wszystko nie jest zgodne z prawdą! - zawołał z udaną szczerością. - Aragończycy nie płacą podatków, koszty są olbrzymie, a na domiar wszystkiego ten Zorro...

Lecz don Alonzo machnął niecierpliwie ręką, a w jego stalowych oczach zamigotał gniew.

- Zostaw tę wieczną piosenkę o jeźdźcu w masce, senor - oświadczył zimnym jak lód tonem. Twoje słowo, granda Hiszpanii, najzupełniej mi wystarczy.

Przebiegła twarz don Alvaraza rozjaśniła się.

- Skarbiec jest pusty, ekscelencjo! - zawołał niemal radośnie. - Ale postaram się zapłacić go jak najprędzej i wyślę wówczas należną ci część!...

Don Alonzo bawił się niedbale nożem do rozcinania kartek książki.

- Nie mam ochoty czekać tak długo - oświadczył obojętnym tonem. - Zresztą rad jestem, że nie otrzymałem od ciebie pieniędzy, senor, bowiem narażałem się na kompromitację i niełaskę królowej, gdyby się wykryło, iż biorę łapówkę... - Odłożył nóż i zatarł swe białe, wypielęgnowane ręce. - Tak, tak - mruczał. - Nawet lepiej, że tak się stało ... Przynajmniej pozostałem czystym i nie przekupionym sługą naszej monarchii...

Don Alvarez śledził grę jego twarzy niespokojnym wzrokiem. Co ma na myśli ten kuty lis? myślał. I do czego zdąża?..

Don Alonzo powstał i ziewnął ostentacyjnie.

- Północ wybiła - rzekł. - Sądzę, że czas już iść spać, tym bardziej że jutro rano opuszczam Saragossę...

Don Alvarez powstał również i ujął kandelabr, by poświecić dygnitarzowi.

- Zapomniałem przekazać ci pewną radosną nowinę, senor Alvarez - odezwał się nagle don Alonzo, poklepując go przyjaźnie po ramieniu. - Otóż, najmiłościwiej nam panująca królowa w uznaniu twych zasług postanowiła cię wyróżnić... Od przyszłego tygodnia będziesz piastował godność wiceszambelana jej dworu.

Królowa czeka tylko na moje zdanie w tej sprawie...

Don Alvarez zbladł i zadrzał.

- To znaczy?.. wyjąkał.

- To znaczy, że w przyszły poniedziałek przekażesz swą godność gubernatorską jednemu z zaufanych dworzan naszej monarchii, a sam wyruszysz do Madrytu. No i cóż, nie cieszysz się przyjacielem na myśl, że dostąpisz nie lada zaszczytu przebywania w przedpokojach pałacu królewskiego?

Don Alvarez nie był w stanie wymówić jednego słowa. Był to dlań druzgoczący cios, który niweczył za jednym zamachem wszystkie jego sny o bogactwie.

Bez wątpienia zaszczyt był to wielki, ale godność wiceszambelana, czysto honorowa i nie przynosząca najmniejszego dochodu, nie uśmiechała mu się, bynajmniej. Odwrotnie, jako wiceszambelan będzie musiał pokrywać z własnej kieszeni dość znaczne koszty wspaniałych ubiorów, będzie musiał utrzymywać liczną służbę w swym domu oraz urządzać kosztowne przyjęcia... Na myśl o tym włosy zjeżyły mu się na głowie. Widział już siebie u progu ruiny, bez zyskownego urzędu i bez pieniędzy: W duchu piecił się i przeklinał zbyt usłużnego don Alonza. Nagle rozjaśniło mu się w głowie... Zrozumiał, że był to tylko wybieg ze strony tego lisa zmierzającego do usunięcia go ze stanowiska. Zrozumiał, że był to celny cios wymierzony w jego chciwość, skąpstwo i kieszeń.

Don Alonzo obserwował go z uśmiechem na wąskich ustach. - No i cóż? - zapytał. - Czemu zaniemówiłeś, senor? Pot wystąpił na czoło don Alvaraza. Uznał się za pokonanego i zapytał ochryplym głosem:

- Wiele?

- Co wiele? - udał zdziwienie don Alonzo.
- Wiele żądasz za to, senor, by pozostawić mnie w Aragonii? Don Alonzo zatarł ręce.
- Ach, więc o to ci chodzi, czcigodny don Alvarezie?
- Tak!... - rzekł krótko. - Więc ile żądasz?
- Wszystko!... - rzucił twardo faworyt królowej.

Don Alvarez zatrząsł się cały.

- Wszystko? - wyjąkał z trudem. - To... to niemożliwe!...

- Zupełnie możliwe - zaśmiał się don Alonzo. - Oddasz mi wszystko, co uzbierałeś na boku, natomiast ja nie zażadam od ciebie nic w ciągu sześciu miesięcy!

Don Alvarez odetchnął i otarł pot z czoła. Nie miał innego wyboru, zresztą propozycja była dość ponętna. W ciągu pół roku mógłby sobie powetować stratę.

Zdecydował się wreszcie.

- Dobrze - rzekł. - Niech i tak będzie... A więc chodź ze mną, ekscelencjo. - Oddam ci wszystko, co mam!...

Słowa te nie były zgodne z prawdą, ponieważ don Alvarez miał daleko więcej, niż postanowił oddać.

Poszedł przodem i drzwi zamknęły się za nimi.

Ledwie jednak opuścili gabinet, gdy ciężka portiera, zasłaniająca okno, uchyliła się i do pokoju wślizgnął się Zorro.

- Już ja was pogodzę, moi wy poczciwi ludzie interesu -. szepnął. - Ciekaw jestem, komu przypadnie to złoto w udziale!

Na wszystkich zagarach pałacowych wybiła godzina pierwsza po północy, gdy don Alonzo, promieniejący zadowoleniem, powrócił do gabinetu.

Trzymał oburącz wielką, żelazną szkatułę. Przydźwigał ją z wysiłkiem i męczył się przez kilka chwil, zanim wwindował ją na biurko.

- Uff - odetchnął. - Ten don Alvarez wcale nie jest uprzejmy... Mógłby przynajmniej mi pomóc w dźwiganiu!...

Usiadł przy biurku i otworzył szkatułę. Błysnęło złoto. Szkatułka była zapełniona złotymi monetami aż po sam wierzch.

Don Alonzo pokiwał głową z niezadowoleniem i mruczał:

- Co za nieporządki panują u tego Alvareza. Złote monety zwalone w jedną kupę... Kto to widział coś podobnego?.. Złoto należy szanować. Układać w rulony i owijać papierem! Ach, ten gubernator doprawdy jest niepoprawny... Wcale nie szanuje pieniędzy!...

Z tymi słowami wyjął garść monet i zaczął układać je w stosy. Pomimo że starał się być spokojny i opanowany, ręce mu drżały, a nieposkromiona chciwość malowała się w jego spojrzeniu.

Przez dłuższą chwilę żaden odgłos prócz dźwięku złota nie mącił ciszy gabinetu. Nagle za plecami don Alonza rozległy się ciche kroki.

Wierny sługa królowej tak dalece był pochłonięty układaniem złotych monet, że nie zwrócił zbytniej uwagi na ten szelest.

- Nie śpisz jeszcze, don Alvarezie? - zapytał nie odwracając głowy.

- Nie! - zabrzmiała odpowiedź.

- Chcesz mi pomóc w liczeniu?

- Tak!...

- A więc układaj, senor, złoto w stosy i zawijaj w papier!...

- Dobrze!...

I męska ręka sięgnęła po złoto.

- Co czynisz, senor? - zawołał don Alonzo. - Nie ruszaj tych rulonów, one są już policzone... Bierz ze szkatuły. I nie przeszkadzaj mi!...

- Zgoda! ...

Męska ręka ujęła garść złota ze szkatuły, następnie drugą i trzecią, a don Alonzo zajęty swoją robotą, nie zwracał na tę czynność żadnej uwagi. Po chwili jednak coś go tknęło, złoto bowiem nie wędrowało na biurko, by ułożyć się w kolumny, lecz garść za garścią znikало za jego plecami. Temu

znikaniu złota towarzyszył charakterystyczny dźwięk monet zsypywanych do worka.

Ogarnęło go niemiłe przecucie. Spojrzał na rękę czerpiącą złoto i teraz dopiero zauważył, że ręka ta miała czarny, obcisły rękaw.

Don Alvarez nie nosi podobnych rękawów - strzeliła jak błyskawica myśl do głowy. To nie jest jego ręka!...

Wzrok jego powędrował do łokcia, następnie do ramienia minister omal nie skręcił szyi, wykręcając głowę do tyłu - i zatrzymał się na uśmiechniętej twarzy w masce...

Za jego plecami stał Zorro i spokojnie ładował złoto do niewielkiego worka.

Don Alonzo zatrząsł się cały. Chciał zerwać się, lecz strach skuł wszystkie jego członki. Chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów wydarło się z jego gardła coś w rodzaju beczenia barana:

- Beee!

- Nie rozumiem - rzekł Zorro, nie przestając ładować do worka. - Co chciałeś powiedzieć, senor? Mów jaśniej!...

- Bee! ... bee! ...

- Bee... bee to chyba nie w hiszpańskim języku - oświadczył Zorro. - A ja niestety, rozumiem tylko po hiszpańsku...

- Bee... uczelność!... - wykrztusił wreszcie don Alonzo siny na twarzy. - J... jak śmiesz, jak... śmiesz...

- Byłem zawsze odważny - odrzekł Zorro spokojnie, zgarniając złoto z biurka. - Od urodzenia byłem odważny, a wiadomo, że odważny człowiek jest śmiały... Dlatego też śmiem!...

Cała zawartość szkatuły znalazła się wreszcie w worku. Zorro związał go i zarzucił na plecy z taką łatwością, jak gdyby to było piórko.

- Żegnaj mi, czcigodny don Alonzo - rzekł kierując się ku drzwiom. - A gdy powrócisz do Madrytu, zanieś królowej pozdrowienie od Zorry...

- Rabuś... bandy... ta - wykrztusił ograbiony dygnitarz.

Zorro zatrzymał się u progu i rzekł z wyrzutem w głosie:

- Czemu używasz tak mocnych określeń, senor? Z nas dwóch, sądzę, że właśnie ty masz większe prawo do tych nazw... Rabuś?... Bandyta? ... Czyż możesz nazywać w ten sposób mnie, który nie zatrzymuje ani jednej monety dla siebie, lecz zwraca tym, których ograbiono?...

Podczas gdy przemawiał w ten sposób, ucho jego nadśluchiwało bacznie. Wydało; mu się, że słyszy podejrzanego szelest na korytarzu.

Co to było?... Zorro ostrożnie uchylił drzwi i poprzez utworzoną w ten sposób szparę, ujrzał don Alvareza, który zachowując niezwykłą ostrożność, ustawiał żandarmów na korytarzu, po prawej i po lewej stronie od drzwi. Szeptem dawał im instrukcje. Żandarmi kiwali głowami ze zrozumieniem, wyciągali szable z pochew, odwodzili kurki pistoletów i dawali w ten sposób do zrozumienia, że przygotowują się do walki.

Ale z kim? Czyżby z donem Alonzo?.. Zorro doszedł do wniosku, że don Alvarez musiał zajrzeć przedtem do gabinetu i z pewnością go dostrzegł.

Korytarz, w którym ustawiali się uzbrojeni ludzie, był dość szeroki. Zorro odczepił swój bicz od pasa i rozwinął go.

Następnie szeroko otworzył drzwi, odstepił nieco do tyłu i zamachnął się biczem. Koniec rzemienia owinął się dookoła szyi don Alvareza. Krótkie, lecz silne szarpnięcie i gubernator został wciągnięty do gabinetu. Podobny był w tej sekundzie do ryby, którą rybak wyciąga wędką na brzeg.

Drzwi zatrzasnęły się przed nosem zdumionych i przerażonych żandarmów. Don Alvarez znalazł się oko w oko z Zorrrą. Jednocześnie don Alonzo odzyskał zdolność ruchów i mowy. Skoczył jak zraniony jelen i zaczął nawoływać.

- Ratunku, pomocy... Rabują!...

- Obudził się z letargu - rzekł Zorro i zwinął bicz - Jeśli nie przestaniesz nadużywać swych strun głosowych, będę musiał uśpić cię na nowo, ekscelencjo!

Don Alonzo zamilkł, natomiast don Alvarez odezwał się pocierając jednocześnie obolałą szyję: .

- Tym razem nie wymkniesz się, Zorro. Ustawilem uzbrojonych ludzi dookoła całego gmachu, we wszystkich przejściach znajdują się moi ludzie, a na domiar wszystkiego już świta... Nie wiem, co uczynisz skoro nawet twoja sojuszniczka, noc, zawiodła. Uprzedzam cię jednak, Zorro, że twój stary kawał,

zasłanianie się jeńcami, tym razem nie uda ci się. Kazałem bowiem moim ludziom, by zaatakowali cię bez względu na to, czy zasłonisz się moją osobą czy też osobą jego ekscelencji!...

Tyle było zawziętości w głosie gubernatora, że Zorro zrozumiał iż ten nie kłamie.

W odpowiedzi roześmiał się beztrząsco i rzekł:

- Tym razem dałeś mi nie lada orzech do zgryzienia, don Alvarez! - Pomyślał chwilę i dodał: - Ale ja go zgryzę, senor...

Drzwi, zamknięte na klucz, zatrząsły się od wściekłych uderzeń żandarmów.

- Jeśli zasłonę się twoją osobą, senor - ciągnął dalej Zorro - to nawet jako nieboszczyk posłużysz mi za osłonę przed ciosami. Ale ja spróbuję innego sposobu. Oczywiście zadanie byłoby daleko łatwiejsze, gdybym nie miał przy sobie tego worka ze złotem! ... Ponieważ jednak znajduję się w pułapce, nie będę bawić się w sentymenty. Najmniejsze nieposłuszeństwo przypłaci każdy z was śmiercią...

Zwrócił się do don Alonza:

- Stań twarzą do ściany, ekscelencjo - rozkazał wskazując na przeciwną ścianę. - I ty również, don Alvarez! Prędko, śpieszcie się!... - Znacząco dotknął noża tkwiącego za pasem.

Obaj stanęli obok siebie, zwróceniem twarzą do ściany.

- Próżny zachód, Zorro - mrucał don Alvarez. - Nic ci to nie pomoże. ...

Zobaczmy! ...

Zorro wziął rozpęd i zwinnie jak kot wspiął się na ich barki.

W jedną rękę ujął płótno ciężkiego worka. Drugą rękę miał wolną. Uczepił się barierki drewnianej galeryjki biegnącej wzdłuż ściany gabinetu. Ale nie był w stanie wciągnąć się na rękach, gdyż przeszkadzał mu worek ze złotem. Nadał więc swym nogom wahadłowy ruch zegara i zarzucił jedną nogę na wystającą podstawę galeryjki. Potem przerzucił prawą rękę wyżej i chwycił za poręcz. Trzymając się poręczy zaczął wciągać się powoli, lecz pewnie do góry. Po chwili ujął lewą ręką worek, zamachnął się i wrzucił go na galeryjkę. W następnej sekundzie stał już obok worka.

- Nic ci to nie pomoże, Zorro! - wołał szyderczo don Alvarez, unosząc głowę do góry. - Wyjście z galeryjki również jest strzeżone!...

Zorro otworzył ostrożnie niskie drzwiczki i ujrzał kilka postaci czuwających w półmroku. Atak Zorrego na ludzi czuwających na górze obok galeryjki był równie szybki jak niespodziewany. Świsnął bicz kilkakrotnie. Zorro wpadł pomiędzy nich i rozdawał bolesne uderzenia. Rozległy się jęki i okrzyki bólu. Zanim strażnicy opamiętali się, Zorro był już przy schodach i biegł na górę. Na następnym piętrze zastąpili mu drogę czterej strażnicy pałacowi. Znów bicz świsnął, smagając tych ludzi po głowach i po twarzach, kłusując jak wściekły wąż, oplatając i wywracając przeciwników.

Droga została utorowana i Zorro pognął dalej. Niebawem jednak schody skończyły się. Zorro wy dostał się na dach pałacu.

Na dole, dookoła gmachu, stały zwarte masy uzbrojonych ludzi. Szary świt oświetlał blade twarze zadarte do góry i obserwujące z napięciem zwinną postać w czerni sunącą na szczycie pałacu.

Za pałacem mieściły się niskie budynki. Były to stajnie don Alvaręza.

Zorro cofnął się, nabrał rozpędu i jednym potężnym skokiem przesadził przestrzeń dzielącą dach pałacu od dachu stajni.

Żandarmi i strażnicy rzucili się w stronę stajen i otoczyli je w okamgnieniu. Błysnęły lufy strzelb i pistoletów. Rozległy się dzikie okrzyki triumfu. Zorro znajdował się prawie w ich rękach.

Najgłośniejszym jednak ryczał Carlo Cevenna. Drąc się niemiłosiernie, obsypywał Zorrego obelgami, a jednocześnie wydawał rozkazy swym ludziom.

- Poddaj się, nędzniku, łotrze, łajdaku! Hej, żołnierze, mierzcie dobrze, by nie chybić... Cel!... Pal!...

Zorro nie czekał jednak, aż rozlegną się pierwsze wystrzały.

Naprzeciwko wznosiło się zabudowanie przeznaczone dla karoc gubernatora. Przestrzeń pomiędzy dachami była tak wielka, że po prostu nie do pomyślenia, by istota ludzka mogła ją przesadzić, tym bardziej że ze znacznym ciężarem w rękę. A jednak Zorro dokazał tej niezwyklej sztuki. Zmierzył oczyma przestrzeń, którą miał pokonać, następnie cofnął się o trzy, cztery kroki, dla nabrania rozpędu, i rzucił się naprzód. Ciało jego opisało klasyczny łuk w powietrzu, tuż nad głowami strażników, i opadło na przeciwny dach wozowni.

Ludzie osłupieli w pierwszej sekundzie, lecz wnet opamiętali się i otoczyli budynek. Ale obok wozowni ciągnął się mur okalający zabudowania pałacowe. Zorro skoczył na ten mur i ujrzał silny oddział strażników pełniących wartę po tamtej stronie.

Strażnicy również ujrzeli Zorrę.

- To Zorro!... Zorro!... - zabrzmiały ich okrzyki. - Tym razem mamy go!...

A po wewnętrznej stronie muru odpowiedziały im okrzyki Carla Cevenny:

- Nie pozwólcie mu zeskoczyć na ziemię... Chwytajcie go!...

Zorro biegł po wąskim szczytce, a strażnicy towarzyszyli mu po obu stronach.

- Żywcem go, żywcem! - ryczeli. - Teraz nie ujdzie nam... Hurra, mamy go!..

Lecz okrzyki te były przedwczesne. Pomimo że sytuacja wydawała się dla Zorry zupełnie beznadziejna, ani myślał pozbywać się swego uciążliwego ładunku złota, chociaż ułatwiłoby mu to znacznie swobodę ruchów.

Biegąc po murze, Zorro nie próżnował. Bicz jego świszczał bez przerwy, rozdając bolesne razy na prawo i na lewo.

Każda rzecz na świecie ma swój koniec, toteż mur skończył się wreszcie i Zorro zatrzymał się przed otwartymi wrotami.

Pod jego nogami kłębiło się mrowie ludzkie.

Gorliwi strażnicy podskakiwali do góry, usiłując strącić go z muru kolbą strzelby lub lufą. Za każdym jednak razem śmiałek otrzymywał bolesne upomnienie biczem z bawolej skóry.

Dalsza droga była naprawdę odcięta i wszelki ratunek wydawał się niemożliwy.

Żandarmi byli tak pewni siebie, że nawet nie pomyśleli o użyciu strzelb lub pistoletów. Każdy z nich pałał żądzą ujęcia Zorry żywcem, każdy z nich marzył o tej chwili, gdy maska tajemniczego rabusia zostanie wreszcie zdarta.

Zorro rozejrzał się dookoła jak tygrys w potrzasku. Wtem oczy jego rozbłysły poprzez otwory w masce. W odległości mniej więcej ośmiu kroków od muru siedział na koniu don Alvarez.

Gubernator dosiadł konia, by móc kierować akcją z większą sprężystością. Wydawał energicznie rozkazy, a żandarmi tłoczyli się pomiędzy nim a Zorrą.

Decyzja Zorry zrodziła się w ułamku sekundy.

Oparł stopę na głowie niczego nie spodziewającego się żandarma, który stał najbliżej muru, i odepchnął się lekko. Żandarm runął, ale Zorro przeniósł się na ułamek sekundy na barki następnego. W ten sposób w czterech błyskawicznych susach dotarł do konia i skoczył na siodło, nie dotykając ziemi. Znalazł się na jednym siodle z don Alvarezem.

- Jeden najmniejszy ruch, a zginiesz - szepnął mu do ucha.

Przycisnął go lewą ręką do siebie. W tej ręce trzymał cugle. Prawą ręką zadawał uderzenia biczem, by nieco oczyścić miejsce dookoła siebie. A gdy atakujący rozstąpili się z wrzaskiem, smagnął konia i zmusił go do skoku ponad głowami ludzi zagradzających drogę.

Wśród nieopisanego tumultu i wrzasku pogalopował środkiem ulicy.

Don Alvarez nie śmiał poruszać się ani odetchnąć. Wydawało mu się, że złowrogie ostrze noża lada sekunda wbije się pomiędzy jego zębra.

- Zorro... Zorro... Zorro!... - rozległ się tuż nad nimi triumfalny okrzyk.

Był to bojowy zew jeźdźca w masce. W ten sposób wyzywał sam jeden cały świat do walki. Był to radosny okrzyk zwycięstwa, było to hasło nieustającej walki na śmierć i życie z tysiącrotnie przewyższającym go liczebnie przeciwnikiem.

Okrzyk ten, słyszany tyle razy z oddali, a obecnie rozlegający się tuż za jego plecami, przejął don Alvareza lodowatym dreszczem zgrozy.

Rumak gnał jak wichra.

To dziwne, pomyślał gubernator, to mój wierzchowiec, a nigdy jeszcze nie zdobył się na taką szybkość... Wcale nie poznaję mego konia... Pędzi, jakby miał skrzydła, pomimo podwójnego ciężaru. Moi ludzie nigdy nie zdołają nas dognać!...

Wkrótce znaleźli się w szczerym polu. Przed nimi rysowały się góry i, skały o szczytach zabarwionych na kolor złota w blaskach zachodzącego słońca.

Zorro milczał i bezustannie poganiał konia, a don Alvarez nie ośmielił się odezwać ani słowem.

Wreszcie dotarli do skał. Zorro wjechał na stromą ścieżkę i tylko sobie znanymi drogami dotarł do grotty.

W głębi dało się słyszeć niecierpliwe końskie rżenie.

- Spokojnie, spokojnie - odezwał się mężczyzna w masce. - Chodź tutaj, przyjacielu!

Z grotty wychylił swój mądry łeb czarny rumak. Rozejrzał się bacznie dokoła, jakby badając, czy nie ma w pobliżu wrogów, po czym wybiegł z grotty i zaczął ocierać łeb o Zorrę...

Carramba! zaklął w duchu don Alvarez. Nawet koń tego bandyty ostrożny i przezorny jest jak prawdziwy desperado...

Bieg jego myśli przerwał nagle Zorro, który zwrócił się doń w te słowa:

- Mógłbym cię zabić, gubernatorze, i pozbyć się zarazem wroga oraz gnębiela Aragonii. Nie czynię jednak tego, gdyż wiem: niestety, aż zanadto dobrze, iż na miejsce jednego łotra, Madryt przyśle dwóch innych... Jeśli usunę don Alonza, wówczas na jego miejscu siądzie don Pedro, który będzie stokroć gorszy... Kontentuję się więc na razie tym, że odbieram to, co zostało zagrabione...

- Bzdury - mruknął don Alvarez, odzyskując odwagę. - Państwo nie może istnieć bez podatków... Grabiąc państwowe złoto, niszczysz Hiszpanię..

- Milcz, nędzniku! - zawołał Zorro. - Gdyby podatki szły na wzmocnienie Hiszpanii, na uzbrojenie wojska, na wzmoczenie potęgi państwa, na budowę dróg i mostów, wówczas sam dopomógłbym odebrać na ten cel ostatnią krowę biedakowi... Ale Hiszpania nie ma dróg, mosty się wałą, żołnierze chodzą bez butów, a broń ich nic nie jest warta!... Cha, cha! I pomyśleć tylko, że Hiszpania była niegdyś najpotężniejszym państwem świata... Coście z nią zrobili, łajdacy?

- Próżna twoja walka. - warknął don Alvarez. - Nie wiadomo dla kogo i po co walczysz?

- Walczę dla don Carlosa* (Don Carlos - syn Karola IV, pretendent do tronu Hiszpanii) - oświadczył Zorro. - Jestem bowiem przekonany, że don Carlos uczyni Hiszpanię tym, czym była niegdyś!... Doprawdy szczęśliwe są kraje rządzone przez ludzi, którzy dbają o ich potęgę, nienaruszalność granic, o całe spodnie dla żołnierzy, o dobre strzelby i o to, by ludzie nie padali jak muchy z głodu i chorób!...

To mówiąc smagnął konia, na którym siedział don Alvarez. Koń stanął dęba, po czym pogalopował z powrotem do miasta.